

STEFAN DIPPEL  
Sawerynow 4 m 4B  
00-Sul Wawrzona  
Tel. 2-25-81

R 20692

# NA SZLAKU KRESOWEJ



NR 7

KSIEGARNIA RUCHOMA  
WYDAWNICTWA KSIĄZEK POLSKICH  
Hamburg-Horn, Bauerberg 44

(25)

*Ref. Kult. i Prasy*  
**KRESOWEJ  
DYW. PIECHOTY**

*Włochy-Sierpień-1945*



R20692

# Na Szlaku Kresowej



Numer 7 (25)

*J. Szypka*  
24.12.1945

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

\*

Sierpień

\*

1945

K 1711  
1986

# Na Szlaku Kresowej



Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 302

Tłoczono w Drukarni Polowej A. P.



## W promieniach wielkiego zwycięstwa

Józef Piłsudski tak pisze o swoich przeżyciach w czasie niepowodzeń i zwycięstwa 1920 roku:

„Wszelkie próby dawały nicość siły — nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała”.

„Wszystko wydawało mi się w czarnych kolorach i beznadziejne”...

„Najtrudniejsze zadanie wypadło na tego, kto mając słabość, musiał dać siłę i kto wbrew sensowi musiał mieć rozstrzygającą rolę”.

„W historii bitwy warszawskiej zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagle zmiana ról obu stron walczących.

Zwyciężony zostaje zwycięzcą, zwycięzca — zwyciężonym, w jakies parę dni.

Gdy zaś zestawia się niezwykle sugestię klęski polskiej, która nieodparcie narzucała się umysłom i sercom ludzkim nie tylko u nas, w Polsce, lecz i na całym świecie, gdy się zestawia niezaprzeczony fakt upadku

moralnego młodego państwa polskiego, czego wyrazem była wysłana delegacja pokojowa do stóp p. Tuchaczewskiego, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił — szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu.

Gdym dawał charakterystykę potężnego wpływu, który wywarł p. Tuchaczewskij swym zwycięskim pochodem, mówiłem, żeśmy mieli po swojej stronie wrażenie kalejdoskopu, wywołującego chaos obliczeń, rozkazów i raportów.

Kalejdoskop kręcił się może powoli, lecz przy nim dzień nie podobny był tak dalece do dnia następnego, że jakby w kontredansie płątały się wszystkie figury — manewry dywizyj i pułków z nazwami geograficznymi.

Teraz ja miałem swój rewanż i swój tryumf.

Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny!

Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną!

Kalejdoskop w takt wściekłego galopa zakręcony nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na każdej z tańczących figur.

Pękaly one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie przypuszczenia i czynione plany i zamiary”.

„Zawsze z przyjemnością wspominam, że zakręciwszy korbę kalejdoskopu na takt wściekłego galopa i kontrolując siebie co chwila, konstatowałem z rozkoszą, że zachowuję dobrą „*tête froide d'un chef*” który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nie upada od porażek”.

\* \* \*

Krótkowidzce dnia dzisiejszego, pod sugestią aktualności, widzą i dziś, w okresie wielkich przemian na świecie „nonsens założeń, i bezrozum bezsilności, i nadmiar ryzyka”, przed którymi cofa się logika.

I znowu dziś najtrudniejsze zadanie wypadło na nas, którzy — na pierwszy rzut oka — mamy tylko słabość, a musimy dać się i wbrew sensowi całego świata odegrać rozstrzygającą rolę.

Tchórze, oportuniści i tak zwani realnie myślący a po naszymu ordynarni zdrajcy — jadą w tę samą stronę, w którą jechali ich poprzednicy z roku 1920.

My trwamy wiernie i wytrwamy przy swoich sztandarach z Monte Cassino, Ancony, Bolonii i walczącej Warszawy.

Nie dzień z dniem się rozmija, lecz godzina z godziną.

Kalejdoskop w takt wściekłego galopa nakręcony nie pozwala znowu zatrzymać się na żadnej z tańczących figur.

Pękają one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy krótkowidzów całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastają całkowicie ich przypuszczenia i czynione plany i zamiary.

Nasza siła i w tym, że zachowujemy dziś i zachowamy aż do końca, aż do nowego wielkiego zwycięstwa „*tête froide d'un chef*”, który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nigdy nie upada od porażek!

## 6 sierpnia 1914

Są w życiu narodów i jednostek chwile wielkie i piękne, bijące światłością tak silną i jasną, że w każdym z nas — o ile spoglądamy na to z perspektywy pewnego czasu, okres ten obleka się jakimś specjalnym urokiem romantycznym.

Kto pamięta owe piękne chwile sierpniowe, te uczucia zrodzone w sercu każdego Polaka na wieść, że żołnierz polski istnieje znowu, że walczy o Polskę i okrywa nieśmiertelną chwałą bojową swoje sztandary? Jak feniks z popiołów powstała polska siła zbrojna po długich latach niewoli i ucisku. Zrodzona z krwi i popiołów ojców naszych stawała jeszcze raz do walki z odwiecznym jej wrogiem, o Wolność i Niepodległość Polski. Duch narodu polskiego, ożywiony najgłębszym patriotyzmem, ujęty w potężne ramy organizacyjne samodzielnej myśli politycznej, wyłonił najpiękniejsze charaktery i płomienny czyn zbrojny roku 1914.

Żołnierz polski, będąc tego ducha wytworem, przez zdobycie sobie wolności i niepodległości, staje się odtąd integralną częścią narodu, reprezentantem jego myśli i woli. W ciężkich zaś chwilach dziejowych czerpie z ojczyzny swojej siłę i moc do dalszych trudów i staje się ściśłym odtąd wykonawcą pragnień tego narodu, jego ramieniem zbrojnym.

Dzisiaj, kiedy czas przykrywa to wszystko patyną zapomnienia, poznanie owych chwil staje się dla nas koniecznością szczególnie ważną, ze względu na analogiczną kolejność wysiłków w odbudowie naszych sił zbrojnych.

Po upadku Polski każde pokolenie zrywało się do walki zbrojnej o niepodległość, aby przez trud i cierpienia, przez rozlew krwi własnej zdobyć sobie byt samodzielny, godny Wielkiego Narodu. Ulegało przed przemocą, ginęło na polach bitew, zaludniało daleki, mroźny Sybir, lub rozpraszało się w beznadziejnej tułaczce po szerokim świecie.

Te piękne karty historii naszej, pisane krwią własną, od insurekcji ko-

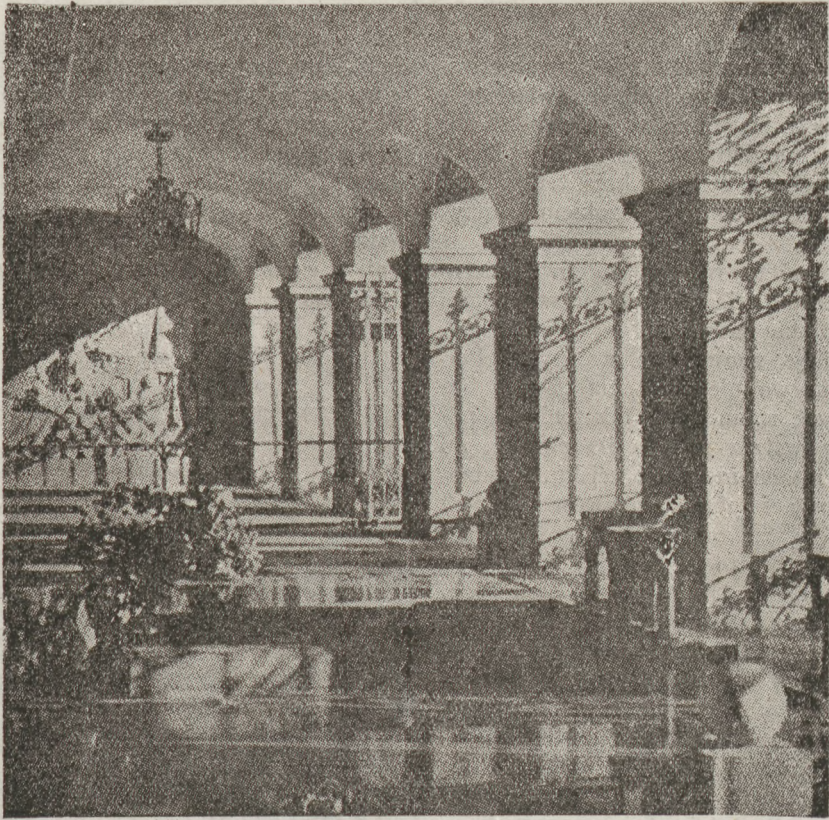
ściuszkowskiej, poprzez legiony Dąbrowskiego, krew przelaną w dobie wojen napoleońskich, powstanie listopadowe, a wreszcie powstanie roku 1863 — stanowią dla nas źródło siły, którą czerpiemy z owych pięknych tradycji, wskazujących na nieubłaganą walkę, walkę ciężką a trudną, pełną znojęw i poświęceń, ale jedyną dla narodu, który chce być w pełni niepodległy i wolny, nieuznający nigdy przemocy obcej.



(Fot. Jan Przeglasiński)

Gen. Wł. Anders w Dywizji Kresowej

Klęska powstania styczniowego wywołała głęboki wstrząs psychiczny całego społeczeństwa polskiego. Zaczęto podawać w wątpliwość sam cel i istotę walk zbrojnych o niepodległość. Hasła naszych dziadów i ojców, hasła bezwzględnej i nieugiętej walki z przemocą, poszły w zapomnienie. Zaczęły przeważać głosy potępiające powstania. Prąd ten wzmógł się zwłaszcza po roku 1870. Wyśuwano tezy pracy organicznej, pracy obliczonej na długi okres konstruktywno-gospodarczy, nie dającej pozytywnych wyników, lecz całkowicie odpowiadają-



*Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie*

cej celom i zamiarom zaborców. Dochodzą często do twierdzeń wręcz absurdalnych, jakoby powstanie roku 1863 było dziełem komórek masonsko-żydowskich, dążących do wywołania ogólnego zamętu i niepotrzebnego przelewu krwi.

Spółceństwo polskie stawalo się coraz bardziej biernie, niezdolne do samodzielnego myślenia politycznego na płaszczyźnie ogólnonarodowej. Zaczął się wytwarzać niebezpieczny „trójjolaizm”, prowadzący do rozbicia narodowego. Doskonale charakteryzuje ową epokę Józef Piłsudski:

„Otoczona frazesem patriotycznym, zawoalowana pozorami organicznej pracy, gruntowała się istotna zgoda na zabory. Upadek myśli politycznej polskiej przed wojną 1914 roku charakteryzuje najgłębiej to, że Polacy naogół biorąc przestali myśleć o całości swego na-

rodu poprzez zabory, jako o jednym swym organizmie, chwilowo tylko rozerwanym, przyzwyczaili się natomiast myśleć i działać jako grupa obca — narodowa wewnątrz każdego państwa zaborczego. Rozbrat z myślą o własnej naturalnej całości był tak głęboki, że dla znacznej części społeczeństwa narodowym rzekomo programem mógł być program zjednoczenia ziem polskich wewnątrz jednego zaborczego państwa”.

Silnie rozwijający się ruch robotniczy na terenie „Królestwa” zostaje ujęty przez Piłsudskiego w ramy silnej organizacji polityczno-niepodległościowej, dążącej do walki zbrojnej najpierw z Rosją, a później z innymi państwami zaborczymi. Socjalizm polski rozmaitym orientacjom społeczeństwa polskiego, czy to austriackiej, czy rosyjskiej, prze-



ciwstawia program samodzielnej, ogólno - polskiej, czynnej polityki i wreszcie samodzielnej walki zbrojnej. Józef Piłsudski staje się pomostem pomiędzy tradycją 1863 roku a ruchem robotniczym, do którego go pociągnęła chęć budzenia nowych sił w Polsce.

Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez możliwości jednolitego i samodzielnego postępowania. Konieczne było, aby najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swoje barki odpowiedzialność i inicjatywę rzucając iskry na proch.

Terenem działalności politycznej od roku 1907 staje się Galicja, z dość dużymi swobodami konstytucyjnymi. Przebywa tam znaczna ilość „niepodległościowców” z terenu zaboru rosyjskiego. Wśród nich powstaje stopniowo prąd, zmierzający do tworzenia towarzystw wojskowych, mających na celu przygotowanie kadr dla przyszłej Armii Polskiej. Powstaje cały szereg małych kółek wojskowych, grupujących początkowo prawie wyłącznie młodzież akademicka, z zadaniem przeszkolenia jej w dziedzinie wiedzy wojskowej teoretycznej i praktycznej.

„Wykradają się poza miasto, ażeby móc wypełnić strzelanie, lub przeprowadzić zajęcia praktyczne w terenie”. Austriackiej policji narazić się było dosyć łatwo, a jeszcze bardziej na ośmieszenie przez społeczeństwo polskie, które z niedowierzaniem i ironią patrzyło na pierwsze załączki przyszłej polskiej siły zbrojnej. W umysłach wielu ludzi nie mogła po prostu powstać myśl o możliwości zaistnienia jeszcze kiedykolwiek żołnierza polskiego.

Ruch ten wzmaga się coraz bardziej wehłaniając w siebie dużo jednostek najenergiczniejszych, najbardziej patriotycznych i uświadomionych, oddających się całkowicie pracy wojskowej, bez jakiegokolwiek myśli o karierze osobistej. Ludzie ci zerwali ze wszystkimi programami politycznymi, oraz ze wszystkimi stronnictwami — dla nich przyświeca tylko jedna idea: odrodzenie armii polskiej i jak najbardziej ofiarna służba dla Ojczyzny.

Już w roku 1908 powstaje „kółko kształcenia wojskowego” z czynnym udziałem Kazimierza Sosnkowskiego, który w roku następnym staje na czele „Związku Walki Czynnej”.

W roku 1911 tajne samokształceniowe kółka wojskowe zostają przeorganizowane na oficjalne „Związki Strzeleckie” i „Polskie Drużyny Strzeleckie”. Ruch ten zatacza coraz szersze kręgi, sięgając nawet do wsi, dokąd co niedziela przyjeżdżają instruktorzy, „prowadząc przysposobienie wojskowe wśród swoich chłopców”. Początkowe trudności finansowe, na jakie natrafiały organizacje strzeleckie zostają usunięte w miarę napływu większych składek członkowskich z Ameryki i coraz większego zrozumienia ze strony społeczeństwa. Tuż przed samym wybuchem wojny „Związek Strzelecki” liczy ponad 5.000 ludzi a „Polskie Drużyny Strzeleckie” około 3.500. Powstają instruktorskie szkoły oficerskie, odbywają się liczne ćwiczenia w terenie, w których bierze nieraz udział po 1000 osób.

Na czele połączonych „Związku Strzeleckiego” i „Polskich Drużyn Strzeleckich” staje Józef Piłsudski. W planach swoich o wojnie z Rosją liczył on, że południowo - zachodnią część „Królestwa” zostanie bez walki oczyszczona z oddziałów rosyjskich. Przewidywał, że polskie siły zbrojne wkroczą momentalnie do Zagłębia opuszczonego przez wojska rosyjskie i tam, w oparciu o utworzony Rząd Narodowy, przeprowadzi się mobilizację i rozpocznie się natchmiastowe działania przeciw Rosji, jak najbardziej niezależne od działań państw centralnych. Taki stan rzeczy miałby stworzyć sytuację, z którą każda ze stron wojujących musiałaby się liczyć.

Wybuch wojny europejskiej zaskoczył całkowicie społeczeństwo polskie. Dominująca rola Niemiec przyczyniła się do nowego rozłamu w opinii narodu polskiego. Należało działać jak najszybciej, ażeby móc przeszkodzić planom mobilizacji gospodarczej i militarnej na ziemiach polskich. Decyzja ta musiała być ważna i doniosła ze względu na wielkość chwili dziejowej. Niewykorzystanie tego

momentu mogło uniemożliwić polskie wystąpienie zbrojne. Na taką decyzję zdobył się Józef Piłsudski.

Dnia 2 sierpnia wysłał pierwszy patrol strzelecki w Kieleckie, w celu przeszkolenia odbywającej się tam mobilizacji rosyjskiej. W dniu zaś 6 sierpnia 1914 roku o godzinie 09.45 rano, a więc na dwie godziny przed rozpoczęciem działań zaczepnych ze strony Austrii, pierwsza Kompania Kadrowa w sile 160 ludzi, po wyruszeniu z historycznych Oleandrów, przekracza granice Królestwa pod Michałowicami.

Ta historyczna decyzja Piłsudskiego z dnia 6 sierpnia, głęboko i wyraźnie zaakcentowała niezależność polskiej siły zbrojnej, polskiej myśli politycznej i polskich celów wojennych, prowadzących jedynie do odbudowy niezależnego Państwa Polskiego bez oparcia o jakiegokolwiek państwo zaborcze.

Ten śmiały czyn z sierpnia 1914 r. poruszył bierne dotychczas społeczeństwo galicyjskie. Moc środków materialnych i znaczna liczba ochotników dochodzących do 15.000 (na dzień 1.X.1914), ja-

kie ofiarowała Galicja Legionom stanowi świadectwo o całkowitym zwycięstwie koncepcji Piłsudskiego: „przez samodzielną siłę zbrojną — do odbudowania samodzielnego bytu Państwa Polskiego”.

Zołnierz polski bił się początkowo z Rosją, jako z główną sprawczynią zaborów, ale potem przez cierpienia w Beniaminowie i Szczypiornie, przez proces w Marmaros-Sziget, przez bój z Niemcami pod Kaniowem, przez przedzieranie się przez front austriacki w Bessarabii — dowiódł, że w nim tkwi tylko jedno pragnienie, pragnienie walki z każdym z trzech zaborców po kolei.

Dzień 6 sierpnia 1914 r. staje się dla nas symbolem wielkiej decyzji i nigdy niegasnących wartości moralnych narodu polskiego. Byliśmy spadkobiercami tej decyzji w roku 1939 — kontynuujemy ją i dziś, nie uznając obcej przemocy ani żadnych kompromisów. Siły nasze czerpiemy z owych nieśmiertelnych tradycji, będących wytworem ducha całego narodu, jego myśli i woli.

*Michał Janiszewski*

## POWSTANIE WARSZAWSKIE

# Dni chwały i klęski

Pogotowie zarządzono.

Dzisiaj właśnie otrzymałem w Dowództwie instrukcje. „Wyznaczyć służbę łącznikową. Przygotować żywność na kilka dni dla całego oddziału. Przypomnieć chłopcom instrukcję walki ulicznej. Wreszcie, najważniejszy problem dla wszystkich oddziałów — pamiętać o broni i amunicji”.

Przedemną na stole leży pociągnięty cienką warstwą oliwy, pięknie wypolerowany „Szmajser”. Ostatnia moja zdobycz w wypadzie na posterunek niemiecki. Byłbym zupełnie szczęśliwy z posiadania tak pięknej broni, gdyby nie brak amunicji.

Miałem jej zastraszająco mało. Cóż bowiem znaczyło tych kilkadziesiąt metalowych stożków, rozsypanych na wielkim blacie stołu. Dwie, trzy serie — a potem?

Na razie żadnych nadziei na przyszłość, a tymczasem jest już pogotowie. Może jutro, pojutrze rozpocznie się walka. W oddziale było jeszcze gorzej. Byłem nawet trochę zły, mimo całego podniecenia spowodowanego zapowie-

dzią walki, na swoje władze przełożone. Wiedzieli przecież jaki jest stan naszego zaopatrzenia. To też z pewną szorstką niechęcią zgarnąłem cały swój „majatek” i schowałem to wszystko do podręcznej skrytki. Moje ponure myśli przerwał nagle sygnał telefonu.

— Tak, to ja!

— Kto? Wujek? — Ach, tak, naturalnie, bardzo proszę.

Pochłonięty rozmyślaniami nad ubóstwem swojego oddziału zapomniałem zupełnie, że „Wujek” to po prostu pseudonim jednego z łącznikowych, który w ten sposób zapowiadał swoje przyjście, aby bezpośrednim pukaniem do drzwi nie wywołać niepotrzebnego popłochu wśród ewentualnie zebranych u mnie kolegów.

— Jest coś nowego?

„Wujek” uśmiechnął się tajemniczo i wycedził:

— Tak. Przywiozłem szkło...

— Szkło? Jakie szkło? POCO mi ono?

„Wujek” tymczasem gapił się na mnie swymi nieznośnie krótkowzrocznymi ślepiami, w których błyszczały wesołe ogniki jak u sztabaka, po dobrym kawale spletanym nauczycielowi.

Byłem już po prostu wściekły!

— Czego się śmiejesz, ty piegowaty rudzielcu?

„Wujek” podniósł znacząco palec do góry.

— Bardzo ciężkie.

— Co bardzo ciężkie? Szkło?

— Bardzo ciężkie — powtórzył „Wujek” — ledwo je wywindowałem na to twoje cholerne czwarte piętro.

Teraz dopiero spostrzegłem, że po roześmianej i piegowatej twarzy przybitego ciekły strumyki potu. Bez słowa już poszliśmy do przedpokoju. Wielka paczka tekturowa z napisem „Ostrożnie! Szkło!” świeciła swoją białością. Spróbowałem ją podnieść. Rzeczywiście diabelnie ciężka. Aż mnie dziw brał, skąd u tego chłopaka wzięło się tyle sił, aby ten bagaż wnieść tak wysoko.

— No, co? — dopytywał „Wujek”...

— Rzeczywiście — odmruknąłem — Dziwne jakieś szkło. Nagle myśl szalona jak błyskawica przemknęła mi przez głowę. Boże! To może jest?... Nie — to byłoby zbyt wspaniałe.

Spojrzałem na „Wujka” z takim widocznie jednak wyrazem twarzy, że od razu zorientował się o czym myślę.

Skinął mi z uznaniem głową, a potem z dziecinną jakąś radością zaczął biegać po pokoju wołając:

— Amunicja, amunicja do „Szmajsera”!

Byłem wzruszony. Rozerwałem sznur krępujący pudło. Magazyneki leżały równiutko jeden obok drugiego.

— Mów — skąd? W jaki sposób? Czy miałeś trudności z przewiezieniem?

Zasypany gradem pytań, „Wujek” z całą powagą i świadomy swego czynu rozsiadł się w wielkim fotelu. Zapalił papierosa, zaciągnął się i rozpoczął swoją opowieść.

— Na punkcie pocztowym otrzymałem rozkaz zameldowania się na Wileńskiej. Na miejscu, co prawda, trochę się krzywiono na mój wygląd zewnętrzny. — Wiesz, że na siłacza bardzo nie wyglądam — dodał z pewnym żalem. W pierwszej chwili byłem tak jak i ty zdeorientowany napisem na paczce. Wiesz już teraz, że to na pozór głupie pudło okazało się co prawda bardzo mądre, ale też niestety bardzo ciężkie. Wynosiłem je jednak robiąc rozpaczliwe wysiłki, aby nie zauważono, że jest tak ciężkie i ulokowałem się wraz z bagażem w tramwaju. Paczkę wpakowałem pod ławkę w pierwszemu wozie, a dla pewności płaszcz tak opuściłem, aby była jak najmniej widoczną. W pewnym momencie do tramwaju podjechał samochód z żandarmerią, zatrzymali nas i rozpoczęli rewizję, poczynając od drugiego wozu. Wyjść już nie mogłem. Broni przy sobie nie miałem, aby ewentualnie, gdy zajdzie tego potrzeba, sprzedać się drogo. Bo przecie wiesz, jaki czekałby mnie koniec.

Spojrzałem ukradkiem na szczupłą postać „Wujka”. Jego zwykle roześmiane oczy miały teraz jakiś zimny i twardy wyraz. Tak! Wierzyłem mu. Ten szczeniak, bo zaledwie 17-letni chłopak, walczyłby do ostatka.

„Wujek” tymczasem zaciągnął się papierosem zupełnie prawie tak jak dorosły i ciągnął dalej.

— Siedziałem wobec tego dalej spokojnie powtarzając sobie stale — tu spojrzał się na mnie — twoje słowa. — Spokój, opanować się, a wyjście jakieś na pewno się znajdzie.

I ratunek przyszedł. Nie ode mnie był wprawdzie zależny. Przeszedł ze strony najmniej oczekiwanej. Oficer żandarmerii, który kierował rewizją, uznał po zbadaniu tylnego wozu, że wszystko jest w porządku i śpiesząc się widocznie dał znak do odjazdu.

Byłem uratowany. Wiesz przecież, że nie tylko ja, ale i ci, którzy jadąc wraz ze mną w wozie nie domyślali się nawet jakie groziło im niebezpieczeństwo.

Tak, wiedziałem. W takich wypadkach żandarmeria zabierała wszystkich pasażerów pod zarzutem współwiny.

Zaległa cisza.

„Wujek” misternie wypuszczał kłęby dymu i zagubiony w objęciach wielkiego, klubowego fotelu wydawał się być jeszcze ostrożniejszym. Tylko stojąca przed nim paczka z amunicją była dowodem, że największą siłą, która zdolna jest przezwyciężyć wszystkie trudności — jest poświęcenie.

A więc stało się!

Warszawę ogarnął szal radości. Wszędzie gorączkowy ruch. Jacyś chłopcy biegnący z bronią w rękę, młode dziewczęta z paczkami, teczkami pełnymi amunicji, środków opatrunkowych. Wszyscy uśmiechnięci i rozradowani zdają się nie widzieć niebezpieczeństwa, które nagle przyszło mogło z sąsiedniego zaułku, z wysokiego dachu. To nic, że ten czy ów pada na twardy bruk warszawskiej ulicy, pisząc długą strugą swej krwi nową historię walki o wolność.

To nic!

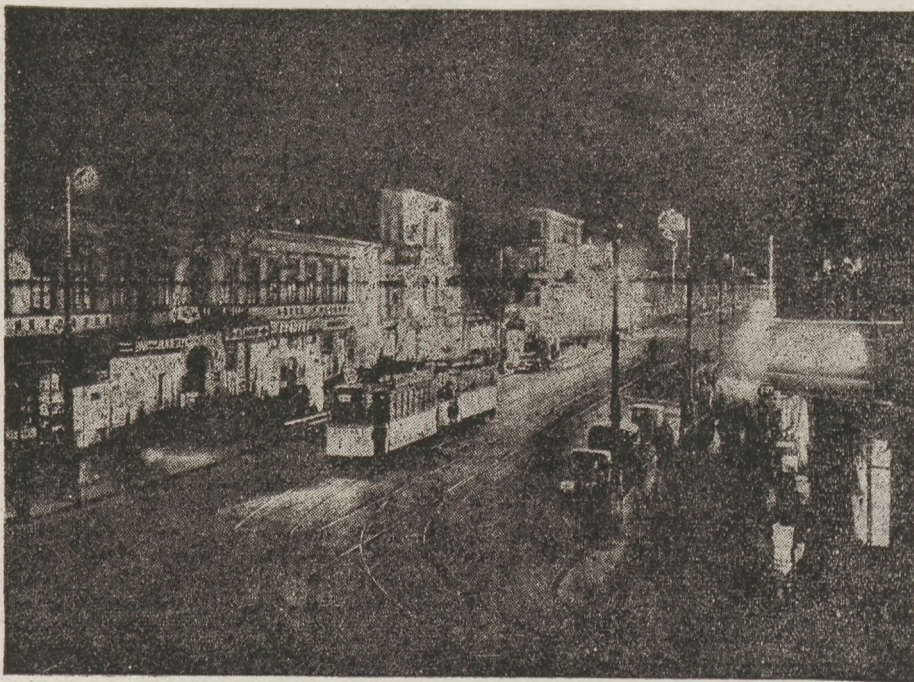
Bo przecież nad nimi na balkonach i w oknach, na dachach i słupach, znów łopoczą na wietrze polskie sztantary. Znowuż, tak jak kiedyś, białe-czerwone plamy drgając na błękicie zdają się urągać dotychczasowej niewoli. Tutaj właśnie, w Warszawie. W tej samej Warszawie, w której Hitler odbierał kiedyś defiladę swej stalowej armii.

Warszawa stroiła się teraz w orły i proporce.

Warszawa cieszyła się teraz jak dziecko, gdy po długiej rozłące zobaczy swą dawno niewidzianą matkę.

Warszawa płakała ze wzruszenia na widok swych dzieci najdroższych, idących znów do walki.

Warszawa pieszczotliwie i z tkliwością przegromną kryła na swych placach i ulicach pierwsze relikwie poległych za wolność. Dzisiaj nie było tutaj nieznanomych i obcych. I ci, którzy przygotowywali ten dzień, i ci, któ-



Warszawa. Ulica Marszałkowska przed wojną.

rzy czekali nań z takim utęsknieniem zbolełego niewolą serca rozumieli się zupełnie.

Odrzucili drobne sprawy dnia codziennego, aby wspólnym wysiłkiem serca, mózgu i ramion dać świadectwo swej woli.

Woli zwycięstwa dla wolności. Tej wolności wspaniałej, a tak utęsknionej, którą przez wieki całe rządziła się polska dusza.

Pracował dziś każdy.

Jedni w zwartych grupach szli na pozycje pierwszej linii. Drudzy rwali kamienie i chodnikowe płyty, aby budować z nich szańce i barykady. Inni jeszcze organizowali punkty żywnościowe i opatrunkowe.

A wszyscy byli radośni i weseli. I chociaż niejednemu z tych bojowników niemiecka kula przeorała pierś, to przecież umierając wiedzieli dobrze, że przyjdą po nich inni. Oni dokończą dzieła rozpoczętego w godzinie czynu i dla nich już na zawsze szumieć będą wysoko polskie, białe-czerwone sztandary.

Wyszliśmy na Plac Żelaznej Bramy. Z każdego domu ukryty na drugim piętrze niemiecki „Spandau” zachłystywał się pociskami, tworząc ruchomą, śmiertelną zaporę.

Rozspaliśmy się pod ściany i pomiędzy jedną a drugą serią skokami ruszyliśmy w głąb. Niespodziewanie przyszła nam z pomocą silna grupa A.K. Wzmocnieni, zaatakowali budynek. Niemcy bronili się rozpaczliwie. Poprzez wybite w suficie otwory sypały się nam na głowę niemieckie granaty.

Próżne były jednak ich wysiłki. Jeszcze dwa, trzy skoki, jeszcze kilka rzuconych „filipinek” i poprzez palące się drzwi wpadamy do ich schronu. Na podłodze rozrzucone skrzynki z amunicją, stosy puszek do konserw i długi rząd wypróżnionych butelek. Przy oknie rozkraczony „Spandau” gorący jeszcze, szczyrzył na ulicę swoje jadowite żądło. Z pięciu walczących tam Niemców jeden żył jeszcze. Przerazone oczy wbił w nas, jak gdyby wzrokiem błagał o litość. Na nowym miejscu zagospodarowaliśmy się szybko. Mnie w udziale przypadł obowiązek odprowadzenia rannego do najbliższego punktu opatrunkowego. Nasi chłopczy, szczęśliwie jakoś mniej ranni opatrywali się sami na miejscu, aby nie uszczuplać sił w wypadku nowej walki. Przeszedłem z rannym zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy niespodziewanie za sobą usłyszałem charakterystyczny huk posuwających się wozów pancernych, a potem gwałtowne strzały. Rzucałem się wraz z rannym Niemcem do jakiegoś rowu.

Od strony Saskiego Ogrodu posuwały się trzy samochody pancerne i jeden czołg. Całą siłę swego ognia skierowali na oswobodzony przez nas przed pół godziną — dom. Ze stanowiska mojego widać było po każdym strzale wstrząsy pancernego kolosa. Budynek, w którym teraz broniła się nasza grupa, był jedynym wielkim tumanem pyłu i kurzu z walących się ścian. Sytuacja niewesoła. Mój Niemiec jęczy straszliwie. Ja sam tutaj jestem zupełnie bezradny, a tam za chwilę może zginą moi ko-

ledzy i przyjaciele serdeczni, z którymi już niejedną przeżyliśmy chwilę.

Z pomiędzy podnoszących się kłębow kurzu i dymu wyłoniły się pancerne wozy, podjeżdżając coraz bliżej pod palący się dom. To ich zgubiło. Nasi mieli butelki i banki z benzyną, a ochotników nigdy nie brakowało.

Potężny błysk — detonacja, jedna, potem druga i samochody płoną jak stos suchego drzewa. Znów suche serie naszych „Stenów”. Widzę już teraz wyraźnie wybiegających pojedynczo z płonącego domu, kolegów.

Wybiegam i ja ze swojego schronu. Szybkość natarcia i płonące dwie maszyny tak przeraziły pozostałych Niemców, że zarówno załoga czołgu, jak i trzeciego wozu poddała się. Mamy pierwszych jeńców. Nasi specjaliści od broni motorowej obsadzają czołg i samochód. Wywieszamy biało-czerwoną flagę i pełni jak najlepszych myśli kierujemy się na Plac Kercelego. Jest mi trochę żal, że nie brałem bezpośrednio udziału w tej walce, ale w radości ogólnej szybko zapomniałem o tym zmartwieniu i wraz z innymi darłem się na całe gardło.

*Pożyczę dziś od „Wilka” Visa,  
A gdy zapadnie ciemna noc  
Pójdę na miasto po „Tygrysa”  
U stóp Matgosi złożę go.*

Długie tygodnie ciężkiej walki.

Zapomnieliśmy już o pierwszych dniach, o dniach radości i uniesienia, o dniach, w których w naiwności swojej wierzyliśmy, że przecież tak blisko będący nas bolszewicy przyjdą z pomocą. Marzyliśmy też wtedy, może jak szaleńcy, że przyłeci do nas pomoc na skrzydłach angielskich samolotów. Pomoc tak potrzebna szczególnie teraz, przy kończących się rozpaczliwie środkach do dalszej walki.

Nam teraz trzeba amunicji, i broni!

Czy nikt nie słyszy naszego wołania? Czy Europa nagle wyludniła się i tylko my jesteśmy, jedynym stosem płonącym za umiłowane ideały?

Gdzie czyny po słowach wielkich i pięknych, pisanych na bezmiarze Atlantyku?

Patrzę na swoich żołnierzy. Blade i wynędzniałe twarze, brudni, niemcy od dawna, bo wody wystarcza zaledwie na zaspokojenie gorączkowego pragnienia. Oczy błyszczące niezdrowym blaskiem patrzą w głąb ulicy, skąd lada chwila ukazać się może wróg. Tak! Jeszcze może kilka dni, może kilkanaście. Kiedyś bowiem musi przyjść kres ludzkiej wytrzymałości. Leżę za stosem worków napełnionych piaskiem. Za kamiennym szansem usypanym, może twardej rękami warszawskiego robotnika, a może krwawiącymi paluszkami dziewczyny z „Cafe Club”, czeka nas garstka nieliczna za osłoną wydartą z piersi warszawskiej ulicy, na sygnał do dalszej walki. Nie wiem dlaczego przychodzą do mnie jakieś dawno słyszane słowa. Jakież wiersze lgną uporczywie na usta. —



Warszawa przed Powstaniem

*Aż ręka w ładownicy długo i głęboko  
szukała, nie znalazła...*

Tak! My już tak jak i tamci nie mamy czym strzelać. Ci, co bezpieczni teraz i wolni, żyją gdzieś daleko od nas, zapomnieli o przyrzeczeniach i słowach

My chcemy i musimy bić się mimo znużenia i głodu, co mgłą oczy zasłania.

Tylko dajcie nam broni i amunicji!

Słyszycie? — Amunicji!

Znowu rozległy się długie, jazgotliwe serie niemieckich „Spandau'ów”. Z szumem i chichotem jakimś obłąkanym lecą granaty na nasz kamienny szańcyk.

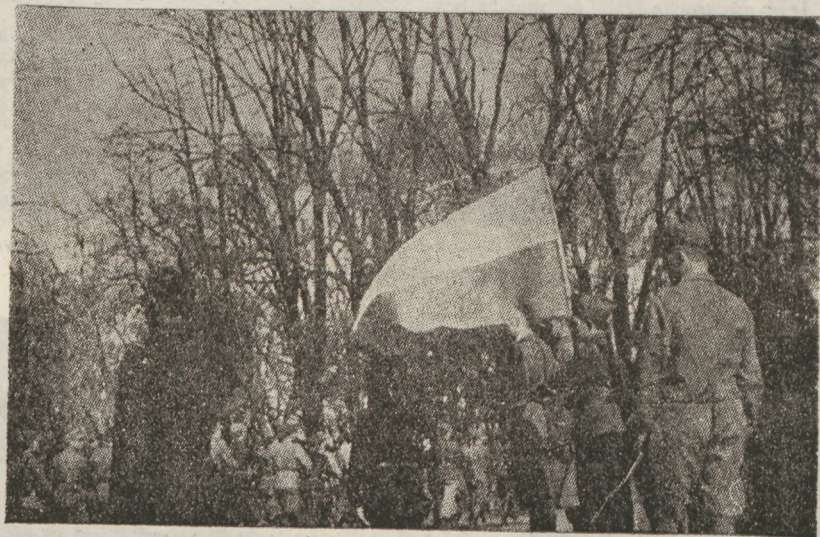
Wcisnąłem się bardziej w załom między worki i chodnikowe płyty. Patrzę przez przeziernik, aby móc tak, jak kiedyś we wrześnie słyszane słowa powtórzyć teraz do swoich.

— Żołnierze, strzelać celnie!

wpędził. czarne chmury dymu i wtedy wysoko na niebie jak wśród białawych obłoczków pękających pocisków płynęły po błękiecie dwie trójki wielkich i ciężkich bombowców.

Oczom nie wierzę.

A więc nie zapomnieli o nas! A więc gdzieś daleko myślano o nas, walczących tu, w Warszawie. A więc nie chcą skazać nas na zagładę zupełną. Wszyscy jak zahipnotyzowani patrzą w niebo, gdzie jak zwiastuny szczęścia wykwitają jedna po drugiej białe, jedwabne półkule. Wiadomość roznosi się lotem błyskawicy. Półtrup ludzkie, wynędzniałe i czarne od dymu i brudu wylażą z piwnic i zakamarków. Ulica już pełna tego tłumu rozgorączkowanego. W oczach nowe błyski. Znow zapal do walki prostuje sponiewierane ciała. Radość zalewa serca i kraśni rumieńcem rwarze. Ręce zaciskają się w pięści mocne jak dawniej, a z piersi wybuch



### *Święto narodowe w 9 Zamojskim Pułku Piechoty Armii Krajowej*

To były ciężkie i twarde dni. A przecież jasno było i pogodnie. Ciemniejący błękit jesiennego nieba wisił nad nami jak wielka bania gigantycznego spadochronu. Nie wiem właściwie skąd przychodzi na myśl spadochron, który przecież nigdy nie jest błękitny. To zapewne uporczywa, podświadomie wracająca myśl o czymś, czego się tak bardzo pragnie, maluje w wyobraźni obrazy jakieś nierealne.

W tej chwili walczą się z hukiem w głębi ulicy ściana sześciopiętrowego domu zasłoniła mi niebo tumanami pyłu. Szkoda — takie było jasne. Poprzez kładące się ciężko wały kurzu i rumor rozsypującej się cegły pięknego kiedyś domu usłyszałem nagle gdzieś wysoko, zrazu pojedyncze, a potem przechodzące w nawałnice wybuchy pocisków.

Artyleria przeciwlotnicza? Tutaj, nad Warszawą? POCO? Mielśmy tu co prawda stale nad głowami samoloty, ale przecież tylko niemieckie. Dopiero wiatr, cudowny wiatr zachodni

potężny, a dawno już zapomniany krzyk: Niech żyje Anglia!

Dzień tak piękny, że porównać go mogę jedynie do pierwszych dni wybuchu powstania. Radosny i szczęśliwy. Tylko czarna smuga dymu zapalonego pociskiem samolotu — pisze na niebie cenę naszej radości.

Od kilku godzin ogłoszono już zawieszenie broni. Dymią jeszcze wczoraj zapalone domy. Słychać tu i ówdzie rumor zapadających się ścian, ale przecież mimo wszystko cisza zda się być zupełna. Nie słychać huku pękających „szaf” ani jazgotu niemieckich „Spandau'ów”. Denerwujący jest ten nowy i niespodziewany zupełnie dla nas wszystkich stan. Jeszcze chwilami zdaje mi się, że to tylko krótka przerwa i jakaś nieoczekiwana cisza przed mającym za chwilę nastąpić atakiem.

Mimo woli dotykam swojego starego przyjaciela, zdobycznego „Szmajsera”.

Ach prawda! To już wszystko niepotrzebne! Przecież rozkaz brzmiał wyraźnie. Przerwać akcję. Trwają rozmowy kapitulacyjne.

Gdzieś od wschodu zawiewa deszczem i chłodem jakimś przejmującym. Drobnutki kropelki dżdżu chłodzą rozpalone czoło. Spływają cieniutkimi strumykami, niosąc do ust słony smak kurzu i popiołu, splukanego z dawno nieomytej twarzy.

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że czeka na mnie grupka cywilów, których uratowane częściowo mieszkania znajdują się naprzeciwko w bloku domów, zajętych przez niemieckie oddziały. Proszą o interwencję i wyjednanie zezwolenia na zabranie choćby części najkonieczniejszych rzeczy.

Przygotowuję się do rozmowy z Niemcami. Wielkie wiadro wody, jakąś pogięta miednica. Jakaż to cudowna rzecz, ta woda. Myślę z pewną ulgą — że nie trzeba zastanawiać się teraz nad każdą kropelką tego cennego płynu.

— Wszystko stało się nieważne.

Ktoś z naszych żołnierzy wystawił na worki z piaskiem radio. Kończąc pośpiesznie toaletę, słucham muzyki. Melodia dawno już zapomnianego walca zdaje się urągać nam i tym zgłiszczom oziębiałym z bólu, czarnym i posępnym.

Krzyknąłem ostro. Dostyc, dostyc psiakrew!

Poderwany głosem przyjaciel poruszył nerwowo gałką i nagle z głośnika buchnęło polską mową.

— Zdraycy Polski, którzy pod pozorem demokratycznych haseł wygubili pracujący lud Warszawy, nie ujdą przed gniewem ludu...

Ach tak! To nasi sędzieli z za Wisły, których jedyną akcją wojenną było odstąpienie od krwawiącej Warszawy. Jedyną pomocą dla warszawskiego ludu były wezwania do walki — przed powstaniem — i słowa nienawiści w dniu kapitulacji.

Radio ucichło. Idę do Niemców. Krótka rozmowa z posterunkiem, opaska na oczy i po chwili znajduję się w pięknie urządzonej pokojku ocalałego cudem chyba domu. Rozmawiam z kapitanem, dowódcą odcinka. Sprawa dobiega końca. Oficer w grzecznych słowach oświadcza mi, że skomunikuje się ze swym przełożonym. Po otrzymaniu instrukcji prześle mi natychmiast odpowiedź.

Wychodzę.

Niemiecki kapitan wyciąga rękę. Ale widocznie mój wzrok był tak niepojednawczy, że ręka wolno opadła.

— Ach! Gdybyśmy my, Niemcy, mieli takich żołnierzy, jak wy Polacy, to dziś już Rosja, ten największy wróg ludzkości, leżałaby w gruzach!

Wyszedłem. Teraz już bez opaski na oczach. Na dole młody podporucznik, którego „znałem” już dawniej z „widzenia” w akcji — rzucił komendę stojącemu posterunkowi:

Prezentuj broń!

Popatrzyłem na wyprężone postacie niemieckich żołnierzy. Jakie to wszystko dziwne, ten głos „sojusznika”, dochodzący z radia, chrapliwy i dziki, plujący najpotworniejszymi oskarżeniami i ci wrogowie prężący się przed polskim oficerem, ze wzrokiem pełnym podziwu i szacunku.

Stanisław Piaskowski

## Kalina

Świł mgłami dymi biało  
i rosa spływa z liści..  
... Na połamanych walką krzakach  
zimna kalina wisi ...

Co się tym chaszczem przewalało?  
Potyczka tu była? Jaka?  
... Kalina tyle wie, że kiściami  
bębnily jagody po czakach...  
Czemu cię szablą tak zsiekanio?  
Co korę ci zdarło? Wystrzał?  
... Kalina tyle wie, że rano  
rosa jest najsrebrzystsza...

Hej! Jak tu lubczyk wydusili!  
Co po nim przeszło? Kopyta?  
... Kalina tyle wie w tej chwili,  
że za leszczyną świta...

Od trawy mgła wilgotna wstała?  
Skąd krew na prętach? Dlaczego?  
... Kalina jest mokra i dojrzała  
i nie pamięta niczego...

Beata Obertyńska

## Kraj i emigracja

Nie jest to prostym zbiegiem okoliczności, że jako emisariusz Rządu Polskiego do władz Polski podziemnej, proszony byłem mniej więcej przed rokiem w Warszawie o napisanie artykułu na ten sam temat dla prasy krajowej. Fakt ten świadczy o jednakowo doznawanej potrzebie uzgadniania stanowisk, zadań i akcji. Miałem możliwość obserwować dwukrotnie życie w Kraju w ciągu tej wojny, oraz pod okupacją sowiecką, drugi raz — pod niemiecką. Dzięki tym obowiązkom kurierskim miałem możliwość poznać problem wzajemnego stosunku Kraju do Emigracji. Starałem się być jednym z ogniw łączących. Niestety, w ciągu ostatniego roku zaszły w Kraju daleko idące, tragiczne przemiany. Znając z autopsji stosunek ludzi w Kraju do Polaków żyjących w wolnym świecie, pragnę wczuć się jak najwierniej w dalszy proces myślowy nad tym zagadnieniem.

Problem jest obszerny i skomplikowany. W artykule niniejszym zając się pragnę głównie jednym aspektem tej sprawy, a mianowicie zagadnieniem, czego Kraj oczekuje od Emigracji. — Używając wyrazu „Kraj” zdaję sobie sprawę, że jest to poważne uogólnienie. Precyzując, stwierdzam, że mam na myśli ludzi żyjących w Polsce, zdolnych do planowego myślenia politycznego. Z rozumowania tego wyłączam momenty natury prywatno-osobistej jak np. tęsknota dzieci do ojca, żony do męża, stosunek Polek w Kraju do problemu „żon szkockich” i t.d., aczkolwiek i te motywy odgrywają pewną rolę w ogólnych nastrojach Kraju. Niewątpliwie, wywody moje nosić będą charakter pewnego generalizowania, nie jest ono jednak tak bardzo nieściśle, jakby się to mogło wydawać różnym analitykom emigracyjnym. Wysokie napięcie przeżyć, wrażeń i myśli, przez jakie przechodzą od lat sześciu ludzie w Polsce — kuje syntezy proste i oczywiste. Element gry i manewru dotyczy tylko strony wykonawczej, wchodzi w rachubę w technice wprowadzenia tych jasno wytyczonych celów w życie. Ludzie w Kraju nie podlegali tym przeróżnym wątpliwościom, rozterkom duchowym, tej całej intelektualistycznej hysterii, jakiej poddają się różni zblazowani emigracją „London-Poles”. Pewne prawdy bezwzględne były tam, w Kraju, stawiane z całą wyrazistością i powszechnie na ogół przyjmowane. W warunkach walki nie można bowiem dzielić włośa na cztery części. Stąd np. zasadnicze zebrania polityczne były tam krótkie, treściwe — rozdziły zupełnie

określone decyzje — w odróżnieniu od mnogich nie kończących się i rzadko efektywnych konwentykli partyjnych za granicą. Najlepszym przykładem tej wspólnoty i jedności „wiary” politycznej była, zapomniana na gruncie londyńskim, deklaracja Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 r. W Warszawie potrafili ją opracować, przedyskutować, przyjąć i podpisać przedstawiciele wszystkich głównych ugrupowań politycznych.

Kraj odróżnia wyraźnie emigrację zbrojną od emigracji cywilnej. Ta pierwsza otoczona jest miłością głęboką i nimbem heroicznej legendy. Zwycięstwa oręża polskiego stanowiły największą otuchę do wytrwania i mocy, stanowiły pokrzepienie serc w dniach smutku i niedoli, oraz były podniecią do dalszej wiary w nieśmiertelność sprawy polskiej. Niemal każda rodzina posiada poza Krajem kogoś, kto walczy o Jego wolność. Był to więc naturalny, rodzinny stosunek do żołnierza-tułacza. Daleki jednak od jakiegokolwiek sympatii do soldateski i ingerencji zawodowych wojskowych w życie polityczne. Ludzie w Polsce rozumieją, że coraz mniejszy procent stanowią w niej emigranci „zmotoryzowani” z t. zw. grupy zaleszczyckiej. Bo przecież w pierwszych latach wojny poważna część aktywna młodzieżowego szczególnie z dzielnic połudn., przeniknęła przez Karpaty w drodze pod polskie sztandary. Następną falą byli Polacy z Rosji. A dziś, liczbowo przeważają ci wszyscy, którzy, czy to samorzutnie, czy też na skutek działań aliantów zachodnich wydostali się spod panowania niemieckiego. Dopóki w Kraju nie będzie jako takich warunków wolnego życia, dopóty emigracja rosnąć będzie w liczbę. Z doświadczeń lat ostatnich wiemy bowiem, że dla Polaków nie ma granicy nie do przebycia.

Ponieważ niemal każda rodzina ma kogoś bliskiego, kto po takich czy innych tarapatach walczy dziś za granicą o wolność dla swych najbliższych, to wbrew całej propagandzie zozydzenia emigracji, która niechybnie potęgować się będzie coraz bardziej — więzi uczuciowe i rozumowe między Krajem a emigracją zbyt są mocne, by można je było rozzerwać. Oczywiście wiedzą tam w Polsce, że emigracja także nie jest stanem łatwym i przyjemnym do przeżycia. Wiedzą o nostalgii i tęsknocie, wiedzą o przystawionych emigracyjnych swarach. Nie idealizują nas bynajmniej, nie mniej jednak obciążają nas zarówno indywidualnie jak





(Rys. Krystyna Domańska)

i zbiorowo ogromnymi, ponad siły, być może — zadaniami. Nie sądzą, że w Kraju zostali lepsi Polacy, a wyjechali gorsi. Trudności życia i działania w obcym, nie zawsze przychylnym środowisku, są przez opinię Kraju doceniane. Ale nie mogą tam zrozumieć, ani przebaczyć, że Polacy mogą być rozbici. Wszelkie głosy o braku pełnej narodowej jedności przynoszą smutek i rozczarowanie. Prawda jest bowiem dla nich jedna: któkolwiek wolny — walczyć winien ile sił i tchu starczy z każdym wrogiem, utrzymującym Polskę w stanie niewoli. Ludzi w kraju drażni często zbyt ni sentymentalizm emigrantów, rozumiałe, ale mało wzruszające „ach” i „och”, które nie rodzą niczego poza roztkliwiającym wspominkarstwem. Kraj, który nauczył się patrzeć na teraźniejszą rzeczywistość i patrzeć w daleką przyszłość — żąda od emigracji, by zwrócona była twarzą w jutro, a nie poza wczoraj. Stąd tak trudno w Polsce zrozumieć tych epigonów polityki polskiej sprzed lat kilkudziesięciu, którzy jeszcze ciągle prowadzą swoją prywatną, sprzed lat dwudziestu co najmniej, wojnę. Chciałoby bowiem, aby uwaga wszystkich polityków polskich zwrócona była na walkę z zewnętrznymi nieprzyjaciółmi — a nie ze straszakami z przeszłości. Prawda — sanacja nikt się w Kraju nie zachwyca — ale skończyła się ona tam raz na zawsze. Sanacja nie umiała wychować sobie ani średniaków ani młodzieży, nie ma więc przed sobą żadnej przyszłości, a ściślej, nie ma w Kraju i teraźniejszości. A właściwe oblicze polityczne nadaje dzisiaj

Krajowi właśnie to pokolenie średnie i młode, które dźwiga na sobie cały ciężar walki bezpośredniej.

Mówi się powszechnie, że było w Polsce pokolenie: Daszyńskich, Dmowskich, Korfiantych, Paderewskich, Piłsudskich, Ratajów, Sikorskich i Witosów. Winą tego pokolenia było, że jego najwybitniejsi przywódcy nie umieli ze sobą harmonijnie współpracować. Zaletą ogromną było wspólne dążenie do Polski Niepodległej. I dla nas — pokolenia Polski Odrodzonej — najważniejsze jest to, co było tamtym wspólne, o mniej ważne to, co ich dzieliło. Dla Kraju są oni wszyscy razem częścią polskiej historii. Ale my nie chcemy by spory ich były kontynuowane. Dopóki jesteśmy wszyscy razem w pierwszej linii frontu, nie chcemy, by nas szufladkowano na ludzi tego, lub owego przywódcy. Wśród emigracji politycznej jednak, owo nieszczęsne szufladkowanie trwa nadal i wciąż stosuje się mocno już zardzewiały klucz partyjny, którym nie sposób wprost otworzyć serca młodszego pokolenia.

Kraj patrzy daleko w przyszłość. Odnosi się jednak z pewną niewiarą do abstrakcyjnego teoretyzowania na emigracji. Pewne plany opracowywane w chorobliwie rozbudowanych emigracyjnych biurach planowania — nie trafiały ludziom krajowym do przekonania. Własny dorobek przygotowawczy państwowego aparatu podziemnego był imponujący i on to w pierwszym rzędzie powinien być brany w rachubę, jako związany z polską rzeczywistością.

Jeśliby szło o podejście generalne Kraju do emigracji w sprawach natury ogólnopolitycznej, to można je ująć zwięźle:

Kraj obarcza emigrację indywidualną i zbiorową odpowiedzialnością za stan sprawy polskiej w świecie. Stąd wypływa postulat nieustannego ambasadorowania wśród wolnych narodów. Z obowiązku tego nie może być nikt zwolniony bez względu na to jaką piastuje godność i jakie posiada talenty. Wierzy się w Polskę, że działa w świecie Polska kulturalna diaspora, że obok żołnierzy i polityków walczą malarze, pianiści i uczeni, prawnicy i sportowcy, lekarze i społecznicy. Wierzy się również, że walka ta trwać będzie w każdych warunkach i że dzięki niespożytej narodowej energii twórczej i nieprzeciętnym talentom nie da ona nigdy w żadnym wypadku zejść sprawie polskiej w cień zapomnienia. Wierzy się, że prawda o Polsce, głoszona wszelkimi środkami, przewycięży brak takich środków materialnych i technicznych, jakimi rozporządzają nasi wrogowie i wyposażeni przez nich agenci.

Kraj żąda też, by emigracja nie popadła w błędy, popełnione przez poprzednie polskie i nie-polskie emigracje. Żąda, byśmy się czegoś z doświadczeń tych nauczyli, byśmy nie poszli w rozsypkę, byśmy się nie zaciągnęli do służby obcym, która przestała już być służbą dla Polski, byśmy nie popadli w defetyzm i niewiarę. Byśmy nigdy i w żadnych warunkach nie skapitulowali. Kto prawdy tej zrozumieć nie chce lub nie może, ten Kraju nie rozumie, ten łączność z nim duchową zatracił doszczętnie.

Kraj wierzy, że emigracja do Polski powróci w całości, powróci wówczas, kiedy zaisniewią odpowiednie ku temu warunki. Żąda się od nas bezwzględnie stałego pogotowia do powrotu. Ci, co się na różne sposoby urządzają, z myślą pozostania na uchodźctwie na zawsze, ci są w opinii Kraju czymś w rodzaju emigracyjnych quislingów. Tu nie chodzi o to, by się w ogóle nie urządzać, nie idzie o to, by stale siedzieć na walizce i wzdychać. Idzie tu o zasadnicze psychiczne nastawienie. Ucieczka od Polski — czy też — pozostanie przy Niej.

Obserwując działalność polityczną niektórych polityków emigracyjnych na myśli mam pewien dowcip o syonistach, że są to tacy Żydzi, którzy drugim Żydów za pieniądze trzecich Żydów namawiają na wyjazd do Palestyny. Otóż tacy Polacy, którzy się sami urządzili i do Polski zamiaru powracać nie mają, natomiast innych gotowi są już dziś wysyłać pod władzę NKWD, ci najbardziej są obtudni. „Pogotowie” do powrotu oznacza bowiem gotowość do pracy ofiarnej nad budową Polski, nie zaś gotowość do przejazdu przez

stację przeładunkową na Sybir, stację, która nazywa się Polska.

Zagadnienie powrotu jest proste. Emigracja powrócić powinna po spełnieniu swego zadania, to znaczy wówczas gdy władzę w Polsce obejmie legalny Polski Prezydent i legalny Polski Rząd.



Wyk. mat. druk. Jan Orochowski

Od chwili, kiedy cała Polska znalazła się pod sowiecką okupacją, kraj zmienił w pewnym stopniu wyznaczone emigracji zadania. Zrozumiano bowiem powszechnie, że emigracja zbrojna i polityczna przeciągnie się i że jej to właśnie przypadnie główna rola w walce o wolność i niepodległość w naszym, polskim sensie tych słów. W Kraju na ogół nie łudono się bowiem co do sowieckich zamysłów. Znajomość warunków pierwszej sowieckiej okupacji i wieści z obszarów zajmowanych ponownie przez wojska sowieckie, dostarczały dość elementów dla trzeźwego sądu. Jeśli były jakie złudzenia, to zniknęły one w warszawskim powstaniu. Wszyscy wówczas pojęli, jakie są właściwe intencje Kremla.

Żyjąc w świecie twardych faktów, Kraj nie może podzielić różnych „realistycznych” złudzeń hodowanych przez wszelkich „statesmanów” i zaufanych w swym niesprytnym sprycie taktyków politycznych w Londynie. Dopóki w Kraju rządzi NKWD, dopóki Polska okupowana jest przez wojska sowieckie, a najlepsi Polacy są aresztowani, pozostają na zesłaniu i w więzieniach sowieckich — dopóty Polska nie jest wolną i niepodległą w polskim sensie tych słów. O tę wolność walczyć i dla

niej pracować musimy w pierwszym rządzie my, którym warunki fizyczne na to pozwalają. Kraj musi dostosować się do faktów, od których nie może uciec. Ale emigracji — powtarzam — kapitulować nie wolno, gdyż w niczym nie może to pomóc Krajowi. Emigracyjni kapitulanci niszczą jedynie wcale nie tak nikłą szansę odrodzenia Polski niepodległej.

Granice ustępstw koniecznych zostały wytyczone przez Kraj. Rada Jedności Narodowej obradująca w pamiętnych dniach sierpnia 1944 r. w płonącej Warszawie, a próbowała *contre coeur* t. zw. Memorandum b. premiera Mikołajczyka, zaznaczając jednak, że ustępstwa te uczynić należy jedynie w tym wypadku, o ile alianci zagwarantują prawdziwą niepodległość państwu polskiemu. Ustępstwa te określono jako ostateczne. Był premier Mikołajczyk zamierzał te granice przekroczyć. Jest więc rzeczą jak najbardziej naturalną, zgodną z zasadami demokracji, że musiał zrezygnować z urzędu premiera. Dalej było już tylko logicznym następstwem tych wypadków, że nowy Rząd utworzył Tomasz Arciszewski, ostatni wysłannik władz Polski Podziemnej.

Jest najzupełniej oczywiste, że różne sily będą próbowały wykopać między emigracją a Krajem przepaść nie do przebycia. Zadanie będzie dla nich ułatwione, ponieważ tym razem Kraj i emigracja być może będą musiały zajmować inne pozorne, choć w końcowych celach najzupełniej zbliżone stanowisko: Kraj będzie musiał podporządkować się przemocy fizycznej ale w duszy swej nigdy się z nią nie pogodzi. Emigracja ma walczyć dalej o wolność i niepodległość, aż do skutku cokolwiek by się w Kraju stało.

W razie utraty przez Kraj niepodległości Emigracja winna się stać poza tym jakimś żywym Raperswillem, który przechowa i przyniesie kiedyś z powrotem maksimum naszego kulturalnego dorobku do wyzwolonej ojczyzny. Stąd prosty postulat nieustannego pomnażania naszego intelektualnego bagażu. Każdy zdobyty na uchodźctwie dyplom, każda nabyta umiejętność — jest cennym zwycięstwem w walce o utrzymanie i rozwój narodowej



Plac Hiszpański w Rzymie

kultury. Walkę tę Kraj też będzie prowadzić, ale w niepomiarne ciężkich warunkach. Nie wolno nam więc liczyć, by wyniki tam osiągnięte w tej wojnie były pokaźne. Poniesiemy tam raczej nowe, poważne straty. Wojna wydana jest bowiem polskim przodownikom politycznym, duchowym, społecznym i intelektualnym. W pierwszym rządzie idzie o wyniszczenie polskiej inteligencji. Rosja Sowiecka już dziś rejestruje wszelkich fachowców. Na swe rozległe obszary eurasyjatyckie potrzebuje ona milionów „specjów”, techników, lekarzy, buchalterów. Nie potrzebuje zaś, a więc wyniszczy doszczętnie, humanistów. Rosja jest bowiem typowym przykładem braku proporcji w rozwoju duchowym. Nasz świat jest światem cywilizacji rzymsko-ateńskiej, cywilizacji chrześcijańskiej, humanizmu, hasła francuskiej rewolucji i demokracji. O ile świat nasz ma wyjść zwycięsko — nie może on trwać w lękliwej defensywie. Musimy przejść do wielkiej ofensywy w dziedzinie ducha i kultury. Ażeby właściwie ocenić rolę i odpowiedzialność emigracji w tej sprawie, trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że po sześciu latach walki w Kraju i po klęsce warszawskiego powstania, na emigracji znajduje się około połowy inteligencji, która przeżyła wojnę. Dlatego też władze polskie wojskowe i cywilne dołożyć winny wszelkich starań, byśmy się nie tylko kładli pokotem na polach bitewnych całego świata, lecz byśmy również namiętnie wchłaniali wiedzę na uniwersytetach, w pracowniach i laboratoriach, byśmy szeregi polskiej inteligencji na obczyźnie co najmniej w dwójnasób pomnożyli. Idzie o to, byśmy romantyzm celów i wiary umieli połączyć z pozytywizmem. Emigracje zarabkowe zwykły nadsyłać do macierzy części swych zarobków dla ulżenia dołi swych rodzin. Wielu wracało do Kraju (t.zw. Amerykanie) w dostatku ułatwiając rozwój gospodarczy swoich stron. Naszym zadaniem będzie wrócić z ogromnym dorobkiem wiedzy ogólnej i fachowej.

Sowiecko-lubelska propaganda zjeje już nienawiścią do emigracji, próbując zaszczerpieć zazdrość i zawiść społeczeństwa do obywateli polskich, żyjących w świecie wolnym. Gdyby Sowiety umiały zachować się w Europie nieco subtelniej, propaganda ta, być może, znalazłaby pewne powodzenie. W tych jednak warunkach jakiegoś nowego okupacja stworzyła, emigracja polska będzie dla Kraju nadal źródłem nadziei i otuchy.

Kraj liczy na to, że my, żyjący w świecie wolnym — powrócimy w odpowiednim czasie zdrowi fizycznie i moralnie, wypo-

częci, wyspani, nie zepsuci, zasobni w nabytą wiedzę i doświadczenie. Kraj wierzy, że stanąć będziemy mogli z miejsca, bez parad i defilady, przy warsztatach, że uzupełnimy co najmniej częściowo te ogromne wyrwy i luki, jakie przyniosła obecna wojna. Nasi najbliżsi czekają, że przyniesiemy ze sobą uśmiech i pogodę, zdrową atmosferę, która w ich pojęciu nierozzerwalna jest z warunkami wolności. Kraj wierzy, że wtopimy się w jego masę, a stop ten będzie stopem dwóch różnych, lecz przeciwie bliskich i równie szlachetnych metali. Smutne, że w tej planowanej akcji zohydzenia emigracji zabrakło ostatnio głosu sławetnego „Jutro Polski”, które uzasadniając brak poparcia w społeczeństwie polskim, na emigracji i siłach zbrojnych dla karkołomnej polityki b. prezesa londyńskich ludowców p. Mikojczyka — podchwyciło sowiecki slogan, że jest endecko-sanacyjna. Żołnierz polski, lotnik i marynarz — to taki sam człowiek naszego pokolenia jak ludzie Polski Podziemnej. Nie są oni niczyją własnością — ani endecji ani sanacji — ani ludowców ani socjalistów — nie są ludźmi żadnego „wodza”. Należą oni do młodego, polskiego pokolenia walki.

Często spotykam się z zapytaniem, na czym oparta jest wiara w Kraju w zwycięstwo. Czy jest to tylko wiara w sprawiedliwość Boską, czy też wiara w jakiegoś cudu? Nadzieja Polaków wiąże się z nieustanną ewolucją historyczną. Kraj nie jest jednak nastawiony optymistycznie, na krótką metę. Wiara w zwycięstwo „za trzy miesiące” przeminęła. Ludzie w Polsce są raczej pesymistami w przewidywaniach na czas najbliższy, zachowując optymizm w działaniu, a więc wiarę, że ludzkie czyny kształtują historię narodu. Kraj wierzy, że emigracja też spełni swe posłannictwo i że ostateczne zwycięstwo sprawy naszej jest rzeczą realną. Byśmy tej wiary nie zawiedli, musi nasze pokolenie, pokolenie walki, które w tej wojnie największe poniosło straty — Pokolenie Polski Odrodzonej — zdawać sobie w pełni sprawę z ogromnej odpowiedzialności za przyszłość Kraju.

W memoriale młodzieży Polski Podziemnej, podpisanym przez kilkanaście organizacji młodzieżowych, a skierowanym do wolnej młodzieży świata, który udało mi się przenieść z Warszawy do Londynu — ostatnie słowa brzmią następująco: „Pamiętajcie, najważniejszą rzeczą jest człowiek” — tak, najważniejszy jest człowiek — od każdego z nas więc zależy czy Naród Polski wyjdzie z tych zmagani zwycięsko.

J. Jur - Lerski

# Powrót

Mówicie, że u was jest wolność.

Może i jest.

Wolne są wiatry polne  
i światło gwiazd.

Wołacie byśmy wrócili,  
bo tam jest dom.

Lecz myśmy się długo bili  
o wolność rąk.

Myśmy siedzieli w więzieniach  
i w głębiach tundr.

Po trudnych latach milczenia  
dojrzał w nas bunt.

Po latach klęski i głodów  
wyrósł w nas gniew,

my nie możemy się poddać.

My i nasz śpiew.

Mówicie, że u was jest wolność.

Może i jest.

Wiemy, że każdą podłość  
Możecie znieść.

Wiemy, że od was można  
jechać na wschód,

po ciemną gwiazdę katorżną,  
po głód i chłód.

Nasz powrót przyjdzie niechybnie,  
choćby za wiele lat.

Ale przedtem pohybel

musi przyjść na wasz świat.

Ale przedtem za cenę ostatniej krwi  
musimy wolność odzyskać,  
by odtąd nią znówu żyć.

Na waszych Kremlach sztandary,  
wasza młodzież jest komsomolska.

Na naszych ziemiach pożary  
i krzywda polska.

Nasze rany

tak szybko się nie zablżnią,

i groby nasze zawsze będzie nosiła

ziemia.

Lecz jeśli dane będzie nam stanąć

w granicach bolesnej ojczyzny,

przedtem muszą z niej zniknąć

wasze dusze:

wasze więzienia.

Jerzy Bazarewski

## Reforma rolna — czy sowietyzacja?

Zagadnienie przebudowy ustroju rolnego jest jednym z najważniejszych zagadnień rzeczywistości polskiej, z którymi zetknie się nasza odrodzona Ojczyzna. Masa chłopska stanowi okragło licząc 2/3 ogółu całej ludności kraju; od jej zamożności, od jej uświadomienia politycznego, od poziomu jej kultury i cywilizacji zależy potęga gospodarcza, polityczna i kulturalna całego państwa.

Wszystko to, co w języku potocznym nazywamy krótko reformą ustroju rolnego, czy reformą rolną — nie ogranicza się absolutnie do parcelacji. Takie pojmowanie sprawy jest jej szkodliwym pomniejszaniem. Reforma rolna — to cały system zagadnień ściśle ze sobą związanych i wzajemnie głęboko zazębiających się. Ograniczanie przebudowy ustroju rolnego do parcelacji — to demagogia, lub w najlepszym razie dyktando w zakresie znajomości potrzeb wsi polskiej.

Parcelacja jest bezwątpienia jednym z czołowych zagadnień w tej dziedzinie, ale nie jedynym, ani nie odosobnionym. Zazębia się z nią ściśle — mówiąc przykładowo — sprawa komasacji, dalej sprawa pomocy kredytowej i to na ogromną skalę dla gospodarstw starych, upelnorolnionych, jak i dla nowych, powstałych jako produkt parcelacji.

Z parcelacją związana jest jak najściślej sprawa ustalenia minimalnej wielkości gospodarstwa, poniżej której rozdrabnianie go przy podziałach byłoby uniemożliwione. Jeśli parcelacja zostanie przeprowadzona bez określenia tego minimum — minie się z celem. Być może wpłynie na nieznaczną poprawę nędzy chłopskiej, ale jej nie usunie i nie da się odczuć w zakresie całej masy chłopskiej. Bez określenia tego minimum gospodarstwa samodzielne, pełnorolne, w przeciągu jednego pokolenia rozdrobnią się i przestaną być pełnowartościowymi warsztatami pracy. Niedzielenie gospodarstwa poniżej określonego minimum może być przestrzegane przez chł

pa — właściciela tylko wówczas, gdy będzie on widział realne możliwości zapewnienia bytu swoim dzieciom w dziedzinach poza-rolniczych, w przemyśle, handlu, rzemiośle.

Innym zagadnieniem o niezwyklej doniosłości dla wsi jest podniesienie poziomu produkcyjnego wszystkich gospodarstw chłopskich i przestawienie ich z typu czysto zbożowego na bardziej urozmaicony, z szerszym niż dotychczas uwzględnieniem hodowli, ogrodnictwa i innych działów produkcji rolnej. Wchodzimy tu w zakres kultury rolnej, w zakres racjonalnej organizacji i umiętnej eksploatacji gospodarstwa chłopskiego. Dziedzina ta była u nas, zwłaszcza w Polsce środkowej i wschodniej, w stanie całkowitego niemal zaniedbania. Wszelkie dotychczasowe usiłowania postawienia produkcji gospodarstwa na właściwym poziomie miały charakter czysto indywidualny i w masie nie znajdowały należytego oddźwięku.

Stworzenie szeroko rozgałęzionego systemu szkolnictwa rolniczego — szkolnictwa, nastawionego całkowicie na potrzeby gospodarstwa chłopskiego, a połączonego z przymusem szkolnym w zakresie szkolnictwa niższego jest sprawą, która wysuwa się na miejsce naczelne.

Chłop wyprodukowane przez siebie plody musi sprzedawać i to sprzedawać w ten sposób, aby zysk ze sprzedaży pozwolił na zaspokojenie wszystkich jego potrzeb zarówno materialnych, jak i kulturalnych. Dotychczas chłop zmuszony był sprzedawać wszystko to, co miał do sprzedaży — pośrednikowi prywatnemu, który wyciskał z niego wszystkie soki, wyzyskując bezlitośnie. Wszystkie zyski z handlu płodami rolnymi szły do kieszeni pośrednika i dla wsi, dla chłopów były całkowicie stracone. Chłop musiał zadawałać się ochłapem. Właściciel gospodarstwa nie był w stanie wysiłkiem indywidualnym uwolnić się od duszącego go łańcucha pośredników prywatnych.

Organizacja zbytu płodów rolnych i wymiana ich na produkty przemysłowe, to ogromne pole działania dla organizacji rolniczych — szczególnie typu spółdzielczego. Cała Polska musi być pokryta gęstą siecią organizacji rolniczych, których celem byłoby wytrącanie pośrednictwa handlu płodami rolnymi z rąk prywatnych i uchwycenie go we własne. W ten sposób cały zysk z produkcji warsztatu chłopskiego pozostanie w kieszeni jego właściciela.

Uwagi te nie mają najmniejszej pretensji do wyczerpania wszystkich zagadnień związanych z przebudową ustroju rolnego w Polsce. Chodzi o to, ażeby czytelnik po przeczytaniu tych kilku zdań wyrobił sobie pojęcie ogromu tych zagadnień, ogromu, który nas zmusi do głębszego przeobrażenia rzeczywistości nie tylko wiejskiej, ale w ogóle całej rzeczywistości polskiej.

Ogromu pracy przy przebudowie wsi nie można wykonać w przeciągu paru miesięcy...

Na jednym z ostatnich posiedzeń tzw. „krajowej rady narodowej” lubelski „premier” p. Osóbka-Morawski, według doniesień radiowych, oświadczył krótko, że reforma rolna została w Polsce całkowicie przeprowadzona i zakończona.

Tempo istotnie błyskawiczne, „norma”, której nie powstydziliby się wszyscy stachanowcy w kupę wzięci.

Ale „pan premier” nie powiedział przy tej okazji nic o innych zagadnieniach, tak przecież ściśle — jak to wykazaliśmy wyżej — z parcelacją związanych. Bo, że p. Osóbka, mówiąc o reformie rolnej, myślał wyłącznie o parcelacji — nie ulega to dla nas żadnej wątpliwości — nie dowiedzieliśmy się np. w jaki sposób parcelacja została przeprowadzona, do jakiego stopnia upelnorolnione zostały stare gospodarstwa drobne, ile powstało gospodarstw nowych, jaka ich jest wielkość, jaka pomoc w postaci kredytów na zabudowania, inwentarz i materiały siewne otrzymali posiadacze gospodarstw nowych, czy i w jakim stopniu z parcelacją połączono komasację i t.d. Pytania tego rodzaju mogliśmy mnożyć w długą listę. Na próżno jednak czekalibyśmy

na odpowiedź. Nie da nam jej ani sam „pan premier”, ani też jego „minister” rolnictwa Mikołajczyk. Nie da, bo jej dać nie może.

Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z parcelacją, wie dobrze, że nie jest to zagadnienie ani proste, ani łatwe. Już samo przeprowadzenie niezbędnych pomiarów parcelowanego terenu, pomiarów działek, przeznaczonych bądź to na gospodarstwa nowe, bądź na upelnorolnienie istniejących — to robota, której „na kolanie” zrobić nie można.

W przeciągu kilku miesięcy dzielących nas od momentu „wyzwolenia” Polski spod okupacji niemieckiej, przeprowadzono rzekomo całkowicie reformę rolną. W rzeczywistości uczyniono wszystko co można, aby zdyskredytować i skompromitować własność indywidualną. W nowych gospodarstwach, powstałych w wyniku tej „reformy” nie ma ani zabudowań, ani narzędzi rolniczych, ani inwentarza, ani nasion. Nowy właściciel zdany jest całkowicie na swoje dziesięć palców i palce swojej rodziny. Pomocy żadnej. Bo i skąd? Inwentarz żywy rozparcelowanego majątku został zjedzony przez armie okupacyjne, lub wywieziony na wschód, jako „łup wojenny”. To samo z inwentarzem martwym.

Nowe gospodarstwo chłopskie, miast stać się nowym wydajnym warsztatem pracy — jest w tych warunkach dalszym ciągiem nędzy chłopskiej, jej nowym i niepisany rozdziałem, codziennym borykaniem się z beznadziejnością, bez najmniejszej pewności jutra.

Nielepiej dzieje się i w gospodarstwach starych. I tu środki, zniszczone na skutek działań wojennych, nie dają żadnych możliwości pełnego wykorzystania ziemi. Ale tu przynajmniej jest dach nad głową — o ile w czasie wojny nie spłonął.

„Reforma”, przeprowadzona przez „rząd” bierutowo-mikołajczykowski nie jest żadną reformą rolną, zmierzającą do trwałej, skutecznej i korzystnej dla wsi i państwa przebudowy ustroju rolnego. Chodziło tu tylko o to, aby stosunki na wsi polskiej jak najbardziej upłynnić, aby wytrącić z nich element prawa, element stałości, aby przez nie

udzielenie chłopu pomocy zniechęcić go do gospodarki indywidualnej, wykazać mu całkowitą beznadziejność jego indywidualnej walki o byt, aby ten chłop wreszcie zgnębiony, wyczerpany, zniechęcony, doszedł sam do wniosku, że jedyną jego nadzieją jest kolchoz, że tylko kolektywizacja wyciągnie go z dna nędzy, do którego został wepchnięty przez głupią wiarę we własne siły.

Stalin powiedział kiedyś, że Rosja absolutnie nie ma zamiaru zagrażać niepodległości Litwy, Łotwy i Estonii. Jeśli dziś państwa te wchodzi w skład Z. S. R. R., jako któreś tam z rządu republiki, to tylko dlatego, że taka była „swobodnie” wyrażona wola Litwinów, Łotyszów i Estończyków.

Stalin powiedział również, że Rosja nie ma zamiaru wprowadzania w Polsce ustroju komunistycznego. No, ale jeśli Polacy sami zaczną u siebie ten ustrój

wprowadzać, to przecież sprzeciwić się on temu nie będzie...

Zrobić z polskiego chłopca nie uświadomionego obywatela, ale kolchoźnego parobka, harującego na użytek czerwonych carów — oto zakamuflowany cel lubelskiej „reformy rolnej”.

Do tego zmierzają wszystkie poczynania agentów N. K. W. D. i polskich zdrajców urzędujących w Warszawie, przedsiębrane na terenie wsi.

I dlatego oszczędność słów „pana ministra” była dla nas, tak jak dla każdego myślącego Polaka — bardzo zrozumiała i bardzo wymowna.

Reforma rolna przeprowadzona być musi i będzie przeprowadzona, ale rękami naszymi własnymi, polskimi; nie może się ona stać narzędziem podporządkowującym polską wieś kolchoźnemu systemowi, a Polskę — czerwonemu imperializmowi.

*Jan Tułaj*

## Sytuacja gospodarcza Kraju

### Wież

Tak zwany „tymczasowy rząd polski” w Warszawie za jedno z największych swych osiągnięć uważa rzekomo przeprowadzoną już do końca reformę rolną. Sprawie tej propaganda moskiewsko-warszawska nadaje jak największy rozgłos. Część prasy anglosaskiej, nieświadoma celów i metod kremłowskiej polityki w Polsce, skłonna jest wierzyć i często wierzy, że Polska naprawdę wkroczyła na drogę racjonalnej, powojennej przebudowy gospodarczej.

Przyjrzymy się więc — choć w dużym skrócie — aktualnej sytuacji gospodarczej w kraju.

Według oficjalnych enuncjacji Bieruta — przy przeprowadzanej parcelacji rozdzielono po 5 ha na rodzinę. Tymczasem w innym oświadczeniu na ten sam temat ten sam Bierut cytując liczby podał, że 110.000 rodzin chłopskich otrzymało 215.000 ha ziemi. Daje to niepełną 2 ha na rodzinę, co — jak wiemy — nie stanowi nawet minimum, potrzebnego do normalnego życia i pracy,

zwłaszcza jeżeli dodamy, że przy przeprowadzanej „reformie” ograniczono się tylko do nadziału ziemi bez jakiegokolwiek innej pomocy w inwentarzu, czy ziarnie na zasiew.

To też nie dziwne, że pojawiło się zarządzenie „rządu”, mocą którego zsyła się na Sybir za opór w przyjmowaniu parcelowanej ziemi.

Celem „unormowania aprowizacji” Kraju na rok 1945-46 wydane zostało ostatnio zarządzenie o kontyngentach dla robotników. Rzeczywistość jednak w tej dziedzinie tak się różni od teorii zarządzenia, jak stalinowska rzeczywistość od „słonce stalinowskiej konstytucji”. Kontyngenty ściągają się bardzo chaotycznie. Są wsię całkowicie ogolone z inwentarza martwego i żywego. W Lubelszczyźnie rekwizycje znacznie przekroczyły wyczyny Niemców w tej dziedzinie, to też brak oziminy zmusi do pozostawienia wielu pól nieobsianych. Majątki upaństwowione mają tylko 5—10 % zasianego obszaru. Natomiast liczne pociągi jadące na Wschód załadowane są ziarnem oraz ma-



szynami rolniczymi — od traktorów do pługów i bron jednokonnych.

Kontyngent z gospodarstwa 10-hektarowego wynosi m. in.

46 kwintali żyta,

23 kwintali kartofli.

Tygodniowo od jednej krowy trzeba oddać 18 litrów mleka.

Podatki przy takimże gospodarstwie wynoszą:

grutowy — 12.000 zł rocznie,

poduszny — 240 zł od osoby,

przyczem oficjalna cena żyta wynosi 6 zł, a kartofli — 3 zł za kwintal.

Parcelacja została przeprowadzona bez fizycznego podziału ziemi: rolnicy otrzymujący nadziały nie mają prawa rozgraniczania ich miedzami, nie mają prawa pobudowania się na otrzymanych działkach, zasadzenia drzew, ani prawa podziału lub zapisu. Stwarza to atmosferę niepewności jutra i jako wynik następuje masowa wyprzedaż otrzymanej ziemi.

Dekret o reformie rolnej zapowiadał, że własność indywidualna jest podstawą ustroju rolnego, ale równocześnie stworzył możliwości konfiskat mienia osób skazanych „za zdradę stanu, za współpracę z Niemcami lub z innych przyczyn prawnych”. Ten ostatni punkt dał warunki zupełnej swobody zarówno w nadziałach ziemi, jak i w porachunkach politycznych i osobistych.

Nie ulega żadnej kwestii, że przeprowadzana w Kraju „reformacja rolna” ma na celu jedynie otwarcie drogi sowieckiemu systemowi rolnemu. Świadczy o tym m. in. i fakt, że z wywłaszczonych 4 milionów hektarów rozdzielono tylko połowę. Z reszty tworzy się gospodarstwa państwowe, a więc osławione „sowchozy”. Również narzędzia rolnicze i inwentarz żywy, pochodzące z parcelowanej wielkiej własności tylko w małej ilości dostały się w ręce chłopów. Większość zatrzymano początkowo do dyspozycji wiejskich komitetów, a potem wywieziono do Rosji.

Zarówno Andrzej Witos, jak i Bertold, poprzednicy Mikołajczyka na fotelu „ministra” rolnictwa — zostali zlikwidowani za „opieszalność w przeprowadzaniu re-

formy rolnej”. W warunkach, jakie zostały obecnie stworzone — nie pomoże nawet neoficka gorliwość nowego „ministra”. Wykaże to najbliższa przyszłość.

## Przemysł

Cały przemysł w Kraju został przejęty przez „tymczasowy rząd”. Dotychczasowi właściciele bądź „nie odnaleźli się”, bądź też zostali — po uprzednim aresztowaniu — deportowani.

Z wielu zakładów, które ocalały w działaniach wojennych, maszyny zostały zdemontowane i wywiezione. Stosunkowo najlepiej zachował się przemysłowy ośrodek łódzki. „Polska staje się krajem o rozwiniętym przemyśle. Duże możliwości dla jego rozwoju stwarza współpraca gospodarcza ze Związkiem Sowieckim. Pozwoli to na zatrudnienie milionów robotników”. Tak głosi lubelskie radio. Rzeczywistość odbiega daleko od tej oceny polskiej rzeczywistości.

Jak dotychczas — „współpraca gospodarcza” ze Związkiem Sowieckim ogranicza się do eksportu z Polski. I tak na przykład jeden z komunikatów tegoż radia lubelskiego głosi, że „15 lipca rb. wyruszyły do Leningradu pierwsze statki z polskim węglem”.

A oto jeszcze jeden przykład tej „współpracy”. Ogłoszono, że umowa polsko-sowiecka przewiduje dostawę dla Polski 20.000 ton bawełny i 2000 ton wełny i że przybyło już z Rosji do Łodzi 60 wagonów bawełny. Ale — ta sama umowa zobowiązuje Polskę do dostawy Związkowi Sowieckiemu... 25.000 ton wyrobów bawełnianych i wełnianych, a więc o 3000 ton więcej, niż Sowiety dostarczą Polsce wełny i bawełny. Ponadto przewiduje się między innymi eksport z Polski 5 milionów ton węgla i koksu, 670 tys. ton żelaza i stali, 5 tys. ton cynku, 75 tys. ton cementu.

Zakłady, których urządzenia nie zostały wywiezione do Rosji — pracują, ale nienormalnie, przy zmniejszonym stanie robotników. I tak np. na Śląsku huty „Batory”, „Piłsudski”, „Kościuszko” i „Florian” pracują przy zatrudnieniu 50 % załogi z lat ubiegłych. Urzą-

dzenia huty „Baldon” zostały wywiezione. Huta „Ferrum” w Bogucicach i „Ferrum” w Siemianowicach, rozbudowane przez Niemców (produkowały m. in. działa największego kalibru) — pracują tylko w bardzo małym zakresie; odlewnie zatrudniają 15 % załogi z lat ubiegłych. Turbiny elektryczne, maszyny ciśnieniowe, do nitowania płyt, obrabiarki — zostały wywiezione.

Huta cynkowa „Hohenlohe” w Wełnowcu pracuje przy bardzo małej załodze. Urządzenia huty w Szarleju czekają na transport do Rosji, dokąd wywieziono już urządzenia wszystkich tkalni w Bielsku i Łodzi oraz zakładów Cegielskiego w Poznaniu.

Huta „Pokój” w Nowym Bytomiu, „Kunegunda” koło Bogucic, „Laura” w Siemianowicach, oraz zakłady chemiczne „Giesche” pracują przy 25 % załogi.

Kopalnie węgla: „Wójeck” w Brynowie, „Eminencja” w Dębie, „Ferdynand” w Katowicach, „Siemianowice” w Siemianowicach, „Michał” w Michałkowicach, „Kleofas” koło Ligoty, „Saturn” w Czeladzi, oraz kopalnie w Brzezinach i w Borku — zatrudniają 50 % załogi.

Zapasy węgla, pozostawione przez Niemców, zostały wywiezione do Rosji.

Kładzie się obecnie bardzo duży nacisk na zwiększenie wydobycia węgla. Za opieszałość w pracy osadza się w specjalnych obozach, zakładanych przy każdej kopalni i przy każdej hucie. Praca trwa 7 dni w tygodniu bez przerwy.

Tartaki i inne zakłady drzewne są pod kontrolą sowiecką. „Ministrem” lasów, wydzielonych spod „władzy” Mikołajczyka jako „ministra” rolnictwa — został Rosjanin — Tkaczew.

Średnie i mniejsze zakłady przemysłowe, o ile nie pracują dla potrzeb sowieckich, są zamknięte.

Zarobek wykwalifikowanego robotnika wynosi od 32 do 40 zł dziennie, niewykwalifikowanego — od 25 do 35 zł. Po różnych potrąceniach zarobek robotnika waha się przeciętnie około 500 zł miesięcznie. Płace są nieregulowane, najczęściej wypłacane w formie drobnych zaliczek.

Mimo wszelkich umów handlowych — rzeczywista wymiana między bierutową Polską a Związkiem Sowieckim wygląda następująco: ZSSR dostarcza Polsce haśle, slogany, „ministrów” i NKWD; Polska dostarcza Związkowi Sowieckiemu maszyny z kopalń i fabryk, węgiel, tkaniny, zboże, inwentarz żywy, meble i wszelki dobytek, a także — największe swe dobro — ludzi — jako siłę roboczą do sowieckich obozów pracy.

### Warunki materialne i życie gospodarcze

Życie gospodarcze Kraju — zamiast rozwijać się po ustaniu działań wojennych — zamiera. Żywności brak, dowozu nie ma zupełnie. Podstawa wyżywienia miasta, dowóz ze wsi jest utrudniony wobec konieczności posiadania przepustek i zezwoleń na każdy towar. Zresztą wszelkie zezwolenia takie nie dają gwarancji bezpieczeństwa. Handel istnieje, owszem, ale na „czarnym rynku”, gdzie wysokość cen o wiele przeraża możliwości kieszeni przeciętnego obywatela. Ceny w porównaniu z 1939 rokiem wzrosły stokrotnie, płace natomiast tylko dwukrotnie.

Ceny zanotowane na wolnym rynku Śląska w maju i czerwcu r.b. są następujące:

kiełbasa . . . . .	za kg	400 zł
mięso . . . . .	”	500 ”
ślonina . . . . .	”	600 ”
cukier . . . . .	”	300 ”
chleb pszenny . . . . .	”	80 ”
chleb żytni . . . . .	”	50 ”
fasola . . . . .	”	60 ”
ryż . . . . .	”	200 ”
kurczę . . . . .	”	250 ”
kartofle . . . . .	100 kg	800 ”
nici . . . . .	szpulka	100 ”
zapałki . . . . .	pudełko	15 ”
papierosy . . . . .	sztuka	8 ”
piwo . . . . .	kufel	25 ”
spirytus . . . . .	litr	600 ” i td.

Najtrudniej jest o cukier, gdyż wobec możliwości wysyłania 8-kilowych paczek przez żołnierzy sowieckich do ZSRR — ilości jego nawet na „czarnym rynku” są minimalne. Zamiast cukru powszech-

nie używa się wyrabianego w domu syropu z buraków cukrowych.

Płace urzędników wynoszą od 300 do 900 zł miesięcznie. Nauczycielom ani razu nie wypłacono całych poborów (300 zł miesięcznie), jedynie drobne zaliczki. Pensje służby bezpieczeństwa, agentów NKWD i agitatorów sięgają 2000 zł miesięcznie.

Skonfrontujmy te sumy z podanymi wyżej cenami rynkowymi, a otrzymamy przekrój stopy życiowej w Kraju.

Warszawska „rada narodowa” uchwaliła premie dla wielodzietnych rodzin. Za piąte dziecko rodzice będą otrzymywać 500 zł, za szóste — 800 zł, a za siódme — 1000 zł. Litr spirytusu i kilo kielbasy za siódme dziecko!

Zaprowadzono powszechny przymus pracy, ale mimo to jest o nią bardzo trudno.

System kartkowy obowiązuje nadal. Przydział chleba został ostatnio zmniejszony. Na Śląsku robotnik otrzymuje

m.in. 3 i 1/4 funta mąki razowej i 200 gr cukru na 10 dni.

Wysokość płac jest zależna tylko od zajmowanego stanowiska; stopnia służbowego i lat pracy odbytej w Polsce przed okupacją sowiecką nie bierze się wcale pod uwagę.

Wszelkie dotychczasowe oszczędności zostały zlikwidowane dekretem z dnia 10 lutego rb., kiedy to zarządono wymianę złotych „krakowskich” na „bierutki” w ilości 500 zł na osobę. To drakońskie zarządzenie uderzyło najboleśniej w ubogą ludność miast i wsi.

Armia sowiecka okupująca Polskę zaopatrzona jest w „bierutki” drukowane w Moskwie. Pozwala to „krasnoarmiejcom” na wykupywanie resztek artykułów, które wobec panującej drożyzny nie są dostępne dla ogółu ludności.

Oto pełnia „kwitnącego rozwoju gospodarczego” Kraju pod czerwoną okupacją.

Witold Zahorski

## BERLIN 1878—POCZDAM 1945

# Dwie konferencje

To nie przypadek decyduje o wyborze miejsca doniosłych konferencji międzynarodowych. Jest ono zwykle symbolem układu sił, czy to jako wyraz woli tych, którzy faktycznie rządzą, czy to w wypadkach nadmiernej wrażliwości, wyrazem kompromisu, ukrytego za maską romantyzmu politycznego, który spowodował na przykład obranie Genewy za siedzibę Ligi Narodów.

Tak w ciągu blisko 70 lat, dwa razy w Berlinie, a oba razy w momentach zasadniczego, teraz przełomowego nawet zwrotu politycznego, decydowano o losach Europy.

Zastanawiających się nad tymi dwoma datami i szukających w nich podobieństw lub analogii otacza krąg problemów, które nie rozwiązane przesłaniają nasze życie, myśli i dążenia. Problemy chwili obecnej przygratają bezlitośnie los jednostek, a ponieważ wywodzą

się one z problemów dnia wczorajszego, przeszłość — nabiera znów aktualności.

Im bardziej wzrasta ludność Europy (potrojona od wojen napoleońskich do roku 1930) im szybszych kroków czy też skoków dokonywa dzisiejsza technika, tym bardziej cięża nad Europą te problemy, stworzone wprawdzie przez ludzkosć, ale które teraz zapanowały nad nią.

Oto kilka analogii. Koniec XX wieku, to okres potężnego i niepokojącego wzrostu Niemiec. Po roku 1871, kiedy ośrodek sił i gry dyplomatycznej przenosi się z Paryża do Berlina, cesarstwo niemieckie założone w zwierciadlanej sali palacu wersalskiego zdaje się arbitrem spraw Europy. „W ciągu 8 lat Bismarck upokorzył Anglię, pobił Austrię i Francję, oraz stworzył Niemcy” (Temperley) i co więcej okazując roz-

tropną przyjaźń Rosji carskiej, zapewnił sobie jej przychyłność w różnych trudnych dla siebie chwilach — jak np. w czasie wojny przeciw drugiemu cesarstwu francuskiemu. Od tej chwili nie wolno już było w ważnych sprawach europejskich lekceważyć głosu Berlina.

W parę lat po upokorzeniu Francji w 1871 r. wybuchł zatarg między Rosją a Turcją, które przez stulecia nie potrafiły ułożyć swych stosunków sąsiedzkich — i kto wie, czy to im się to kiedy uda. Na przeszkodzie bowiem temu stały ciągle geografia: zamknięte morza, cieśniny, wpływy, lub naciski dyplomatyczne na sąsiednie państewka i t.d.

Potężne niegdyś cesarstwo otomańskie, które znalazło się w upadku i którego odrodzenie jeszcze nie zapowiadało się — zostało pokonane w bohaterkiej obronie i groziło zawaleniem. Zwycięscy Rosjanie u wrót Konstantynopola szykowali się do ostatecznego uderzenia i osiągnięcia swego „wiekowego marzenia” — Carogradu. Wtenczas flota angielska pojawiła się u wybrzeży tureckich jaskrawo demonstrując, że „nie dopuści do zajęcia Konstantynopola przez Rosję, nawet w wypadku, gdyby to miało grozić wojną”.

Stosunki rosyjskie z cesarstwem Austro-Węgier, z powodu rodzącego się panslawizmu — były napięte. Bismarck więc uchwycił ster spraw w swoje ręce i wmieszał się w rozgrywkę jako arbiter.

Kongres berliński trwał dokładnie miesiąc (13. VI. — 13. VII.). Turcja utraciła wiele, lecz zachowała Konstantynopol. Austria zręcznie uzyskała bez wojny Bośnię i Hercegowinę (z Serajewem). Rosja także wyszła ze zdobyczą. Europa wreszcie zachowała pokój. Lecz pojawił się element nowy. Mężowie stanu przy zielonym stoliku notują lub popierają, stosownie do okoliczności, pojawienie się nowych państw narodowych — to znaczy zatwierdzają post factum zdobycze osiągnięte przez te narody. W wieku XIX — wieku obudzenia się narodowości. Kongres berliński wyzwala prawie wszystkie narody bałkańskie — konflikt wielkich mocarstw sprzyjał wtenczas powstawaniu

małych państw. Działo się to, gdy ogromny rozwój wielkiego przemysłu i wielkiego kapitalizmu był dopiero w zaczątkach, kiedy imperializm pojęty bądź to jako doktryna, bądź to jako przekonanie fanatyczne nie stanowił jeszcze politycznego credo szarego człowieka. Były to czasy, kiedy węzeł gordyjski imperializmu i rewolucji światowej nie był jeszcze tak silnie zaciągnięty. W ciągu zaledwie trzech i pół dziesiątków lat doszła Europa od tego zlokalizowanego, przede wszystkim na Bałkanach, naprężenia do naprawdę światowego konfliktu interesów.

Ludzkość poczęła poruszać się w burtach 7-milowych. Pierwsze oznaki potwornych wstrząsów XX wieku, wojna hiszpańsko-amerykańska (1898), rosyjsko-japońska (1904) miały miejsce daleko poza naszym kontynentem. W Europie natomiast panował względny spokój, oparty na równowadze wielkich mocarstw. Skąd jednak nadejdzie konflikt było już wiadomo: świeżo zjednoczone Włochy zmuszone do przystąpienia do trójprzymierza (mówiono wtenczas: jeśli nie możemy walczyć z Austrią, to należy związać się z nią w przyjaźni), tradycyjne stosunki życzliwego nieingerowania między Rosją a Niemcami — pogarszały się z roku na rok. Wreszcie reakcyjne imperium carskie zawarło przymierze z 3. Republiką francuską. Anglia wyrzekła się powoli swej „spendid isolation”.

Niemcy dwa razy zniszczyły jedność Europy i świata w celu zdobycia sobie imperium. W roku 1914 cesarz Wilhelm II ogłosił światu: „Niemcy duszą się, ich obywatele nie mają gdzie mieszkać i muszą sadzić kartofle na dachach”, a wkrótce potem: „Żołnierz niemiecki bije się lepiej, gdy zmuszony jest walczyć na dwóch frontach”. Nazwanie przez Churchilla Hitlera „synem gniewu i desperacji wielkiego narodu, który przegrał wojnę” tłumaczy doskonale zarówno metody postępowania hitlerowców, jak i teorie przestąpienia życiowej, które mogą zostać poparte całą gamą niskich i okrutnych namietności.

Po dwóch kompletnych klęskach znowu znajdują się Niemcy na konferencji

pod Berlinem — w Poczdamie, w pałacu twórcy militarystyki pruskiej — ale tym razem pozbawione swoich przedstawicieli.

Tym razem nie idzie już jednak tylko o Niemcy czy też Europę. Co najmniej dwa nowe problemy dzielą nas od zamierzchłego już XIX wieku. Kiedy dawniej dyplomaci — książęta — arystokraci — omawiali w pałacach palące zagadnienia naszego kontynentu, nie unosiło się nad nimi widmo „dziennikarza Karola Marksa” (tak figurował on w rejestrach tajnej policji), a który w roku 1848, dokładnie na 30 lat przed kongresem berlińskim rzucił w manifestie komunistycznym wyzwanie światu kapitalistycznemu.

Wtenczas były to tylko kłopoty obchodzące wyłącznie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Teraz natomiast w lipcu 1948 roku sztandar Marksa ozdobiony emblematami pierwszego imperium komunistycznego świata, powiewał zwycięsko, bezlitośnie i — długo nad dymiącymi zgliszczami stolicy drugiej i trzeciej Rzeszy.

Wielki kapitalizm i uprzemysłowienie świata przyniosły ten triumf Marksowi i od tej chwili imperializm i dyktatura proletariatu stały się jak wierzch i spód tego samego ubrania. Ale ta sytuacja może doprowadzić do konfliktu światowego.

Drugim czynnikiem różnicującym te dwie konferencje jest geografia. Odległości z postępem techniki (środki transportowe, radio i td.) zmalały, a cały świat stał się jedną wielką, ściśle powiązaną sceną rozgrywek politycznych, ekonomicznych i militarnych. Przyczynia się to do dalszego wzrostu wielkich mocarstw ze szkodą małych. Karta z San Francisco, jeśli się ją zastosuje, zapobiegnie wojnom tylko pomiędzy małymi czy średnimi państwami, ale nie uniemożliwi prowadzenia jej wielkim.

Wallace, były vice-prezydent Stanów Zjednoczonych, nazwał obecne stulecie wiekiem szarego człowieka. I słusznie. Albowiem „Self made man” zawładnął dziś wystawnymi pałacami dawnej i pysznej Europy, spychając w cień rodo-

we galerie portretów przodków, tych przodków, którzy niegdyś je wzniesli jako symbol swej władzy i wyrafinowanego gustu. Obie klasy rządzące w XVIII wieku, tj. kler jako czynnik państwowy i arystokracja jako produkująca warstwa społeczna — ustąpiły miejsca burżuazji. Teraz z kolei następuje rozrachunek pomiędzy nią a proletariatem, a odbywa się to w rozmiarach światowych, z powodu powiązania się dziś całej ludzkości.

W Z.S.R.R. arystokracja i mieszczaństwo nie istnieją już, w imperiach zaś anglosaskich przedstawiciele komunistycznych w parlamencie można policzyć na palcach jednej dłoni. Rosja, która ćwierć wieku temu zdobyła się na najbardziej niezwykły przewrót społeczny, tj. z ustroju monarchicznego i obszarniczego starego typu przeszła do form ultra-rewolucyjnych politycznie i gospodarczo, nie znając przed tym rządów trzeciego stanu, — ta sama Rosja chce obecnie reprezentować awangardę rewolucji na całym świecie, chce ofiarować światu, z dniem jej spóźnionemu w rozwoju — idealny marksizm. Chce Rosja, aby świat uwierzył, że doktryna ta doprowadzona do ostatecznych swych konsekwencji jest jedynym rozwiązaniem nekających nas problemów.

Oto droga, jaka przebyła ludzkość pomiędzy dwoma kongresami berlińskimi; wielu przemian byliśmy świadkami, wielu rzeczy musieliśmy się nauczyć i potem zapomnieć, jako już bezużytecznych.

Wiekowy ustrój całej Europy zawałił się, a nasz kontynent, przez trzy tysiąclecia będący ośrodkiem historii staje się, jak to trafnie określił pewien dziennikarz rzymski „Balkanami świata”, albo też swego rodzaju kolonią, trudną do utrzymania, gdyż jest zbyt dumna i lekceważąca swych najeźdźców, pomimo głodu i wyniszczenia. Swoim upadkiem pociągnęły Niemcy za sobą cały kontynent.

Rozważania te można zakończyć klasycznym powiedzeniem Moliera: „Tu l'as voulu George Dandin”.

Skomants

## JAPONIA SKAPITULOWAŁA

# A co potem?

Wojnę na Dalekim Wschodzie możemy uważać za skończoną. Jest jednak małe „ale”. Wojna jest zakończona, ale tylko pod względem militarnym. Teraz wyłoni się nowa walka — ekonomiczna. Chiny będą jej obiektem.

Musimy sobie przypomnieć, że podłożem wojny, zarówno w Europie jak i w Azji, były interesy gospodarcze.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie mogły tolerować „niemieckiej Europy” i „japońskiej Azji” jako samowystarczalnych organizmów gospodarczych. Tak samo nie mogą zezwolić na istnienie jakiegokolwiek innej, ekonomicznie zbyt silnej organizacji państwowej, bowiem godziłoby to w ich podstawę bytu.

Chiny — to nie jest tylko państwo liczące 460 milionów mieszkańców i zajmujące obszar olbrzymi (23 razy większy od obszaru Polski), ale, i to przede wszystkim, są one centrum, w którym ścierają się w obecnej chwili bardziej, niż kiedykolwiek, interesy gospodarcze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii z jednej strony, a Rosji Sowieckiej z drugiej. Oczywiście jest rzeczą, że stosunki chińsko-sowieckie, jakie teraz wytworzą się, będą miały znaczenie dla całego świata.

Rosja Sowiecka dąży bardzo wyraźnie do rozciągnięcia swoich wpływów nad Chinami, a czyni to już od dłuższego czasu. Początkowo było to dążenie do opanowania ich ideologicznie, następstwem czego jest dążenie do uzależnienia ekonomicznego. Wpływ Kuomintangu — chińskiej partii komunistycznej jest znaczny we wszystkich dziesięciu prowincjach, które nie były pod panowaniem Japończyków. Prowincje położone na północy, bliżej granicy sowieckiej, zależą całkowicie od Rosji.

Sing Kiang — największa i najbogatsza prowincja całych Chin, należy faktycznie do Związku Sowieckiego. Prowincja ta pod względem obszaru jest dwa razy większa, niż Polska, a liczba jej mieszkańców sięga 5 milionów. Wszystkie drogi, jakie tu się znajdują, prowadzą do Rosji Sowieckiej. Cały handel skoncentrowany jest w rękach sowieckich i wszystkie produkty tu wytwarzane, eksportowane są do Rosji. Podstawowym bogactwem tej prowincji są: wełna, sól, herbata, oraz znajdujące się w górach pokłady metalu. Mniej więcej taką samą zależność gospodarczą od Rosji Sowieckiej wykazują pozostałe, północno-zachodnie prowincje chińskie.

Rosjanie eksportują do Chin gazolinę, części samolotów, silniki, oraz amunicję. Towary te dostarczane są na kredyt, którego wysokość osiągnęła już dzisiaj olbrzymie sumy. Fakt ten

jest o tyle doniosły, że daje Rosji możliwość wtrącania się w interesy gospodarcze Chin i, co za tym idzie, wywierania na nie wpływów politycznych. Jest tym bardziej ważne, że obecnie w Chinach północnych przejawia się wielki ruch przemysłowy i konsekwencją tego będzie, jak się wydaje, wielka zmiana, jaka nastąpi w światowej polityce ekonomicznej.

Nie należy jednak zapominać, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są również bardzo zaangażowane w Chinach i jeżeli spojrzy się uważnie na rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie, można wyciągnąć pewne wnioski na przyszłość.

Wielkie narody mające szeroko rozwinięty przemysł, rozpoczęły kampanię gospodarczą przeciw starym Chinom nie wiele więcej, niż sto lat temu. Wielka Brytania, Rosja carska, a następnie sowiecka, Francja i później Stany Zjednoczone, toczyły ustawiczną wojnę dla rozpostarcia nad Chinami ekonomicznych i politycznych wpływów.

Już przed stu laty pojedynczy kupcy docierali do brzegów chińskich, kupując herbatę i jedwab, a sprzedając w zamian opium. Ale Europa nie produkowała nic, co Chiny chciały kupować i dlatego handel chiński z zagranicą był bardzo słabo rozwinięty. Jedyным otwartym portem dla handlu zagranicznego był Kanton i wtedy importowano opium, oraz towary luksusowe. Wszelako mocarstwa Zachodu zmusiły Chiny do otwarcia portów i w drugiej połowie XIX wieku chiński handel zagraniczny wykazuje szybki rozwój. Wojna o opium dała temu początek.

Towary bawełniane, wyrabiane maszynowo w Manchester okazały się tańsze i lepsze, niż te same, wyrabiane przez rękodzielników, gromadzących się głównie w prowincjach Kwantung i Shensi. Inne towary codziennego użytku, jak na przykład nafta do lamp, również szybko znalazły rynek zbytu w Chinach, które w zamian eksportowały produkty żywnościowe oraz surowce.

Choć przez długi czas szerokie masy ludności imperium chińskiego nie brały udziału w tym handlu, to jednak nowe wpływy ekonomiczno-polityczne zachwiały dotychczasową zarówno polityczną jak społeczną strukturę Chin.

Kiedy po przegranej wojnie w 1895 roku Chiny zmuszone były zapłacić Japonii olbrzymie odszkodowania, zaciągnęły na ten cel pożyczki zagraniczne i wtedy właśnie dostały się one pod całkowity wpływ finansowy państw zachodnich.

W przededniu wojny światowej, w 1914 roku, interesy mocarstw zachodnich były zaangażo-

wane w handlu chińskim w bardzo wysokim stopniu

Przemysł chiński również był całkowicie oparty na kapitale zagranicznym. Powstał cały szereg fabryk i zakładów przemysłowych i rozwinięta się sieć linii kolejowych, choć wewnątrz kraju pozostało nadal daleko w tyle za tym pochodem cywilizacji.

Wojna światowa, która zahamowała rozwój przemysłu w państwach europejskich, wywołała wielkie ożywienie w chińskim przemyśle, zwłaszcza tekstylnym.

Od 1922 roku na jedno z pierwszych miejsc wśród mocarstw, które wywierały wpływ ekonomiczny na Chiny, wybiła się Japonia. Japończycy zaczęli opanowywać wewnętrzny rynek handlowy, a także i przemysłowy. Angażując swoje kapitały zarówno w handlu jak i w przemyśle, stali się oni właścicielami fabryk, zakładów przemysłowych, oraz wielkich firm handlowych.

W konsekwencji posunięć japońskich wzrasta również konkurencja Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych — na rynkach chińskich.

W ostatnich latach przed inwazją japońską ruch handlowy na terenie Chin zwiększa się znacznie. Zwiększają się zarówno eksport i import. Głównymi produktami importu na chińskim rynku były — metale i rudy, rozmaite przetwory naftowe, maszyny i narzędzia, papier, bawełna i wyroby bawełniane, chemikalia i środki lecznicze. Wywoziło się zaś fibnię, bydło, olej, przędzę bawełnianą, nasiona, skóry, herbatę i wreszcie produkty rolne.

Wraz ze wzrostem wpływów ekonomicznych wzrastały wpływy polityczne na imperium chińskie. W ostatnich latach o uzyskanie przewagi w tych wpływach ekonomiczno-politycznych toczyła się walka między trzema mocarstwami — Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi i Japonią. Ekspansja Japonii była najbardziej agresywna i zakończyła się wystąpieniem zbrojnym w 1937 roku. Japońska inwazja była ciosem wymierzonym w interesy ekonomiczne Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie. Miała ona bowiem na celu stworzenie samowystarczalnego japońsko-ajatyckiego organizmu gospodarczego.

Podczas ostatnich lat wojny z Japonią Chińczycy nie ograniczyli swoich wysiłków do walki z nieprzyjacielem i z pomocą Stanów Zjednoczonych rozpoczęli pracę nad podniesieniem całego kraju w dziedzinie przemysłu i techniki. Zostały powzięte ostateczne kroki współpracy pomiędzy Chinami a Stanami Zjednoczonymi, które mają na celu:

- 1) Zwiększenie produkcji przemysłowej w Chinach;
- 2) Zwiększenie importu podstawowych materiałów ze Stanów Zjednoczonych;

3) Zorganizowanie systemu transportowego w Chinach;

4) Zwiększenie ilości doradców technicznych i speców amerykańskich;

5) Szkolenie techników chińskich w amerykańskim przemyśle i w amerykańskich metodach transportu i jego technice.

Z tego widzimy, że rozwój wewnętrznych wypadków politycznych w Chinach odegra bardzo dużą rolę, bowiem rezultat tych właśnie wypadków będzie czynnikiem decydującym w układzie kierunków politycznych na rynku międzynarodowym i będzie posiadał wielką wagę dla Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Stany Zjednoczone nie są potęgą kolonialną, a przynajmniej nie były nią do czasów ostatniej wojny. Wypływa to z faktu, że kiedy inne państwa budowały swoje imperia kolonialne, to w tym czasie Stany Zjednoczone zajęte były kolonizacją swych olbrzymich obszarów wewnątrz kraju. Skoro ukonstytuowały się one jako naród — rozwój przemysłu zmusił je do szukania rynków handlowych na zewnątrz i wtedy zwróciły swoją ekspansję ku Chinom. I w tym czasie właśnie potrzeba baz morskich pomiędzy Stanami a Chinami zmusiła Amerykanów do usadowienia się na wyspach Samoa i Hawaj, a później na Guam i Filipinach. Dzisiejsza polityka Stanów Zjednoczonych zmierza głównie do zabezpieczenia potrzebnych im baz na okres wojenny.

Wnioski z powyższego zdają się być bardzo proste. W interesy chińskie zaangażowane są olbrzymie kapitały — przez Rosję Sowiecką z jednej strony, a Stany Zjednoczone z drugiej. Oczywiście jest rzeczą, że każde z tych państw, dając pieniądze, liczyło na to, że je odbierze i to z procentem. Jednak istnieje jeden czynnik, który wprowadza pewną dezorientację, jeśli chodzi o dalszy rozwój wypadków — jest to ekspansja polityczna Rosji Sowieckiej.

Rosja Sowiecka, która długo dała się prosić, zanim zdecydowała się przystąpić do wojny przeciw Japonii, dokonała tego w ostatnim momencie. Przez przystąpienie do wojny, zdobyła sobie ona prawo zabierania głosu w sprawach Dalekiego Wschodu.

Należy się spodziewać, że w Chinach nastąpi konflikt pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką na tle ekonomicznym. Bowiem jest rzeczą wykluczoną, że Stany Zjednoczone, a także Wielka Brytania, której potęga imperialna została zachwiana przez ostatnią wojnę, będą w stanie tolerować nie tylko istnienie, ale również ekspansję zbyt dużego pod względem terytorialnym i zbyt agresywnego pod względem politycznym mocarstwa, jakim jest Rosja Sowiecka. Bo przecież mniej groźnymi przeciwnikami dla ich rozwoju a nawet istnienia gospodarczego były „niemiecka Europa” i „japońska Azja”.

J. P.

# Krucjata

Konferencja poczdamska przyniosła światu nową sensację. Zapadły na niej m. in. postanowienia dotyczące likwidacji gen. Franco i jego reżymu. Nie jest pozbawiony pikanterii fakt, że sam marszałek Stalin występował najostrzej przeciw Franco i jego ustrojowi, oskarżając go o zapędy totalistyczne i dyktatorskie, domagając się jak najszybszego „z nim skończenia” za wszelką cenę. Swoje żądania motywował „zmorą agresji ciężącą nad światem i ludzkością ze strony obecnego hiszpańskiego ustroju”. Nie może być trwałego pokoju zdaniem Rosji, dopóki istnieje na świecie jakikolwiek ustrój dyktatorski. Powtarza się stara bajka o wilku i jagnięciu. Są jeszcze na świecie „ludzie, którzy występują w obronie wielkich ideałów” („Unita” o Stalinie) — a masy temu wierzą przymykając oczy na właściwe fakty, których nie należy szukać na zachodzie, lecz raczej na wschodzie. Temu złudzeniu ulegają nie tylko szerokie rzesze ludności, lecz i ludzie stojący u sterów rządów, na których ciąży odpowiedzialność za spokój i sprawiedliwość na świecie.

W czasie obecnej wojny Hiszpania pozostała neutralna, pomimo silnych sentymentów w kierunku „państw Osi”. Sentyment ten wywodzi się z czasów wojny domowej, gdzie z pomocą narodowemu ruchowi hiszpańskiemu przyszła interwencja włoska i częściowo niemiecka i pozwoliła na kompletne zwycięstwo generała Franco. Należy zaznaczyć, że po stronie t. zw. republikańskiej walczyły brygady międzynarodowe komunistów, oraz oddziały sowieckie, zwłaszcza lotnictwo i ugrupowania czołgów. Klęska, którą ponieśli wówczas „czerwoni”, stała się powodem do stałych ataków radia i prasy sowieckiej przeciwko Franco. Rosja z chwilą rozpoczęcia wojny z Niemcami,

przystąpiła całkiem otwarcie do organizacji bloku antyfrankistowskiego.

Nie tylko jednak klęska „interwencji sowieckiej” w Hiszpanii jest powodem tej kampanii przeciwko Franco i jego ustrojowi. Przyczyny należy szukać o wiele głębiej — w programie ideologicznym marxizmu i we wskazaniach leninizmu. Otóż wg. Lenina „Hiszpania miała się stać po Rosji pierwszym krajem zdolnym do przyjęcia ustroju komunistycznego”.

Z drugiej strony pokrywa się to także z programem Trockiego — rozszerzenia rewolucji światowej. Wprawdzie Trocki zniknął już z powierzchni ziemi, jednak jego program taktyczno-rewolucyjny istnieje nadal i nabiera specjalnego znaczenia w odniesieniu do Hiszpanii. Moskwa-Madryt, dwa końcowe bieguny — etapy rewolucyjne. Opanowanie Madrytu stałoby się podstawą do opanowania „nowego kontynentu”. O aktualności programu Trockiego świadczy także fakt, że jeńcy z „błękitnej dywizji hiszpańskiej” walczącej po stronie Niemiec przeciw Rosji, wbrew wszelkim przypuszczeniom nie zostali skierowani do obozów koncentracyjnych, lecz uzupełnili kadry ideowych komunistów hiszpańskich, przebywających w Rosji. Zostały utworzone dwie dywizje spadochronowe, które walczyły po stronie rosyjskiej już nawet w okresie działań sowieckich na terenach Ukrainy i Białorusi. Jednak później zostały wycofane z rozkazu Stalina, który miał się podobno wyrazić, że: „one się jeszcze przydadzą do walki o własną ojczyznę”.

Emigracja hiszpańska, rozproszona po całym świecie, przystąpiła także do organizowania stałej kampanii przeciw Franco. Został utworzony „wygnańczy rząd republikański” z Negrinem na czele. Jak zwykle w takich wypadkach



większość w nim stanowią komuniści. Dotychczas przebywa on w Meksyku, jednak, jak podaje prasa, są czynione starania o przeniesienie się do Francji, skąd byłoby „na wszelki wypadek” bliżej Hiszpanii. Utworzenie tego „pro-wizorycznego rządu republikańskiego” było poprzedzone rozmowami między grupą t. zw. republikańców, a monarchistami. Jednak nie daly one pozytywnego rezultatu. Republikańcy pragnęli utworzenia koalicji, któraby łączyła wszystkich Hiszpanów w walce przeciwko generałowi Franco. Jednak monarchiści, z prezydentem Don Juanem na czele, odrzucili propozycje wysuwane przez lewicę, wychodząc z założenia, że ze względów zasadniczych współpraca pomiędzy obydwoma kierunkami politycznymi jest niemożliwa. Zajęcie takiego stanowiska przez monarchistów było także prowadzone podobnie wynikiem tajnych rokowań, prowadzonych bezpośrednio między Franco a Don Juanem, w sprawie przywrócenia monarchii w Hiszpanii.

Tymczasem nowoutworzony rząd hiszpański na emigracji pod przewodnictwem Negrina wystosował apel do całego świata, transmitowany także przez radio moskiewskie. W tym apelu poza ogólnymi tezami ideologicznymi, samowładczy rząd precyzuje także swój program działania, który może być ujęty w następujące punkty: 1) Usunięcie rządu generała Franco; 2) Odbudowa ustroju demokratycznego; 3) Uznanie kraju Basków i Katalonii za organizmy składowe Republiki Hiszpańskiej, związane z nią tylko na zasadach autonomicznych, opartych na wzorach ustroju kantonowego Szwajcarii.

Sprawa hiszpańska, która dojrzewała początkowo tylko w wąskim zakresie hiszpańskich kół emigracyjnych, komunistów i Moskwy, weszła ostatnio na tory polityki ogólnoeuropejskiej. Problem ten zaczyna teraz zwracać na siebie uwagę całego świata oraz staje się przedmiotem interwencji dyplomatycznej. Odbywa się to wszystko przy akompaniamencie radia i prasy sowie-

ckiej. Niedawno „Czerwona Gwiazda” pisała między innymi: „Reżym Franca jest kreaturą faszystwu niemieckiego i dlatego musi być zniszczony wraz z hitleryzmem. Przez zniszczenie ustroju faszystowskiego w Hiszpanii naród hiszpański będzie mógł wprowadzić siebie w atmosferę wolności. Hiszpania gen. Franco daleka jest od demokracji i wolności, ale wiemy także — jak wolność rozumiana jest przez Moskwę. Świadczą o tym najnowsze wydarzenia w Europie środkowej.

W okresie pozostawania Churchilla przy władzy, sprawa zmiany reżymu w Hiszpanii była odkładana, a nawet spotykał się on z cichą tolerancją polityki brytyjskiej. Według koncepcji angielskiej Hiszpania miała wchodzić do projektowanego przez Churchilla bloku śródziemnomorskiego, obejmującego Włochy, Grecję i Turcję. Obecnie, po dojsciu do władzy laburzystów, sprawa ta została ostatecznie rozstrzygnięta w Poczdamie. Według najnowszych wiadomości Anglia i Stany Zjednoczone mają zerwać stosunki dyplomatyczne z generałem Franco, co prawdopodobnie zbiegnie się z uznaniem rządu emigracyjnego republikańców hiszpańskich. Ten rząd znajdował już ciche poparcie ze strony laburzystów jeszcze wtedy, gdy u steru rządu stał Churchill.

Tymczasem Franco, ratując sytuację, idzie na pewne ustępstwa wobec żądań mocarstw zachodnich w odniesieniu do zmian ustrojowych. Na zebraniu Rady Ministrów w dniu 5 lipca gen. Franco zaproponował zniesienie stanowiska ministra bez teki, które tradycyjnie było obsadzane przez głównego sekretarza Falangi. Pociągnęło to za sobą także dymisję 4 innych ministrów Falangi. W dniu 17. lipca Franco przemawiając jako szef rządu na Radzie Narodowej Falangi powiedział: „Hiszpania weszła w okres przygotowawczy do wprowadzenia monarchii, ponieważ ustrój monarchistyczny może być jedynym możliwym sukcesorem Falangi. Kto myśli, że w ten sposób powróciłoby się do polityki reakcyjnej jest w błędzie. Dwie są tylko

metody, któreby mogły przyspieszyć proces rewolucyjny: jedna z nich jest komunistyczna, której gwałtowność jest powszechnie znana; inna zaś jest ta, która dąży do rozpalenia zapału i nadziei na odnowienie państwa. Obecnie Hiszpania wprowadza w życie program głębokich reform socjalnych i byłoby paradoksalne, gdyby w tym dziele miały się spotkać z wrogiem nastawieniem innych krajów."

Kryzys rządowy został rozwiązany w dniu 21 lipca w ten sposób, że minister spraw zagranicznych Lequerica został zastąpiony przez Martina Artajo, zaś ministrem sprawiedliwości został Fernandez Cuesta. Nowy gabinet w wydanym przez siebie komunikacie oficjalnym z 23 lipca b. r., podkreślił, że: „rozpoczyna się nowy okres w dziejach odrodzenia duchowego i materialnego Hiszpanii, będący ścisłą kontynuacją owocnych wysiłków rządów poprzednich". W polityce zagranicznej Hiszpania pragnie współpracować z innymi narodami oraz zacieśnić tradycyjne więzy przyjaźni z Portugalią". Inne deklaracje zapowiadają prace nad rozbudową życia ekonomicznego kraju.

Wylączenie Hiszpanii z rodziny Narodów Zjednoczonych wywołało ogromne przygnębienie w całym kraju. Radio paryskie w swojej audycji z dnia 4 b.m. nadało, że pomimo oficjalnych oświadczeń rządu hiszpańskiego, że spokój panuje w kraju, daje się zauważyć wielkie zdenerwowanie w opinii publicznej. Jedną z podziemnych radiostacji antyfrankistowskich, występująca pod nazwą „España Independiente" wystosowała odezwę do robotników, chłopów i żołnierzy „ażeby nie pracowali dla Falangi". Londyński korespondent polityczny dla spraw hiszpańskich pisze na łamach „Observera", że w Madrycie miało miejsce zebranie generałów. Komentując tę wiadomość podkreśla, że to może być uważane „za pierwszy krok w kierunku rewolucji". Inni natomiast utrzymują, że powodem przygnębienia Hiszpanii jest fakt, że odrzucano prośbę gen. Franco w sprawie

przyjęcia go do rodziny Narodów Zjednoczonych, podczas gdy Włochy zostały do niej przyjęte „ponieważ zerwały radykalnie z przeszłością i mają rząd uznawany przez wszystkich". Na taką decyzję, powziętą przez wielką trójkę w Poczdamie, general Franco zareagował wysłaniem noty protestacyjnej do Anglii i Stanów Zjednoczonych, która pozostała jednak bez żadnej odpowiedzi. W Hiszpanii panuje powszechnie opinia, że Narody Zjednoczone chcą w ten sposób zmusić Franco do zmiany ustroju, co w obecnej chwili nie jest rzeczą łatwą, jeżeli uwzględnimy nastroje rewolucyjne pewnej części społeczeństwa. Radykalna zmiana systemu rządowego mogłaby wywołać drugą rewolucję jeszcze bardziej krwawą od poprzedniej. Dlatego też gen. Franco pragnie rozwiązać to zagadnienie przez wprowadzenie monarchii. Jednak napotyka tu na poważny opór ze strony członków dynastii Burbonów. Franco wobec tego usiłuje znaleźć kandydata na tron spośród „karlistów hiszpańskich".

Tymczasem republikanie hiszpańscy na emigracji przejawiają silną aktywność polityczną. Poczynania ich znajdują silne poparcie w kampanii prasowej prowadzonej przez komunistów i socjalistów, nie tylko we Włoszech lub Francji, lecz także i w innych krajach. Obecnie prasa lewicowa francuska stara się wywrzeć nacisk na de Gaulle'a, ażeby zerwał wszelkie stosunki z Franco.

W ostatnich czasach rząd hiszpański usiłuje wykazać maksimum dobrej woli wobec nacisku opinii publicznej, która stara się na nim wymusić popuszczenie twardych obręczy dyktatorskich. Zezwolono obecnie na powrót do Hiszpanii dla dwóch wybitnych przedstawicieli opozycji. Wrócić mają Alcalá Zamorra, były prezydent republiki hiszpańskiej w latach 1931-1936 i Alexander Leroux, przywódca nieistniejącej już dziś partii radykalnej.

Jaki będzie dalszy rozwój sytuacji w Hiszpanii, nie trudno jest przewidzieć. Ustrój Franca, oparty o Falangę, praw-

dopodobnie będzie musiał usunąć się z widowni politycznej. Istnieje niebezpieczeństwo, że nastąpić może tzw. „demokratyzacja kraju”. Na czym będzie ona polegała i przy użyciu jakich metod

będzie przeprowadzona, wiemy o tym wszyscy bardzo dobrze.

Jedna forma niewolnictwa będzie zastępowana przez drugą. Faszyzm zmieni tylko kolor.  
*Tytus Gordon*

# Zwycięstwo czy klęska?

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

## Kapitulacja Japonii

W pięć dni po zrzuceniu pierwszej amerykańskiej bomby atomowej na miasto japońskie i cztery dni po wypowiedzeniu wojny przez Rosję Sowiecką Japonia wyraziła gotowość kapitulacji, przyjęcia poczdamskiego ultimatum Trumana i Churchilla, pod warunkiem zachowania władzy cesarskiej w samej Japonii.

Japońska potęga militarna runęła.

Japonia została pokonana przede wszystkim przez Stany Zjednoczone. Poważny wkład do wojny na Dalekim Wschodzie wniosło oczywiście brytyjskie imperium i Chiny Czang-Kai-Szeka. Japońska potęga militarna została zdruzgotana przez lotnictwo i flotę anglosaską. Ciosy z powietrza i morza zniszczyły japońską flotę, zdeorganizowały japoński przemysł, a bomba atomowa wykazała ostatecznie Japończykom całą beznadziejność dalszej walki. Zarówno przystąpienie Rosji Sowieckiej do wojny, jak i cały marsz zmotoryzowanych wojsk sowieckich przez Mandżurię nie miały oczywiście zasadniczego wpływu ani na kapitulację, ani na klęskę Japonii.

Rosja Sowiecka, jak wynika z oświadczenia samego Mołotowa od połowy czerwca zajmowała się mediacją, usiłowała odegrać rolę pośrednika pomiędzy Japonią i mocarstwami anglosaskimi. Nawet najbardziej przychylnie dla polityki sowieckiej i chwytów sowieckiej propagandy „Stars and Stripes” postawiły pytanie: „Czy Japonia skapitulowała z powodu przyłączenia się Rosji do wojny, czy też Rosja wypowiedziała wojnę dlatego, że Japonia znajdowała się w przededniu kapitulacji?”. Na pytanie to Polakowi odpowiedzi podsuwać nie trzeba.

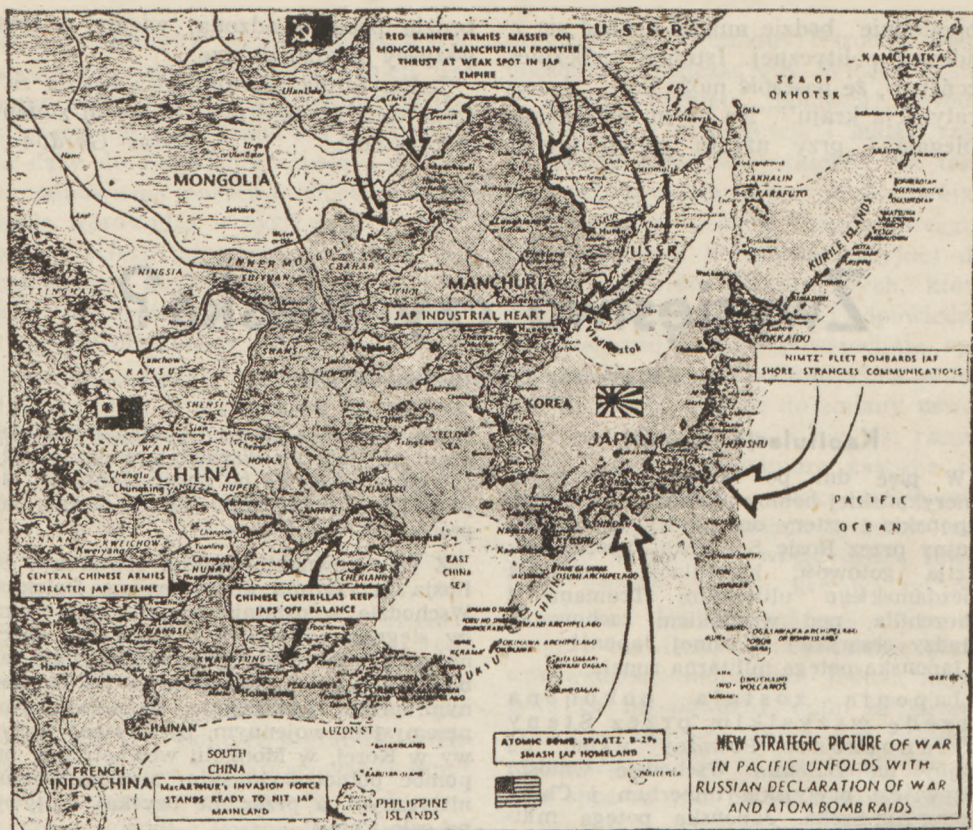
Więcej. Zarówno wiadomości o tym, że armia japońska w Mandżurii wynosi około 15 dywizyj, jak i marsz sowieckich kolumn przez Mandżurię z szybkością fantastyczną, bo sięgającą do 100 mil na dobę, ostatecznie rozwiewają i drugą legendę o tym, jakoby

Rosja Sowiecka przez trzymanie wielkiej armii na Dalekim Wschodzie w sposób decydujący zaważyła na rozproszeniu sił japońskich i przyczyniła się do klęsk japońskiej.

Z całą pewnością można stwierdzić, że Rosja przystąpiła do wojny na Dalekim Wschodzie w ostatniej chwili, poto tylko by sięgnąć po udział w łupie, by obecnością swych wojsk zabezpieczyć sobie zabór czy grabież Mandżurii z jej ogromnym, przez Japończyków rozbudowanym, przemysłem wojennym, by uzyskać wpływ w Korei, w Mongolii wewnętrznej, by pomóc północno-chińskim armiom komunistycznym, a przez nie uzyskać wpływ na całe Chiny.

Ostatnim aktem polityki sowieckiej na Dalekim Wschodzie, który nie powinien być niezauważony, było powołanie komitetu „wolnych Japończyków” pod firmą „ligi wyzwolenia japońskiego ludu”, z niejakim Susuku Okano, agentem Kominternu o identycznej niemal co polski Bierut autobiografii, na czele. Jeżeli von Paulus z całym komitetem nie odegrał swej pełnej roli i dziś w Niemczech dopiero przez uchwały poczdamskie Rosja musi wywalczać prawo do jednej partii komunistycznej, to tylko dlatego, że zwycięstwo i w Niemczech przyszło od zachodu, a armie anglosaskie od wejścia do Berlina przed sowieckimi wojskami powstrzymał Teheran, a nie żołnierz niemiecki. Jeżeli Susuku Okano nie będzie mógł odegrać roli Bieruta w Japonii to tylko dlatego, że klęska japońska, przyspieszona bombą atomową, przyszła szybciej niż plany moskiewskie przewidywały.

Tej prawdy nie zmieniają zapewnienia, że Rosja Sowiecka zgodziła się wziąć udział w wojnie na Dalekim Wschodzie przed tym, nim została powiadomiona o posiadaniu przez Stany Zjednoczone bomby atomowej. Jeżeli tak było, to jest to dowodem, że nawet bez bomby atomowej kapitulacja Japonii przed potęgą anglosaską była nieunikniona. Natomiast nie



### Imperium japońskie przed kapitulacją

należy zapominać o niedawnych jeszcze sugestiach propagandy moskiewskiej, że Rosja musi dotrzymać terminów traktatu o nieagresji z Japonią, który wprawdzie wypowiedziany, ale obowiązuje przecież do kwietnia 1946 roku.

Japonia kapitulując za wszelką cenę pragnie ratować władzę cesarską. W przekazanej za pośrednictwem Szwajcarii i Szwecji ofercie kapitulacji czytaliśmy: „Rząd japoński jest gotów przyjąć warunki wyliczone w deklaracji poczdamskiej z 26. VII., podpisanej przez szefów rządów amerykańskiego, brytyjskiego, chińskiego, do której następnie dołączył się również rząd sowiecki, rozumiejąc, że wspomniana deklaracja nie oznacza żadnego żądania, któreby przesądzało prerogatywy cesarza jako suwerennego władcy’.

Odpowiedzi czterech mocarstw wyrażała zgodę na przyjęcie japońskiej kapitulacji pod warunkiem, że wprawdzie zostanie zachowana władza cesarska w Japonii, ale również cesarz będzie wykonywał polece-

nia dowódcy alianckich sił zbrojnych. Oświadczenie amerykańskiego sekretarza stanu Byrnes'a brzmiało: „Od momentu kapitulacji władza cesarza i rządu japońskiego będzie poddana naczelnemu dowódcy alianckich sił zbrojnych, który będzie przedsięwziął takie kroki, jakie uzna za właściwe dla wykonania warunków kapitulacji”.

Przeważa pogląd, że rząd amerykański zajmując takie stanowisko, kierował się względami na konieczność zachowania jakiegoś szkieletu władzy w Japonii i możliwość wydania do wojsk japońskich rozkazów, któreby spotykały się z natychmiastowym posłuchem, tylko przez cesarza. Opozycja przeciw pozostawieniu w Japonii władzy cesarskiej miała pochodzić ze strony Chin i Moskwy. Komentator moskiewskiego radia Jermaszew uderzył w ton jak najbardziej bojowy wołając: „Bezwarunkowa kapitulacja to znaczy bezwarunkowa kapitulacja — nie ma co się bawić w słowa. Tak jak zjednoczone mocarstwa oczyszczają Europę z hitle-

ryzmu, tak oczyszczą one i Azję z azjatyckiej odmiany hitlerowsko-japońskiej agresji i japońskich napastników”.

Nie poniósłszy żadnych nieomal ofiar w wojnie na Dalekim Wschodzie, gdy Stany Zjednoczone zapłaciły na zwycięstwo 100.000 zabitych, w sumie razem z rannymi tracąc 275.000 żołnierza, Rosja Sowiecka i w tym wypadku propagandą stara się wziąć przy dyktowaniu warunków pokoju ton jak najwyższy i korzyści jak najszerze. Nie mając nic przeciwko ukaraniu cesarza japońskiego jako zbrodniarza wojennego, nie można oczywiście nie zauważyć, że prawdziwy sens miałyby one dopiero w świecie elementarnej sprawiedliwości, w którym jako zbrodniarze wojenni traktowani byłiby wszyscy dyktatorzy i winowajcy wojny. Na takiej liście wśród żyjących dyktatorów japoński cesarz w każdym razie nie mógłby mieć pierwszego miejsca.

Jesteśmy u progu politycznej rozgrywki o wpływy i owoce zwycięstwa na Dalekim Wschodzie. W najbliższym okresie będzie ona nadal najbardziej pochtaniać energię i uwagę wielkich mocarstw.

### Bomba atomowa

Po dwu zrzuconych bombach atomowych, na Hiroshima i Nagasaki, dowiedział się świat, że Stany Zjednoczone dysponują możliwościami zmiatania całych 100- czy 200-tysięcznych miast jedną jedyną bombą. Zaprzęgnięcie energii atomowej w narzędzia prowadzenia wojny rewolucjonizowało nie tylko całą strategię, odebrało sens wszystkim dotychczasowym metodom walki i strategii, ale po prostu otwarło nową erę w dziejach ludzkości, o której słusznie mówią uczeni i politycy, że może być zarówno erą najwyższego postępu technicznego i ekonomicznego jak i początkiem ostatecznej zagłady wszelkiej cywilizacji.

Uczeni amerykańscy i angielscy przy pomocy szeregu innych uczonych z narodów zachodnich wygrali wyścig z uczonymi niemieckimi. Wygrali, jak przynajmniej na razie należy sądzić, wyścig z uczonymi sowieckimi. Bomba atomowa w ręku jakiegokolwiek dyktatury — to oczywiście dla całego świata perspektywa jeśli nie zagłady, to w najlepszym wypadku niewoli. Narazie bomba atomowa jest w dyspozycji potęg anglosaskich. Z miarodajnych kół amerykańskich padło niedwuznaczne oświadczenie, że mocarstwa posiadające wynalazek bomby atomowej nie mają zamiaru dzielić się nim z innymi. Równocześnie obok uwag, że obecnie małe narody jeszcze bardziej niż przed tym są zależne od wielkich potęg przemysłowych padły

w tejże amerykańskiej prasie znamienne uwagi, że oczywiście wyścig pomiędzy wielkimi mocarstwami jest w tej dziedzinie jak i we wszystkich innych co najmniej prawdopodobny.

Prezydent Truman w przemówieniu do narodu amerykańskiego dobitnie podkreślił, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia posiadanego wynalazku i amerykańskiej potęgi. Prezydent Stanów Zjednoczonych mówił: „Bomba atomowa jest zbyt niebezpieczna, by można ją było wydać światu, na którym nie panuje prawo. Oto dla czego Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, które znają tajemnicę jej produkcji, nie zamierzają wyjawiać tej tajemnicy, dopóki nie znajdą się środki do kontroli użycia tej bomby i ochrony nas samych i całego świata przed niebezpieczeństwem zupełnego zniszczenia... Wiemy, że Stany Zjednoczone stały się najpotężniejszym mocarstwem świata, prawdopodobnie najpotężniejszym mocarstwem w historii”.

Reuter doniósł, że według opinii amerykańskich ekspertów wojennych „pierwsza bomba atomowa podważyła i czyniła nieaktualnymi wszystkie decyzje strategiczne powzięte w Poczdamie, Teheranie czy w Jałcie. Nie należy oczekiwać, by strategiczne granice we wschodniej i południowo-wschodniej Europie, kość niezgody na wszystkich konferencjach wielkiej trójki, mogły zabezpieczyć pokój międzynarodowy. O wiele ważniejszą niż kwestia granic jest sprawa kontroli produkcji bomb czy pocisków atomowych. Eksperti podkreślają, że kontrola Dardaneli czy Kanału Suezkiego, posiadanie przez Rosję Sowiecką Królewca, czy posiadanie Renu czy Kolonii, nie może być dłużej uzasadniane koniecznością strategiczną”.

Nie sposób w tej chwili przewidzieć, jakie będą najbliższe polityczne konsekwencje posiadania przez mocarstwa anglosaskie tak potężnego oręża potęgi militarnej, a w przyszłości i ekonomicznej. Wiemy, że, by kształtować rzeczywistość, trzeba mieć nie tylko potęgę materialną, ale i wolę działania i ideę przewodnią. Wiemy, że słabość mocarstw anglosaskich polegała zawsze w stosunku do Rosji Sowieckiej na braku woli, na braku idei przewodniej, którą mogłyby zdecydowanie przeciwstawić moskiewskiej taktyce i moskiewskiej polityce. Klasycznym tego przykładem była ostatnio sytuacja w Niemczech, gdzie mocarstwa anglosaskie przez brak własnego politycznego planu musiały przyjąć sowiecki punkt widzenia i nie

tylko cofnąć zakaz bratania się z pobitymi Niemcami, ale przyjęc sowiecką zasadę jednolitej polityki w stosunku do całych Niemiec, zgodzić się na działanie tych samych partij politycznych w całych Niemczech, zgodzić się przez to na przenikanie sowieckich ośrodków politycznych do sfer anglosaskich wraz z całą ich demagogią polityczną i społeczną.

Jesteśmy po konferencji w Poczdamie w szczytowym momencie poszukiwania politycznego kompromisu. Na rzecz tego kompromisu poświęcono nie tylko zasady elementarnej prawa i sprawiedliwości, oddano 110.000.000 Europejczyków w sowiecką niewolę, ale równocześnie przez brak koncepcji własnej, a trzymanie się narzuconej przez Moskwę koncepcji sfer wpływów, całą Europę zamieniono na jedno bezsilne pobojuwisko.

W tej chwili nie wiąże już Daleki Wschód wojną sił mocarstw anglosaskich, bomba atomowa daje im broń i argumenty potężne. Czy zmieni to ich politykę?

Niebrak oznak, że polityka amerykańska wstępuje na płaszczyznę wychodzenia poza ramy koncepcji sfer wpływów. Starając się zapewnić handlowi amerykańskiemu możliwość przenikania do wszystkich zakątków świata, nie tylko dąży do pokoju międzynarodowego, ale i do stworzenia dostępu dla wpływów amerykańskich poza zasięgiem amerykańskiej strefy wpływów.

W epoce bomby atomowej rzeczywiście dla Stanów Zjednoczonych (nie dla zainteresowanych narodów) może mieć mniejsze znaczenie kto jest bezpośrednim sąsiadem chociażby Dardanel, a decydującą jest rzeczą uzyskanie pośredniego wpływu, któryby umożliwił zarówno swobodę handlu jak i wpływ polityczny.

W ostatnim przemówieniu prezydenta Trumana znalazł się obszerny ustęp o konieczności zagwarantowania swobodnego dostępu prasy anglosaskiej do sowieckiej strefy wpływów; prezydent Truman motywował próbę załatwienia sprawy polskich granic zachodnich koniecznością stworzenia warunków, w których mogłyby Polskę opuścić jak najszybciej wojska, które ją wyzwoliły. Ale przede wszystkim znalazło się w przemówieniu Trumana żądanie umiędzynarodowienia dróg wodnych „prowadzących przez kilka państw, czy graniczących z kilkoma państwami”. Jako przykład dróg wodnych, które powinny być umiędzynarodowione prezydent Truman wymienił Dunaj, Cieśniny Dardaneelskie, Ren, Kanał Kiloński.

Biorąc pod uwagę znane zamiary sowieckie w stosunku do cieśnin i patrząc na bieg Dunaju nie sposób nie zauważyć znaczenia takiego amerykańskiego stanowiska.

Oczywiście jak najbardziej niebezpieczne i szkodliwe, szczególnie dla nas, Polaków, byłoby wyciągnięcie wniosków przedwczesnych, pochopnych. Wielka trójka ustawiła piąty rozbiór polski u podstaw swego politycznego kompromisu, a linia Curzona przestała być dla wielkich mocarstw obiektem sporu. Ton sowieckiej deklaracji, wypowiadającej wojnę Japonii, pełen akcentów wierności dla zachodnich aliantów może być pierwszym dowodem świadczącym, że polityka moskiewska potrafi w swej taktyce umieścić również pozorną ustępliwość. Dla nas, polskich niepodległościowców, których długa i daleka czeka walka, nim elementarne dla naszego narodu odzyskamy prawa, pozostaje tylko zanotować, że mocarstwa anglosaskie rozwiązały sobie ręce na Dalekim Wschodzie, że w Stanach Zjednoczonych wzrasta poczucie własnej potęgi i że zewsząd pojawiają się siły, które do potwornego nonsensu sprządzają kompromis oparty na gwałcie praw narodu i człowieka, którego to gwałtu ofiarą największą stał się nasz naród.

I czekać i walczyć!

### Po uchwałach poczdamskich i wyborach angielskich

Konferencja poczdamska w swej istocie sprowadziła się do podziału niemieckiego łupu, przy czym Rosja Sowiecka poza prawem do wyłączenia i wywożenia przemysłu niemieckiego we własnej strefie okupacyjnej uzyskała jeszcze 15 % w zamian za dostawy żywności a 10 % bez żadnych rekompensat z przemysłu przeznaczzonego na koszt odszkodowań wojennych w anglosaskich strefach okupacyjnych.

Nie załatwwszy szeregu spraw jak najistotniejszych jak np. sprawy Dardanel czy Austrii konferencja przyjęła sowiecki punkt widzenia w sprawie granic polskich ustalając je prowizorycznie wzdłuż Odry i Nisy Łużyckiej.

Przyjmując dyktat sowiecki w sprawie ułatwień dla tzw. rządu jedności narodowej w stosunku do obywateli polskich poza granicami Kraju przyjęto zasadę, że dostarczona będzie wszelka pomoc tym, którzy zechcą wracać do Kraju. Nie pragnie z tej pomocy wcale korzystać świadoma polska gromada niepodległościowa na obczyźnie.

Energia atomowa w anglosaskiej bombie lotniczej nie jest jedynym czynnikiem mogącym inaczej niż dotychczas ustawić stosunek mocarstw anglosaskich do Europy; do Z.S.R.R. Klęska polityczna Churchilla w wyborach brytyjskich może być nie tylko początkiem nowych stosunków społecznych w Wielkiej Brytanii. W jednej z pierwszych deklaracji Labour Party po zwycię-

stwie była wypowiedź „Daily Telegraph”: „Musimy liczyć się z faktem nieprzyjemnym, że zaufanie do trwałej brytyjskiej linii politycznej i brytyjskich wpływów na sprawy międzynarodowe musi być odbudowywane od nowa.” Nie brakło ukłonów pod adresem Francji i Włoch. Brytyjski socjalizm przy władzy może przez wykorzystanie stosunków z postępowymi, ale nie komunistycznymi, elementami na kontynencie europejskim doprowadzić z powrotem politykę brytyjską do jej naturalnej przewodniczącej roli w Europie, gdzie obecnie Wielka Brytania jest otoczona nie tylko uczuciem goryczy, ale nawet niechęcią wśród prawdziwie patriotycznych elementów, za zdradę Europy dokonaną przez współpracę bezpryncypialną z Z.S.R.R.

Czy socjalizm brytyjski wykorzysta te możliwości — pokaże najbliższa przyszłość. W zagadnieniu przyszłości Europy dwa elementy zależne od mocarstw anglosaskich odegrają zasadniczą rolę: pozostanie wojsk anglosaskich na kontynencie i pomoc materialna dla wyczerpanej Europy. Znane nastroje demobilizacyjne wśród zwłaszcza armii amerykańskiej stają się elementem bardzo ważkim. Szereg wypowiedzi prasy brytyjskiej świadczy o tym, że głosy brytyjskich dyplomatów i dowódców, z rejonu Morza Śródziemnego szczególnie, o konieczności pozostania poważnych sił brytyjskich w Europie po wyjściu Amerykanów zdają się świadczyć, że poważne ośrodki brytyjskiej myśli politycznej zdają sobie sprawę z konieczności pozostania brytyjskich sił zbrojnych nie tylko na okupacji Niemiec, ale i we Włoszech czy w innych państwach o nieorganizowanej armii własnej, ale ze zorganizowaną komunistyczną agenturą.

O konieczności pomocy dla Europy w rozmiarach poważnych mówił prezydent Truman w sposób następujący: „Europa jest głodna. Gdy przyjdzie zima, nędza wzrośnie. Jeżeli nie przyjdziemy z wszelką możliwą pomocą, możemy stracić w ciągu najbliższej zimy to co za cenę tak straszliwych ofiar zdobyliśmy w ciągu ostatniej wiosny. Zrozpaczeni ludzie gotowi zniszczyć całą strukturę społeczną, by na jej gruzach szukać namiastki nadziei. Jeżeli pozwolimy, by Europa była głodna i chłodna, możemy utracić jeden z fundamentów porządku, na którym musi spoczywać nadzieja na światowy pokój”.

Lecz co to znaczy pomoc Europy?

Przez „Europę” w tych rozważaniach rozumie się oczywiście tylko jej zachodnie rubieże, które jeszcze pozostały po oddaniu Rosji Sowieckiej środkowo-europejskiego Międzymorza. Słowa prezydenta Trumana świadczą tylko o zrozumieniu konieczności utrzymania kosztem dużych nawet ofiar

tego obszaru poza zasięgiem rewolucji typu bolszewickiego i poza zasięgiem moskiewskich wpływów. Lecz pozostaje cały półwrotny nosens zapominania, że Europa jest jednością, że dla każdego europejskiego zdobywcy, nie wyłączając Hitlera, opanowanie środkowo-europejskiego Międzymorza dokonane obecnie przez Stalina było zawsze tylko wstępem do podboju całej Europy.

Do walki o duszę zachodniej Europy staje nowy poważny czynnik: socjalizm brytyjski. Zapowiedziane reformy społeczne — upaństwowienie banku angielskiego, kopalń węgla, całego transportu lądowego — mogą bardzo znacznie przyczynić się do wydarcia bolszewizmowi demagogicznego monopolu na hasła sprawiedliwości społecznej, ogłoszone przez państwo o najbardziej reakcyjnym i krzywdzącym czło-wieka ustroju.

Na ulicach Nowego Jorku i Londynu nie brakło oznak głośniejszej radości z zakończenia wojny. Zwyczajem młodych zwycięzców we wielu punktach świata tęskniący za domem żołnierz amerykański większą dozą trunku pokrępił swą radość. Moskwa nieustannymi marszami wojskowymi znaczyła dzień pierwszej wieści o kapitulacji japońskiej.

W powadze i trosce odnotowali w swym tułaczym dzienniku dzień ten żołnierze i uchodźca polski.

Ze środka eurazjatyckiego kontynentu kolos sowiecki rozpięra się na zachód i na wschód. Państwo polskie jak szafę przesunął na zachód, drugą ogromną szafę-państwo pragnie przesunąć na wschodzie. Chinom zamiast Mandżurii ofiarowuje Indochiny. Polknął ogromne Międzymorze środkowo-europejskie, idą jego armie przez Mandżurię. Lecz, co najgroźniejsze, z tego eurazjatyckiego państwa giganta bije jasna decyzja i wola, na wszystko gotowa, do wszystkiego zdolna. Na rubieżach Europy tymczasem nie ma nawet jeszcze wspólnego języka Europy i zwycięskich państw anglosaskich.

A ten wspólny język istnieje. To język, którym dziś tak samo jak wczoraj mówi Polak niepodległościowiec. Zapomniany, zlekceważony język „za naszą wolność i waszą”, język, którym mówimy całemu światu, że nie może być wolności trwałej w jednej części kuli ziemskiej gdy na drugiej panuje niewola i tyrania. By tym językiem mówić i by polską walkę o niepodległość prowadzić — zostaliśmy poza granicami naszego okupowanego Kraju.

I do tego wspólnego języka ludzi wolnych musi wrócić świat cały, o ile dzisiejsze zwycięstwo nie ma zamienić się jutro w klęskę.

# O banku międzynarodowym

Zagadnienia powojenne są obecnie roztrząsane z dużą uwagą przez najlepszych specjalistów.

Poprzednia wojna światowa dała narodom wiele przykrych doświadczeń, z których najbardziej dotkliwym wspomnieniem jest historia największego kryzysu gospodarczego, jaki miał miejsce w latach 1928-32.

Normalnym zjawiskiem po każdym kataklizmie wojennym jest fakt wielkiego zniszczenia i zubożenia jednego kraju, jeśli zaś zawierucha ma większe rozmiary, to zniszczenia rozciągają się na cały szereg organizmów, które zmuszone są z kolei do ubiegania się o pomoc u nie naruszonych i zamożnych partnerów. Zdarza się, że zrujnowane państwa zaczynają swą odbudowę od najbardziej prymitywnych i podstawowych potrzeb. Tak było po pierwszej wojnie światowej, a nie zapominajmy, że zniszczenia po obecnej są daleko większe i postawienie na jakimś takim poziomie normalnego życia gospodarczego w całej prawie Europie pochłonie masę czasu i jeszcze więcej funduszy. Wielkim i stwierdzonym błędem, wynikającym z doświadczeń po tamtej wojnie było niesłychanie spekulatywne podejście państw wierzycielskich do państw dłużniczych, które, otrzymując wprawdzie pożyczki pieniężne i materiałowe, były uwikłane w tak niezmiernie ciężkie warunki, że ogólnym zjawiskiem stało się świadome niewykonywanie przyjętych na siebie zobowiązań. Warunki były rzeczywiście ciężkie, pożyczki miały charakter wysokoprocentowych i krótkoterminowych. Po 10-ciu latach niebywałej koniunktury nastąpił krach. Wszelkie inwestycje nie były wystarczająco rentowne, wstrzymywano wypłaty kapitałów i procentów, wkradł się brak zaufania, spadek walut, odpływ złota i t.d., a w końcowym efekcie nastąpił kryzys.

Stany Zjednoczone, ówczesny najpoważniejszy wierzyciel, przystąpiły do budowy pomnika na cześć Finlandii, jedyne go kraju, który spłacał w dalszym ciągu procenty z zaofiarowanej mu po-

życzki. Była to prawdopodobnie zachęta dla innych dłużników do ubiegania się o pomniki dla siebie, ale, jak wiemy, nie odniosła ona spodziewanego skutku, bo drugiego pomnika już nie postawiono.

Mieszkańcy całego globu wiedzą, że i po tej wojnie państwa zniszczone będą zmuszone zwrócić się do Stanów Zjednoczonych po kredyty. Ameryka posiada zbyt wielu uzdolnionych ekonomistów i finansistów, by nie wyciągnąć właściwych wniosków z poprzedniej sytuacji i od nich też wywodzi się projekt utworzenia specjalnej organizacji p. n. Bank Międzynarodowy, który zajmie się umożliwieniem odbudowy zrujnowanych krajów na warunkach jak najbardziej życiowych i dostępnych. Projekt ten powstał w ramach amerykańskiego ministerstwa skarbu i w pierwotnej fazie wyglądał mniej-więcej następująco:

Członkiem Banku Międzynarodowego miało zostać każde zaproszone państwo, które wykupi pewną ilość udziałów, przy czym pojedynczy udział miał wynosić 1.000.000 dolarów. Pożyczki mogły być udzielane tylko państwom członkowskim na warunkach długoterminowych i niskoprocentowych, ale tylko na takie cele, które nie cieszą się zainteresowaniem prywatnego kapitału. Jeśli to nastąpiło, to procent miał być znacznie wyższy. Działalność Banku miała objąć i kredyty krótkoterminowe, o ile dotyczyłyby one finansowania handlu zagranicznego. W kompetencjach Banku miało leżeć organizowanie i finansowanie rynku surowcowego, działającego w tym względzie przede wszystkim na korzyść państw członkowskich i ustalającego ceny na podstawowe surowce. Stabilizacji miały ulec także ceny artykułów stanowiących obiekty międzynarodowej wymiany.

Kapitał zakładowy projektowanego Banku miał wynosić 10 miliardów dolarów. Bank mógł emitować własną walutę, mającą w 50% pokrycie w złocie, własne obligacje i inne papiery wartościowe, a także operować nimi na ryn-



ku celem uzyskiwania dalszych funduszy.

Oprocentowanie udzielanych pożyczek miało nie przekraczać 3%, a w stosunku do specjalnych transakcji — 4%. Uzyskanie jakichkolwiek funduszy na tych warunkach musiało być żyrowane przez zainteresowane państwo, które odpowiadałoby za dłużnika i należytą obsługę zaciągniętej pożyczki.

Ta pierwsza forma projektu Międzynarodowego Banku wywołała dużą burzę w sferach finansjery amerykańskiej. Obawiały się one zresztą zupełnie słusznie, zbytich uszczupleń inicjatywy prywatnego kapitału. Przeprowadzono olbrzymią kampanię prasową, wciągając w dyskusję całą opinię publiczną Ameryki, i w konsekwencji modyfikacja pierwotnego projektu miała już mniej humanitarny charakter. Zwycięstwo odniósł prywatny kapitał. Zmiany przedstawione konferencji monetarnej wyglądały następująco: utrzymano kapitał zakładowy w postaci 10 miliardów dolarów, pojedynczy udział obniżono do wartości 100.000 dolarów, udział każdego państwa miał być uregulowany wartością jego obrotów handlowych z zagranicą, t. zn. udział Stanów Zjednoczonych wyniósłby ok. 1/3 całości. Udział wpłacony przez dane państwo w jego walucie posiada gwarancję, że może być zawsze przez nie wykupiony za złoto. Poprawki wносиły jeszcze bardzo dużo innych momentów wybitnie krępujących przyszłą działalność Banku i jego udziałowców na korzyść prywatnego kapitału. Utrzymano konieczność żyrowania państwa przy udzielaniu pożyczki instytucji znajdującą się na jego terenie; państwo to musi gwarantować spłatę kapitału i odsetek. Specjalna komisja ekspertów ma opiniować celowość zaciąganej pożyczki; uzyskanie jej zależy ma w dużej mierze od stanowiska tej komisji. Oprocentowanie pożyczek nie zostało ustalone, lecz określono je dość ogólnikowo. Otrzymana pożyczka wypłacana ma być w walucie, w jakiej ma być wydatkowana, o ile nie sprzeciwi się temu kraj, którego walutą będą się posługiwać. Przy trudnościach wypłata nastąpi w walucie kraju pożyczającego. Po zaopi-

niowaniu przez Komisję Ekspertów dodatnio potrzeby uruchomienia pożyczki dla danego kraju, nie dostaje on pieniędzy w całości bezpośrednio, lecz otwiera mu się odpowiedni kredyt, pozwalający na realizację uznanych inwestycji. Odsetki płatne mają być od sumy wykorzystanej, a nie wyasygnowanej. Spłata pożyczki i procentów ma być w zlocie, lub dewizach, a tylko w wyjątkowych wypadkach w walucie kraju regulującego należność i to nie dłużej, jak w ciągu trzech lat. Bank międzynarodowy ma prawo emisji własnych obligacji i innych papierów wartościowych, oraz operowania nimi. Przyznaje mu się prawo zaciągania pożyczek w innych krajach. Osobny punkt zabrania Bankowi wszelkiej działalności politycznej.

Władze Banku Międzynarodowego składać się mają z Rady, Prezydenta, wybieranego przez Radę na okres 4 lat, z zarządu liczącego 9 osób, wśród których Prezydent jest członkiem automatycznym i Komitetu Doradczego, złożonego z 7 członków.

Ostatnia wersja projektu Banku Międzynarodowego uszczupliła znacznie możliwości tej instytucji, a stało się to, jak już wspomnieliśmy, na skutek silnej interwencji ze strony prywatnego kapitału, obawiającego się zbyt szerokiej kompetencji początkowo projektowanej organizacji. Na konferencji w Bretton Woods przeprowadzono jeszcze szereg zmian w szczegółach projektu amerykańskiego, ale stanowisko Stanów Zjednoczonych zdecydowało w pierwszym rzędzie o właściwym obliczu Banku Międzynarodowego.

Trudno jest w tej chwili o zdobycie całego opracowania organizacji tej instytucji i należy się liczyć poważnie z faktem, że życie wniesie w jej ramy jeszcze niejedno ulepszenie i precyzję, ale zdaje się być pewnym, że powstanie takiego aparatu jest dużym postępem na drodze do właściwego rozwikłania ciężkiego problemu międzynarodowego gospodarki powojennej i pokojowej, oraz może stanowić zaczątek przyszłej wielkiej organizacji, która będzie w stanie zapobiec światowym dramatom ekonomicznym.

*Aleksander Mudyan*

# Ludzie z Oświęcimia

Powiedziała mi w Bari jakaś pani z Imki czy Peceka: — może interesują pana dziewczęta, które były w Oświęcimiu? Jest o kilkadziesiąt kilometrów stąd cały obóz takich nowoprzybyłych... niech pan pojedzie, to musi być ciekawe.

Obóz znalazłem w zapiekłym i smutnym zachалуściu najbardziej południowych Włoch, dokąd nie docierał nawet przed wojną żaden szanujący się turysta, a gdzie teraz umieszczono jakimś nieprzyjaznym dla ludzi, a przedziwnym zbiegiem okoliczności, obóz dla polskich dziewcząt, takich przybyłych z Austrii i Niemiec i kilku takich, które przyleciały samolotem z Oświęcimia do Paryża, a stamtąd do smażącego się na tropikalnym słońcu obozu.

Pani komendantka ma umalowane usta i kairskie pantofelki na gumie. Rezolutnie uśmiechnięta posyła po oświęcimskie dziewczęta, żeby do nas, nas dwu „z gazety” przyszły i pomówiły.

Jakoż przyszły.

Stepieliśmy na emigracji przez te lata, nie zawsze potrafimy tak od razu czuć, przyjąc ostateczne gorąco i głęboko niecodzienne spotkanie czy rozmowę. Sprawdziliśmy to wszyscy wielokrotnie i sprawdzamy ten stan rzeczy w miarę upływu lat coraz częściej. Dlatego trochę się bałem czekając na dziewczęta. One mnie powiedzą, dobrze, ale co ja im powiem jeśli zapytają: jak wy tutaj, czy przez te lata tłuste dla was pamiętaliście o nas? Czy nas rozumiecie, czy jesteście, ot, choćby dla pana dostatecznie bliskie?

Jakoś tak ustawiły się w jednym szeregu. Spozstrzegłem, że machinalnym ruchem objęły wszystkie lewą dłonią prawe przedramię tuż poniżej łokcia. Kiedy zaczęły podawać ręce na powitanie na ukrywanych miejscach ukazały się wytatuowane numery. Trochę się napociłem, zanim przełamaliśmy pierwsze lody, ale zaczęła się wreszcie swobodna raczej i pełna inwencji z obu stron rozmowa.

Mówi siedemnastoletni dzieciak, uroczą pensjonarka, drobnobuzia i niebie-

skooka, jakich setki tysięcy zapemniało szczęściem domy i szkoły przedwojennej Polski. Patrzą z uczuciem przygnębienia na jej nogi, potem na swoje. Ja mam wygodne i lekkie półbuty, ona ciężkie, fasowane buciora angielskie. Ja mam wielką nogę, ona malutką. Ubrana jest w półwojskowy, półcywilny stroik, drobna w ramionach i ostrzyżona jak długowłosa, płowy, polski chłopiec.

„No... proszę pana... ja nie umiem ładnie mówić, bo cóż... Ja mam dopiero początek pierwszej licealnej i nie miałam czasu w życiu zadużo się nauczyć. Jestem z Krakowa. Wpadłam do Oświęcimia wprost z pociągu. Jeździłam kilka miesięcy jako łączniczka na trasie Warszawa-Kraków. Zawsze się udawało. Raz... To był straszny dzień. Do przedziału wszedł najpierw cywil. Spojrzał uważnie po wszystkich twarzach, najuważniej popatrzył na mnie. Wyszedł i po chwili weszli dwaj w mundurach. Zaczęło się sprawdzanie dokumentów. Moje sprawdzili i weale nie wydały się im — tak sobie teraz wyobrażam — podejrzanane. Ale kazali mi rozpiąć bluzkę i po prostu wyjęli paczkę listów, które wiozłam”.

„Wieźli nas długie dni i noce: umierałyśmy powoli. W bydłych wagonach bez światła, wody, jedzenia i możliwości załatwienia najniezbędniejszych potrzeb, jechałyśmy — jak niejedne potem powiedziały — tysiące lat. Oświęcim wyrósł przez odplombowane drzwi wagonów jak szczęście. Naprawdę wypęzłam na boży świat prawie szczęśliwa, choć wiedziałam, że przyjechałyśmy do obozu koncentracyjnego. Wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy, że to jest Oświęcim. Zaroił się od SS, od Ukraińców i własowców, krzyczeli na nas po niemiecku, ukraińsku i rosyjsku. Szłyśmy, bite i popychane, między kolczaste bramy. Pomyślałam wtedy pierwszy raz w życiu, że cały świat sprzysiął się przeciw Polakom. Mój Boże! Tutaj nas napewno pozabijają. Ale nie zabili. Podzielili na blo-

ki, na baraki, na kompanie i drużyny. Pierwszy raz dotknęły nas razy wachmanek. Przedtem widywałam bardzo często niemieckie kobiety, ale nie sądziłam, że w całych Niemczech można znaleźć takie twarze kobiece, jakie ujrzałyśmy w obozie. No i pociekły dni. Wstawaliśmy o szaleńczej rannej godzinie, gimnastykowałyśmy się, męczyłyśmy się przy rannym myciu, bo był tylko jeden kran dla całego bloku, w którym miało legowiska kilkaset kobiet. Całe szczęście, że nie przemieszano nas z cudzoziemcami. Zawsze to raźniej ze swoimi. Szczególnie w takim nieszczęściu. Nie będę panu opowiadała wszystkiego, każdej chwili po kolei, bo to nie ma sensu i pewno nudzi pana strasznie. Ale patrzy pan na mój pięknie wytatuowany numer. Z tym było tak. Kiedy przyszedł rozkaz z Berlina, żeby palić tylko Żydówki i Cyganki, my wszystkie pozostałe zostałyśmy ponumerowane. Numerowanych już nie było wolno palić. Wygrałyśmy na tym. Wprawdzie potem, opowiem panu później, kiedy zwiałyśmy i pracowałyśmy u bauerów bardzośmy się bały o te piętna. Zobaczywszy — od razu wiedzieliby, że uciekłyśmy z jakiegoś obozu koncentracyjnego. Aha, powiem żeby nie zapomnieć, wie pan, jak przyszli do wsi Amerykanie, a my rzuciły-

śmy się im na szyje i pokazałyśmy na oczach Niemców te tatuaże, widziałam jak więc pluła sobie w brodę, że nas nie zadenucejowali. Nawet, nie uwierzy pan, już przy Amerykanach wyzywali nas od polskich świń. Trzeba było Aliantom tłumaczyć. Amerykanie zaczęli prac Niemców kijami, więc wszystko pouciekało, ale dalej patrzyli na nas wściekli i nienasyceci w zemście. Tak było... Opowiadam chaotycznie i nie po kolei, ale taka, nie ma pan pojęcia, jestem szczęśliwa, ja i my wszystkie, że nareszcie już jesteśmy między swoimi, że nikt nam nie ma prawa powiedzieć: polska świniu, że doprawdy nie zawsze potrafię czegoś zapomnieć i opowiedzieć o wszystkim, co by pana interesowało. A co robiłyśmy? Oo... wszystko, wiele najróżniejszych rzeczy. Sprzątałyśmy ustępy, karmiłyśmy świnię, nosiłyśmy belki na budowę, ciągałyśmy wały do ugniatania dróg, wiele było różnej pracy, zawsze ciężkiej i ponad siły normalnego człowieka”.

Gdy Marysia mówiła — inne patrzyły w nią, jakby strofując wzrokiem za każde niedokładne słowo. Twarze tych dziewcząt mówiły o mękach nie do opisania. Nigdy już chyba nie zapomnę tych oczu, wszystkich czterech — niebieskich i bezradnych gorzką młodością.

*Jerzy Bazarowski*

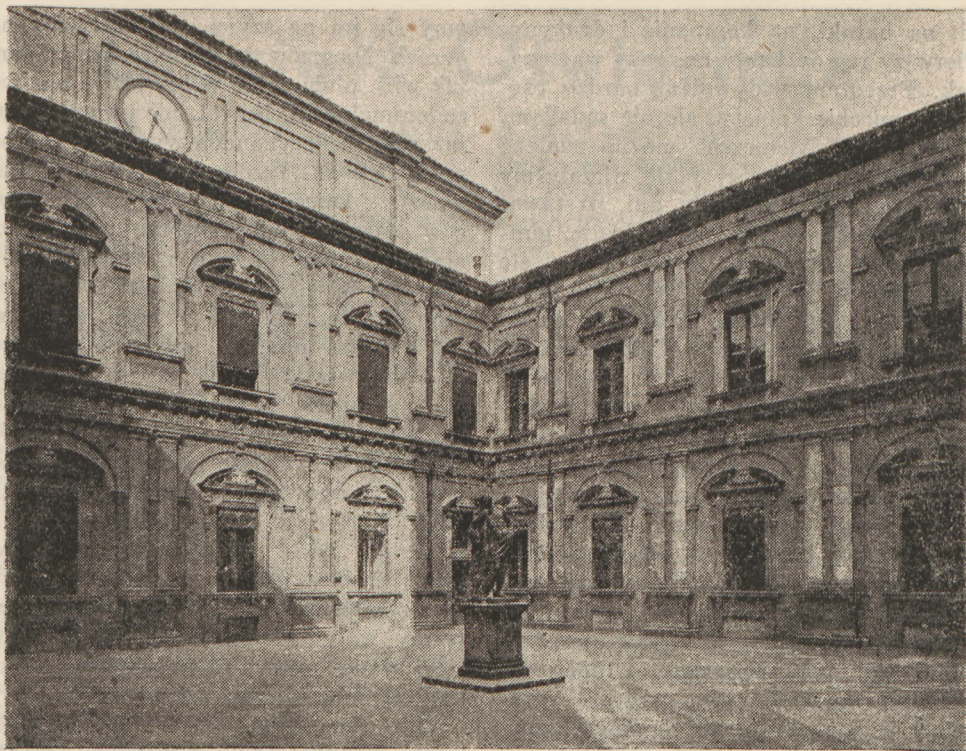
## Akademia Mickiewicza w Bolonii

Nie wiem, czy który z kolegów żołnierzy będąc w przejeździe przez Bolonię, rozejrzał się wśród gmachów tamtejszego uniwersytetu. Może odszukał gmach tzw. Ateneum, albo, znalazłszy się tam 8 czerwca, wiedział czego to mogła być rocznica. A może znalazł się przypadkiem w dawnej auli wydziału chemicznego, czy też w wielkiej sali liceum muzycznego, jeśli ono jeszcze do dziś istnieje pod postacią konserwatorium imienia Rossiniego. A może wreszcie zaszedł do czytelni Biblioteki Archigimnazjum dawnego uniwersytetu w Bolonii. Jeśli jednak dość dużo chodził ulicami miasta, to mógł przecież zauważyć na Via Mazzini, niegdyś zwanej Maggiore, dom czcigodnej rodziny Gauchów, która może dziś wymarła. Ten dom o tyle mógł zwrócić na siebie uwagę, że na nim właśnie wmurowano na 25-lecie śmierci Adama Mickiewicza, tablicę ku jego czci. Tam bowiem przechodząc przez Bolonię ze swym Legionem Polskim w roku 1848 zatrzymał się jakiś czas. A może wreszcie w pobliżu

ówczesnego prezydium Akademii im. Mickiewicza, natknął się w jednym z budynków uniwersyteckich na płytę z medalionem, dłuta Wiktora Brodzkiego.

Gdyby wszystkie te przypuszczenia ujęte w formę pytań, miały otrzymać przeczącą odpowiedź, to byłby powód do smutku. Okazałoby się bowiem, że jakaś karta z historii chwały polskiej została wydartą, lub tak dokładnie zmyta, a ślad po wydarzeniach tak zdeptany, iż w pamięci ludzkiej nie pozostało właściwie nic. Piszący tymczasem więc, nim nie przyjdą inni z pomocą, poprzestać musi na tym, aby z przypadkowych, ale jakże wynownych źródeł postarać się o odtworzenie spraw mówiących o innych — ale jakże często podobnych do nas zatraconych, którzy w swoim czasie wcale bujne wydali żniwo.

Mamy tu na myśli sam fakt stworzenia w Bolonii Akademii Literatury Polskiej i Języków Słowiańskich im. Adama Mickiewicza. A rzecz ta miała się mniej więcej w ten sposób:



### *Uniwersytet w Bolonii*

Był to rok 1878. Rok Kongresu Berlińskiego. Jak dziś. Jak pisze Władysław Mickiewicz, syn wielkiego Adama, stało się to pod wpływem podwójnych uroczystości na Kapitolu w Rzymie, a mianowicie inauguracji biustu Adama Mickiewicza w dniu 29 marca 1877 r. oraz jego koronacji wawrzynem w dniu 29 marca 1878 r. (patrz miesięcznik „My” Nr. 2: Echa pobytu Adama Mickiewicza w Rzymie). Obie te uroczystości urządzono w 30 rocznicę stworzenia we Włoszech Polskiego Legionu do walki o wyzwolenie Włoch. Wtedy profesor Dominik Santagata, po otrzymaniu listu dziękczynnego od posłów polskich w parlamencie wiedeńskim, do posłów parlamentu włoskiego — za protest przeciwko zawartemu w 1878 r. traktatowi w San Stefano pomiędzy Rosją i Turcją, mającemu na celu ostateczne pogrzebanie sprawy polskiej — odpowiedział adresem 65 studentów uniwersytetu w Bolonii do posłów polskich w Wiedniu, zapowiadającym utworzenie na uniwersytecie w Bolonii stałego centrum studiów polskich. Właśnie „... celem uwydatnienia jak najjaskrawiej konieczności przywrócenia podeptanych praw Polski”.

Adres datowany jest z 8 czerwca 1878 r. Posłowie polscy odpowiedzieli również adresem, w którym dziękując młodzieży włoskiej za jej wystąpienie, przypominają, „że przed trzema wiekami król Zygmunt August uprzedzał królową Elżbietę o niebezpieczeństwach grożących Europie, a nie tylko Polsce, ze strony Rosji, i że to dzięki nieuwzględnieniu tego ostrzeżenia,

uprzywilejowaniu Rosji i porzuceniu Polski, Anglia znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie”, wyrażając nadto mniemanie, że „kraj wielkich polityków nie zechce czekać na tę chwilę, gdy panowanie Rosji rozciągnie się do Adriatyku”, aby zrozumieć, że jest tylko jedno dostatecznie skuteczne przedmurze w postaci odbudowania Polski. Apel ten okazał się jeśli nie trochę przedczesny, to w każdym razie bardzo przewidujący.

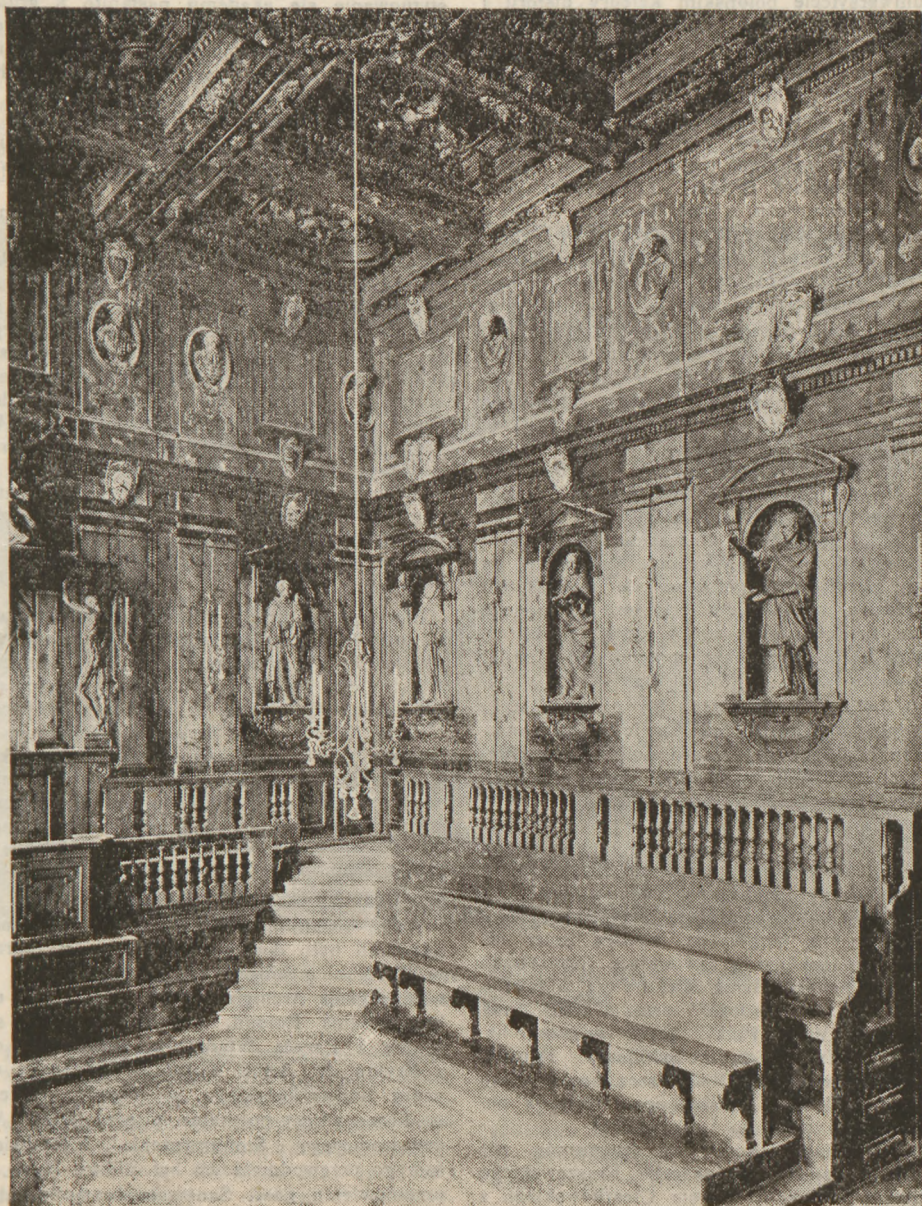
Minęło nieco czasu, aż w dniu 23 marca 1879 r. tenże profesor Santagata w sali Atrium w Bolonii wygłosił odczyt o historii i literaturze Polskiej w jej stosunkach z Włochami i Europą, po którym wysunął konieczność zrealizowania projektu, zawartego w adresie studentów bolońskich z 8 czerwca 1878 r. w postaci założenia studium historii literatury polskiej oraz innych narodów słowiańskich. Projekt ten znalazł bardzo przychylny echo zarówno w opinii społecznej jak i w prasie.

Następnego dnia rozpisano na uniwersytecie rodzaj referendum ludowego w tej sprawie i już 11 maja 1879 r. odbyło się w auli chemicznej starego uniwersytetu przedwstępne zebranie organizacyjne pod przewodnictwem prof. Santagata i w nieobecności pierwszego członka akademii, prof. hr. Aureliusza Saffi, który właśnie przewodniczył na kongresie pokojowym w Mediolanie. Na zebraniu tym odczytano nową odpowiedź polskich posłów z Wiednia, stwierdzającą między innymi:

„Barbarzyńcy współczesni, panujący nad wybrzeżami Nowy, są mniej niebezpieczni ze względu na swoją siłę wojskową, aniżeli przez swoją piekielną chytryść, z jaką deprawują sumienia i instynkty narodów. Są dwulicowi i dwuznaczeni. Chcą, aby Europa traktowała ich jako cywilizatorów Wschodu, a w Rosji przedstawiają cywilizację Zachodu jako rzecz potworną. Konserwatystom wmawiają, że Rosja jest niezdołączoną fortecą konserwatyzmu, a liberałom, że nie ma na świecie kraju bardziej postępowego. Jednym mówią, że nasze powstania są dziełem szlachty polskiej, która chce odzyskać

swe dawne przywileje, drugim — że jest to dzieło międzynarodowej rewolucji. Przeciwno takiej przewrotnej chytryści i na tak wielkie oszustwo, jest tylko jedno lekarstwo: szczere badanie, doskonała znajomość rzeczy. Fiat lux, libertas erit”. Adres ten podpisany był między innymi przez poetę Kornela Ujejskiego i wybitnego mówcę parlamentarnego Ottona Hausnera.

Potem przyjęto rezolucję w sprawie tzw. programu i statutu Akademii, nadając jej miano Mickiewicza. W rezolucji powołano się na argument — jakże aktualny w obecnych czasach krzewienia się idei Międzymorza — że „narody



*Uniwersytet w Bolonii: Archigimnazjum, sala anatomii.*

słowiańskie liczą ogółem w Europie 80.000.000 nieszkańców, które znajdują się jeszcze w mniejszym lub większym stopniu niewoli... a wszystkie dążą do wolności i niepodległości" i że „od ich zorganizowania na zasadach braterstwa ludów zależy w dużej mierze wolność i bezpieczeństwo wszystkich narodów wschodnich, cywilizacja i w ogóle pokój Europy". Statut przewidywał utworzenie biblioteki i odbywanie co niedziela zebrań członków oraz uroczystych dorocznych posiedzeń publicznych. Przewodniczącym tymczasowym do chwili ostatecznego założenia Akademii, przewidzianego na koniec roku i zgłoszenia wniosku o utworzenie na uniwersytecie bolońskim katedry historii i literatury słowiańskiej, został prof. Santagata.

Dopiero w niedzielę dnia 8 czerwca 1879 r. odbyło się właściwe inauguracyjne posiedzenie w sali liceum publicznego imienia Rossiniego, w obecności ciała profesorskiego w komplecie, oraz wielu studentów i licznej publiczności, wśród której znajdował się poeta Teofil Lenartowicz i rzeźbiarz Brodzki. Lenartowicz miał odczyt o Mickiewiczu, a prof. Santagata w swym przemówieniu stwierdził między innymi: „że nikt nie może mieć pięknej duszy bez miłości dla Polski". Powiedzenie o Polsce — „natchnieniu narodów" ma więc już swoją historię.

Przypominając owoce czynione Mickiewiczowi w czasie jego pobytu w Legionem w Bolonii, mówca powiedział: „Wieczorem dnia 24 kwietnia (1848 r.) odbyła się wspaniała owacja na cześć Mickiewicza pod oknami domu adwokata włoskiego Fryderyka Gaucha, u którego się zatrzymał. Tysięczny tłum zebrał się na ulicy przy świetle pochodni i dźwiękach orkiestry. Okno się otworzyło. Pułkownik Siedońkiewicz rozwinął flagę polską. Ukazał się Mickiewicz, powitany olbrzymimi owacjami. Przemówił on „swym akcentem zmęczonym, ale natchnionym najwyższym pragnieniem zrzucenia okropnego jarzma, który uciskał jego i naszą (Włochów) ojczyznę". Po gromkich okrzykach odpowiedział gospodarz i jeden ze studentów.

Tak było w roku 1848. Po przypomnieniu tych faktów nastąpiło odczytanie przez Lenartowicza rozprawy o pismach politycznych Mickiewicza, w której porównywał poetę polskiego do Jeremiasza opiewającego upadek Jerozolimy i Homera opiewającego upadek Troi — upatrując błąd ówczesny Polski w tym, że po wiekowych trudach chciała spocząć na atlasach, gdy według Koranu „Bohaterowie winni spoczywać tylko w cieniu swego oręża". Następnie rozdano zebranym książeczkę, wydaną przez dr. Artura Wołyńskiego a zawierającą tłumaczenia na włoski poezji Adama Mickiewicza, a mianowicie „Ody do młodości" przez Curzio Antonelli, „Do Matki Polki" przez senatora hr. Andrea Maffei, tłumacza Schillera i Byrona, oraz „Reduty Ordona" — przez prof. Ettore Marucci z Florencji, zasłużonego tłumacza poezji polskiej, zwłaszcza Lenartowicza.

Wśród wielu nadesłanych telegramów nie brakowało depesz od Ignacego Kraszewskiego z Drezna, hrabiego Augusta Cieszkowskiego z Poznania, Władysława Mickiewicza z Paryża. Po odczytaniu ich prof. Santagata jako prze-

wodniczący podziękował wreszcie Wiktorowi Brodzkiemu za ofiarowany Akademii medalion Adama Mickiewicza, który miał zdobyć salę jej obrad, a umieszczony został obok biura prezydium. Za członków Akademii uznano 16 tłumaczy włoskich dzieł Adama Mickiewicza i 18 pisarzy zagranicznych, oraz wybrano prezesa honorowego w osobie senatora hr. Karola Repoli z Bolonii, który opiewał w swych wierszach chwałę i nieszczęście Polski. Jak wszystkie zebrania tego rodzaju zakończono i to posiedzenie okrzykami „Niech żyją Włochy! Niech żyje Polska"!

Zgodnie z przewidywaniami ostateczne ukonstytuowanie się akademii nastąpiło 8 grudnia 1879 r. w sali Archigimnazjum. Było to po uroczystościach 50-lecia pracy literackiej J. I. Kraszewskiego, które odbyły się w pierwszym tygodniu października w Krakowie, kiedy to Henryk Siemiradzki ofiarował dla zakładanego wówczas w Krakowie Muzeum Narodowego obraz pt. „Żywe pochodnie Nerona" oznaczone złotym medalem na wystawie paryskiej 1878 r. Propozycję sprzedaży tego obrazu do Rosji malarz odrzucił. Prof. Santagata twierdził w swym przemówieniu, że „Siemiradzki myślał o współczesnych męczennikach polskich, gdy odmalowywał cierpienia pierwszych chrześcijan za czasów cesarstwa rzymskiego". Po wybraniu komisji statutowej odroczone dalsze obrady do dnia 14 grudnia, gdy ostatecznie przyjęto program i statut Akademii i wyrażono podziękowanie inżynierowi Wiktorowi Zienkiewiczowi za pierwszy dar złożony na rzecz Akademii. Jako dzień dorocznych uroczystych posiedzeń wybrano ostatnią niedzielę listopada, jako przypadającą w tygodniu, w którym nastąpiła śmierć Mickiewicza (26. XI. 1855 r.).

Pierwsze zebranie publiczne po zatwierdzeniu statutu odbyło się 30 maja 1880 r. Lenartowicz wygłosił wówczas odczyt o geniuszu poetyckim Mickiewicza, biorąc za przedmiot rozważań „Konrada Wallenroda". Antoni Zaleski przelał zaś Akademii rozprawę o współczesnym malarstwie polskim. Przyjęto nowych członków, jeden z nich, Vito Fornari z Neapolu, pisał w swoim liście, że „Polska przez swe męczeństwo przygotowuje nadejście panowania narodu słowiańskiego. Jest wiele znaków jej bliskiego zmartwychwstania". Trzeba było na nie czekać jeszcze prawie 40 lat.

Bodaj ostatnim znanym nam wystąpieniem Akademii było doroczne uroczyste jej zebranie w 25 rocznicę śmierci Adama Mickiewicza. We wielkiej sali Archigimnazjum zebrała się elita intelektualna Bolonii, a nadto przybyły specjalnie z Paryża Władysław Mickiewicz, oraz z Rzymu dr. Artur Wołyński, założyciel muzeum kopernikańskiego w Rzymie. Nadesłano liczne adresy powitalne, między innymi Międzynarodowego Stowarzyszenia Literackiego, którego przewodniczącym był Wiktor Hugo. Po przemówieniu prof. Santagata nastąpiło odsłonięcie płyty pamiątkowej na ulicy Mazziniego z następującym napisem:

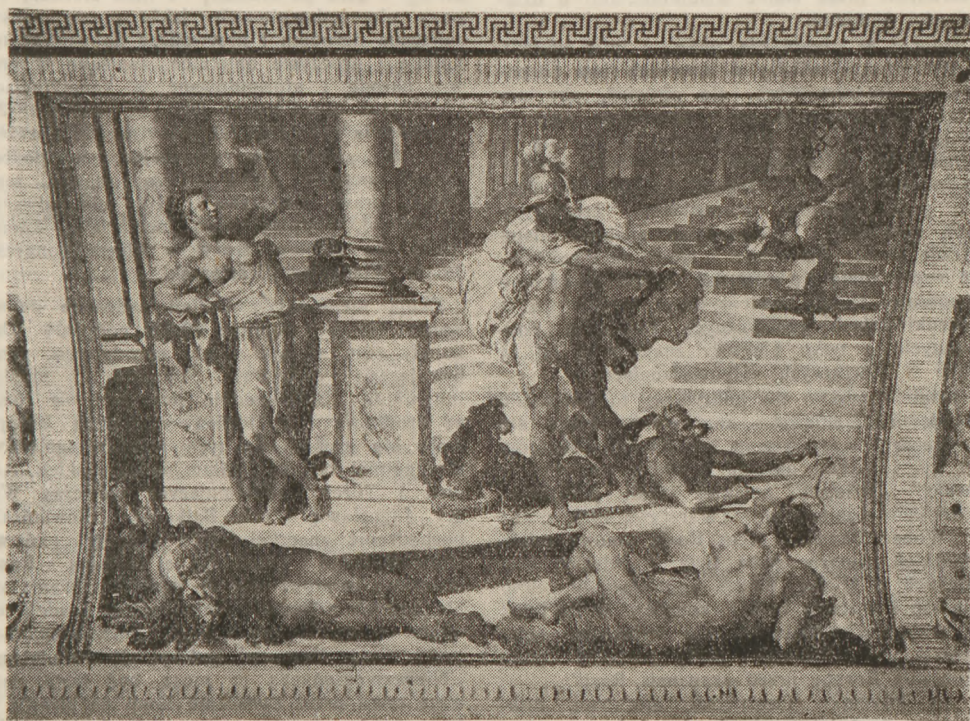
W tym domu mieszkał  
w kwietniu 1848 r.  
wielki poeta i patriota  
Adam Mickiewicz  
organizator i wódz Legionu Polskiego  
podczas walk o niepodległość Włoch  
jako gość wybitnego prawnika  
Fryderyka Gaucha.  
Na pamiątkę tego  
wmurowano tę płytę kamienną  
28 listopada 1880 roku.

Przy tej okazji dr Wołyński wygłosił przemówienie o Mickiewcu po włosku, na które zaplanowaną mową odpowiedział prof. Panzacchi, dyrektor Akademii Sztuk Pięknych. Replikował jeszcze Władysław Mickiewicz mówiąc, że literatura polska wśród innych słowiańskich, zajmuje takie miejsce, jak włoska wśród innych łacińskich. Owacjom nie było końca.

Wśród depesz znalazł się nadesłany adres polskiego Towarzystwa Historyczno-literackiego

towta, tłumacza Słowackiego na francuski. Nieustrudzony Curzius Antonelli przesłał z Rzymu swe tłumaczenie na włoski „Farysa”, sporządzone specjalnie na 25-lecie śmierci poety, a markiz Adriano Colocci, w „Corriere della Marche” w Anconie — którego był redaktorem naczelnym — tłumaczenie włoskie prozą „Drogi na Sybir” z 3 części „Dziadów”; dr Mojżesz Ascarelli z Rzymu przetłumaczył na język hebrajski „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”, które wydał z przedmową A. Levy, przeznaczając dochód na budowę pomnika Mickiewicza w Krakowie.

Więcej systematycznych wiadomości o działalności Akademii brak. Pewne pojęcie o trudnościach, na jakie natrafiła w swej dalszej działalności, daje wydany w 1885 r. tomik pt. „La Polonia” napisany po francusku i po włosku, jako wydawnictwo Akademii im. Adama Mickiewicza ze wstępem prof. D. Santagata, jako prezesa Akademii. Tomik ten liczył 166 stron i był drukowany w „Tipografia Militare” w



Uniwersytet w Bolonii — Akademia Sztuk Pięknych. Fresk na suficie przedstawiający Ulissesa.

w Paryżu, którego przewodniczącym był książę Władysław Czartoryski. Towarzystwo to dekretem z dnia 10 czerwca 1866 r. wraz z Biblioteką Polską uznano za instytucję użyteczności publicznej.) Viceprzewodniczącym tego towarzystwa był Aleksander Chodźko, prof. języków i literatur słowiańskich w College de France. Była też depesza od byłych uczniów Szkoły Polskiej w Paryżu pod przewodnictwem W. Gasz-

Bolonii. Wydawnictwo to pomyślane było jako protest przeciwko „konspiracji milczenia” które opóźnia nieskończenie rozwiązanie”... „zagadnienia wyrzytego w sumieniu wszystkich ludzi współczesnych”. Tomik ten zawiera pełny tekst programu Akademii, którego statut w par. 1 głosił: „Akademia ma na celu badać, poznać i rozpowszechniać wiedzę o historii i li-

teraturze Słowian, a szczególności ludności polskiej i poznawać jej stan obecny oraz poierać wspólne interesy”.

Na cztery części tej publikacji składały się: 1) druga część odczytu z 16 kwietnia 1882 r. wygłoszonego w auli Archigimnazjum pt. „Panslawizm rosyjski”, 2) odczyt wygłoszony 8 maja 1883 r. w wielkiej auli uniwersytetu pt. „Przyszłość Polski”, 3) Odczyt z 2 grudnia 1883 r. pt.: „Polska i Europa”, wspominający o projekcie wydawania specjalnego pisma Akademii pod nazwą „Lo slavo”. Równocześnie podano treść mowy delegata Akademii hr. adwokata Begeja w Rapperswilu podczas uroczystości ku czci Sobieskiego, i wreszcie 4) odczyt wygłoszony w auli biblioteki św. Lucji z 30 listopada 1884 r. „O potrójnym aliansie”, zawierający wezwanie do współdziałania z Akademią. Najwidoczniej Akademia cierpiała na brak dostatecznie rozbudowanej współpracy zarówno ze strony polskiej, jak i ze strony obcej. Przypominamy te daty i nazwiska, aby każdy, komu to będzie poręczniej, mógł je uzupełnić zbranymi przez siebie wiadomościami o działalności Akademii.

Dobrze to czynić nie tylko w imię prawdy i gromadzenia wiedzy o sprawach nas bezpośrednio interesujących, ale również, aby nie tylko dzisiejsze cele, ale i dawniejsze węzły z krajem, w którym przebywamy, mogły się w sercach ich mieszkańców przeciwstawić dorywczym objawom nieżyczliwości do nas, rozbudanej przez agentów bolszewickich. Zresztą w tych sprawach i wydarzeniach analogie historyczne są tak znamienne i godne podkreślenia, że wręcz zdają się posiadać jeszcze praktyczne znaczenie. Nigdy bowiem dosyć tej historii w poszukiwaniach praktycznych rozwiązań politycznych, a tylko niekiedy znajdujemy jej za dużo w chwilowych niepowodzeniach.

Jeżeli chodzi o tło polityczne, to powstanie Akademii Mickiewicza w Bolonii zbiega się z ówczesnym kongresem berlińskim. Zobaczmy co mówi o tym okresie Wilhelm Feldman w swoich „Dziejach polskiej myśli politycznej w okresie rozbiorowym” (Warszawa 1918) t. II: „Wobec złamania przez Rosję umowy reichstadzkiej, Austria znów była w bliskich stosunkach z Anglią. Razem spowodowały zebrań się 3 czerwca 1878 r. kongresu w Berlinie, a wszystkie mocarstwa, nie wyłączając tego, którym był Bismarck, czuły potrzebę zabezpieczenia Europy przed ekspansją Rosji”...

„A Polska? Stosunkowo niedawno, dwadzieścia parę lat temu obradował kongres mocarstw w Paryżu; jakżeż zmienił się świat od tego czasu! Dyryguje obecnym „Koncertem państw” nie Francuz pół krwi polskiej, lecz Bismarck. A sprawa polska, wówczas jeszcze żywa, choć tylko półurzędowo unosząca się nad kongresem? Teraz trudno ją narzucić kongresowi: żadne mocarstwo za nią nie stanie.” (Sympatyczny odgłos wywołała sprawa polska tylko w parlamencie włoskim, podczas dyskusji nad kongresem, tudzież wśród socjalistów niemieckich.) Tym razem też jedynie „nieoficjalnie do kongresu wpływają 4 memoriały w sprawie polskiej”.

Jeden, najdalej idący w żądaniach, wystosowała szczątkowa Konferencja Narodu Polskiego, zapewne przez W. Kulczyckiego, reprezentanta swego w Rzymie; rząda on utworzenia ze wszystkich zaborów Polski niepodległej. W przeciwnym razie miał podobno grozić połączeniem się Polaków z socjalistami i nihilistami.

Drugi memoriał opracowała emigracja, a wręcz go Władysław hr. Plater. Wylicza wszystkie krzywdy polskie okazywane od Rosji i porównywa z nimi pieczę okazywaną przez mocarstwa słowianom wschodnim. Memoriał podkreśla, że „Polska oparta na swym prawie protestuje i nie przestanie protestować przeciw tym gwałtom i wierzy w swą przyszłość i ma nadzieję, że powszechny interes, że potrzeba ustalenia pokoju na trwałych podwalinach i oddziaływanie przeciw niebezpieczeństwu, grożącemu społeczeństwu przyspieszy chwilę odrodzenia”.

Dwa dalsze memoriały przysłano z Galicji.

Jeden opracowali konserwatyści krakowscy, którzy w nim podkreślali, że „nie zrzekają się praw nieprzedawnionych, jakie prawo boskie zapewnia narodom i przywołując na pamięć republikanie i uroczyste obietnice, zapisane w prawie narodu i sformułowane w konstytucjach i statutach organicznych jak z r. 1815 i 1832” przedstawia tylko stan faktyczny narodu i stwierdza, że „nawet przypuszczając, że podbój tworzy początek prawa — rząd rosyjski tego swego prawa nadużywa”. Nikt nie odważył się jednak podpisać tego memoriału. Anonimowy ten elaborat złożył w biurze kongresu książę Władysław Czartoryski.

Drugi memoriał z Galicji nadesłała demokracja. Na nim zebrano 30.000 podpisów. Dokonały tego szczątki rządu narodowego, przebywającego we Lwowie. Stwierdza on między innymi że „Bezpośrednie zetknięcie się Rosji ze środkową i południowo-wschodnią Europą stało się groźne dla tych nowych sąsiadów, szczególnie zaś dla państw naddunajskich, Austrii i Turcji” (obejmujących wówczas Węgry, Jugosławię i całe Bałkany). „Stowiańskie pochodzenie znacznej części ludności państwa Ottomańskiego i wspólność jej religijna z Rosją utworzyła caratowi pole do przygotowywania sobie nowych zaborów” (najwyraźniej spadek ten objęła i zrealizowała Rosja bolszewicka — przyp. On.). Memoriał kończył się wnioskiem: „Niebezpieczeństwa te mogą być stałe usunięte tylko przez zwrócenie Rosji na powrót w jej naturalne granice, przez wstawienie pomiędzy nią i Europę Polski”.

„Odpowiedź otrzymał tylko Plater od lorda Beaconsfielda — pisze Feldman — który wyraża współczucie dla tego aktu tak interesującego i rozumnego i żałuje, że kongres sprawa Polski zajął się nie zechce i nie może”... Za memoriałami nie stało bodaj kilka tysięcy żołnierzy polskich. Ani nie przemysłana groźba zamierającej konfederacji, ni protest emigracji imieniem prawa i moralności, ni oferta konserwatystów krakowskich, czyniona konserwatystom narodów szczęśliwych, ani wreszcie apel demokracji w imię równowagi Europy i znowu



prawa etycznego — wszystkie te motywy, nie mogły wobec państw zastąpić faktów, że Polacy są zupełnie osamotnieni, bez przyjaciela w Europie i orędownika, że słowem tylko przychodzą, zmarnowawszy jeszcze raz sposobność dziejową do przemówienia obmyślanymi, przygotowanymi czynami”.

Na tym tle uroczystości w Bolonii związane z utworzeniem Akademii im. A. Mickiewicza stają się wyrazem sympatii okazanej nam przez Włochów, sympatii bezinteresownej i życzliwej, która jednak dziwnie mało wiązała się z istotnym nurtem naszego życia narodowego. Świadczyć o tym mógłby fakt, że nawet nazwisko przebywającego w Rzymie reprezentanta Konfederacji Wł. Kulczyckiego nie zostało wymie-

nione w związku z utworzeniem Akademii Mickiewicza w Bolonii\*.

Jedynym odnalezionym śladem jego zainteresowań całym cyklem uroczystości Mickiewiczowskich we Włoszech w latach 1877 — 1879 jest list z podziękowaniem dla syndyka rzymskiego z okazji odsłonięcia tablicy na ulicy del Pozetto, gdzie Mickiewicz organizował w 1848 roku swój Legion Polski. List ten ogłoszony został w czasopiśmie „Opinione” z dnia 3 kwietnia 1877 r.

On

\*) *Honoration de la Memoire D'Adam Mickiewicz en Italie*, Paris 1881, bez autora, z przedmową Władysława Mickiewicza.

## W KRAJACH MIĘDZYMORZA

# Polacy i Serbowie

Serbów od Polaków dzieli przede wszystkim duża przestrzeń. Oba narody są przedzielone — jak to się mówi powszechnie w bajkach — siedmioma górami i siedmioma rzekami. Dzięki jednak rozwojowi techniki przestrzeń ta została znacznie zmniejszona, a tym samym oba narody zostały bardziej do siebie zbliżone. Niemniej jednak rozłączały je w dalszym ciągu przyczyny natury duchowej. Przyczyny, które tak często rozłączają nawet rodzonych braci. Polacy są dobrymi katolikami — Serbowie zaś są wierni swemu wyznaniu prawosławnemu.

Ta sama przyczyna wywołała również głęboką przepaść pomiędzy Serbami i Chorwatami.

W końcu do tego wszystkiego dołączyły się jeszcze pewne przesady polityczne. Rosja w swoim parciu na południe starała się przedostać przez Bałkany na Morze Śródziemne. Była skutkiem tego w wiekowej walce z Turcją, która zniszczyła stare państwo serbskie i jego kulturę. Serbowie w ciągu krwawych zmagani dążyli do wolności, oraz odbudowy swego państwa i swojej kultury. Dla nich było więc bardzo korzystne każde osłabienie ich wiekowego ciemiężcy. Z tego też powodu Serbowie najpierw — przez 400 lat — pomagali Węgrom, a potem Austrii. W czasie tych walk przelali morze swojej własnej krwi.

Jest więc zupełnie słuszne i zrozumiałe, że Serbowie widzieli w Rosji swego wybawiciela i w niej pokładali całe swoje nadzieje. Tym bardziej, że Austria w tym czasie zaczęła prowadzić wobec Turcji ostrożną politykę unikania konfliktu.

Czy należy się więc dziwić, że Serbowie w stosunku do Rosji byli pełni ufności, skoro przy jej pomocy wywalczyć pragnęli swą niepodległość?

Czy mogli oni zapomnieć, że z Rosji dostawali, przez całe wieki, najrozmaitsze modlitewniki, książki do nabożeństw oraz szaty liturgiczne, przechowywane z wielkimi trudnościami i niebezpieczeństwami przez zakonników serbskich?

Nie ma po prostu ani jednej prawosławnej cerkwi, w którejby przez wieki — od czasu kiedy Turcy zniszczyli w XVI wieku wszystkie drukarnie serbskie (pierwsza rozpoczęła swoją pracę w 1492 r.) — nie posługiwano się w obrzędach kościelnych książkami drukowanymi w Moskwie w starocerkiewno-słowiańskim języku.

W ten sposób Serbowie stali się „rusofilami”.

Słowo to biorę w cudzysłów, ponieważ Serbowie byli zawsze tylko serbofilami. A byłiby napewno okazali swą wdzięczność każdemu innemu narodowi, któryby im pomógł w uzyskaniu niepo-

dległości. I wówczas z pewnością byliby nazwami „austrofilami”, „frankofilami” czy „anglofilami”. Byliby również „polonofilami”, gdyby Polacy mogli im tylko udzielić pomocy. Nie podają tego bez podstawy. Wielki poeta z Dubrownika, Gundulicz, tyle serbski ile chorwacki, w swym słynnym eposie „Osman” granicę serbską przesunął poprzez Troję do Dardaneli, a wybawiciela narodu serbskiego upatrywał w Królewiczu Władysławie.

W międzyczasie Rosja wraz z Prusami i Austrią przeprowadzały rozbiory wielkiego państwa polskiego, a każdy poryw narodu polskiego w kierunku wyzwolenia był przez nią w sposób krwawy i bezwzględny zduszony.

Stała się więc Rosja dla Polaków tym, czym była Turcja dla Serbów — głównym krwawym historycznym nieprzyjacielem.

Jest więc zupełnie jasne, że przez Polaków każdy przyjaciel Rosji był uważany za sprzymierzeńca ich wiekowego wroga.

Tak samo, o ile chodzi o Serbów, to każdy kto osłabiał Rosję, ich jedyne obrońcę, był uważany za przeciwnika. Wobec takiego stanu, stosunki pomiędzy Serbami i Polakami były raczej ozięble, jeśli nie wrogie. Wrogie zarówno dla Polaków jak i Serbów siły wiele energii poświęciły na to, by w świecie ugruntować zarówno o narodzie serbskim jak i polskim jak najbardziej szkodliwe o nich przesady i opinie.

Polacy są przedstawiani światu jako naród reakcyjny, prowadzony przez „panów”, mających na myśli li tylko interes swego własnego stanu szlacheckiego. Został natomiast zupełnie pominięty milczeniem fakt, że to właśnie reakcyjni sąsiedzi w 1795 r. dobili Polskę, która w 1793 r. w dniu 3 maja, w chwili swego odrodzenia, uchwaliła konstytucję, jakiej nie miał oprócz rewolucyjnej Francji i Szwajcarii żaden inny naród na kontynencie europejskim. Polacy przelali morze krwi walcząc wszędzie, gdzie tylko ludzie walczyli o wolność. W walkach tych brała udział i szlachta polska, która w czasie krwawych powstań 1830 i 1863 roku poniosła nie tylko ofiary krwi, lecz również wielkie straty materialne.

Te przesady zakorzeniły się tak głęboko i do tego stopnia, że nie potrafiły usunąć ich nawet takie fakty, jak te, że ta nowa odrodzona Polska przeprowadziła reformę agrarną, że w niej istniały potężne partie o radykalnych poglądach: chłopskie, robotnicze i mieszczańskie, i, że w dosłownym znaczeniu partii reakcyjnej nie było w ogóle.

Zakorzeniły się one i u Serbów, którym „panów” Turcja wytepiła do ostat-



*Młoda Serbka*

niego tak, że 500 lat żyli pod socjalnym, politycznym i religijnym naciskiem panów tureckich, węgierskich i chorwackich, których zniecierliwili i w stosunku do których odczuwali urazę śmiertelną.

Z drugiej strony Serbowie prowadzili ciężkie walki z Bizancjum, a później z Turkami o wolność swego narodu. Te walki przeniesione zostały i przeciwko Austrii. Serbowie w latach od 1804 r. t. j. od chwili, kiedy jako pierwsi powstał na Bałkanach przeciwko jarzmowi tureckiemu, aż do 1918 r. kiedy do-

prowadzili do połączenia się Serbów, Chorwatów i Słoweńców przez 20 lat pozostawali w stanie wojny (20 lat na 104).

Wszystko to było przeprowadzone nie przez kogo innego jak tylko przez Serbów i zapłacone olbrzymimi ofiarami.

Spis ludności z 1920 r. wykazał, że sama Serbia, nie licząc Serbów z byłej Austrii, miała o 1 milion dusz mniej, niż miećby powinna licząc stan przedwojenny i normalny ówczesny przyrost naturalny ludności.

Te walki narodu serbskiego o odzyskanie wolności rozpowszechniła i wykorzystwała wrogo prasa i dobrze zorganizowana wroga propaganda, przedstawiając Serbów w oczach świata jako imperialistów, militarystów, hegemonistów.

W ten sposób demokratyczni i miłujący wolność chłopcy serbscy stali się wobec świata nie kim innym, jak tylko jakimiś „prusakami bałkańskimi”, junkrami.

Przemierzany natomiast został fakt, że Serbowie do czasu przyścia Turków nie walczyli nigdy z Rumunami, ani z Chorwatami. Nigdy nie uderzyli na Bułgarię, chociaż sami byli zaatakowani 5-krotnie. Raz nawet w porozumieniu z Bizancjum. Nigdy nie zaatakowali również i Węgrów, chociaż z ich strony byli stale atakowani, nawet wówczas, kiedy poszli na Kosowe Pole. Nie chciano pamiętać, że Serbowie po odrodzeniu swego państwa tylko raz uderzyli na Bułgarię i to za panowania Króla Nilana, który był podjudzany przez Austrię i wbrew woli narodu zaatakował Bułgarię. Natomiast w latach 1913 i 1915 oraz 1941 Bułgarzy zaatakowali Serbów, zaś Węgrzy uderzyli na Serbów w latach 1914 i 1941, chociaż Serbowie nigdy nie byli agresorami wobec Węgrów, a z Rumunami i Grekami nie mieli nigdy nawet konfliktu dyplomatycznego. Ale to oskarżenie zostało przyjęte przez część opinii światowej.

W całej Europie nie ma dwóch narodów o tak podobnych pod względem przejęć i tragedii losach na tle tych samych geopolitycznych i moralnych przyczyn, jak Polacy i Serbowie. I z tego właśnie powodu oba te naro-

dy winny nawzajem dokładnie się poznać i zrozumieć, żeby się zbliżyć do siebie i współpracować.

Polska położona jest między dwoma imperialistycznymi państwami: Niemcami i Rosją, dążącymi do panowania nad światem. Polacy są narodem dzielnym i miłującym wolność, nastrojonym idealistyczno-realistycznie, a w bardzo małej mierze materialistycznie. W tym leży tragedia historii narodu, nawet o ile chodzi o czasy dzisiejsze. Od tej tragedii nie Polski nie mogłoby uchronić, ani żadna konstytucja, ani żaden ustrój społeczny. Przeciwnie, im więcej ustrój byłby w Polsce postępowy, tym bardziej byłaby Polska narażona na ataki z zewnątrz o charakterze prewencyjnym. Takich dowodów dostarcza nam historia.

Ratunek jest tylko w innej organizacji świata, oraz organizacji wszystkich większych i mniejszych narodów leżących między Bałtykiem a Morzem Śródziemnym, które są narażone na te same niebezpieczeństwa, co Polacy a jeżeli w mniejszym stopniu — to tylko z uwagi na swoje położenie geograficzne oraz charakter narodowy (zapatrywanie mniej idealistyczne).

Z drugiej strony Bałkany są wielką drogą światową, wiążącą Europę z Azją i dlatego przez Bałkany odbywały się wszelkie najazdy od Persów aż do Sowieców bez zględu na to czy szły one ze wschodu, czy z zachodu. A na miejscu najbardziej narażonym (w dolinie Morawa — Wardar) żyje naród serbski. Dlatego też Serbowie byli najbardziej narażeni na każdy najazd. Rumuni, Grecy, Albańczycy, Chorwaci byli względnie chronieni, gdyż nie leżeli na głównym szlaku. Nawet Bułgarzy byli mniej eksponowani, bo przez kraj bułgarski przechodzi tylko jedna droga bałkańska Konstantynopol-Sofia-Belgrad. Natomiast przez Serbię, oprócz wspomnianej, prowadzi jeszcze druga droga Saloniki-Belgrad. O ile Serbowie byłiby mniej dzielnym narodem, byłiby może dziś o wiele liczebnie silniejsi, niż są. Ale Serbowie są do skrajnych granic narodem o nastrojach idealistycznych, narodem lubiącym wolność, walecznym, narodem, u którego warstwa chłopska

jest trzonem państwa i narodu, bo warstwy inne były zniszczone. Takiego narodu nie zmieni żaden ustrój społeczny.

Dlatego przeżywa on teraz straszną tragedię, podobnie jak Polacy. I dla nich tak samo ratunek jest tylko w odmiennej organizacji świata, któraby uniemożliwiła agresję wielkich mocarstw. Tego rodzaju organizacja powinna dać gwarancję bezpieczeństwa narodom między Bałtykiem a Morzem Śródziemnym, przez co połączyliby się Polacy i Serbowie w jednym organizmie państwowym.

Dziś za taką organizacją przemawia to, że oba narody w tym samym czasie przeżyły identyczną tragedię i stały się braćmi w niedoli, oraz i to, że osłabiły się przyczyny, które do tego czasu sta-

nowiły tak wielką przeszkodę w zbliżeniu. Przestrzeń została pokonana przez technikę komunikacyjną. Uczucia religijne nie są już tak wielką przeszkodą, jaką były przedtem. Jednakowo zagraża im krwawy sowiecki materializm.

Wspólna niedola częściowo nas wymieszła i w ten sposób przyczyniła się do wzajemnego poznania błędnych opinii jednych o drugich, opinii, które były nam narzucane przez chytrych nieprzyjaciół.

W końcu postępowanie Sowietów z Serbami ochłodziło tradycyjną sympatię do państwa rosyjskiego.

Chwili bardziej nadającej się do zbliżenia napewno nie będzie.

Od nas tylko zależy jej wykorzystanie.

Serb

## Poezja polska w literaturze słoweńskiej

Z wielkiego dorobku poezji polskiej, którą uważam za jedną z najwspanialszych na świecie, my, Słoweńcy, mamy bardzo niewiele przekładów. Dopiero ostatnio, w czasie drugiej wojny światowej powstało — jak to stwierdziła krytyka — kilka dobrych tłumaczeń arcydzieł polskiej literatury romantycznej, które mogą dać słoweńskiemu miłośnikowi literatury pięknej należne pojęcie o wielkości poezji polskiej.

Ciekawe jest, że słoweńscy romantycy sprzed stu laty, współcześni uchodźcom polskim z powstań listopadowego i styczniowego, lepiej znali poetów polskich, aniżeli pokolenia żyjące w XX wieku. Te ostatnie bowiem wiedziały o Polsce bardzo mało, albo nie chciały o niej wiedzieć prawie nic, żyjąc bądź to pod wpływem czeskim, bądź też pod wpływem rosyjskim, jak to zwłaszcza miało miejsce w ostatnim dwudziestolecu. Wbrew wysiłkom niektórych przyjaciół narodu polskiego nie nastąpiło zbliżenie się Słoweńców do poezji polskiej i wskutek tego w najnowszych czasach trzeba było właściwie zaczynać wszystko od początku.

Od pierwszych lat XX wieku, w których zaczęto w Słowenii czytać i tłumaczyć poetów polskich, aż do ostatniego rozbioru Polski w r. 1939 ukazała się tylko jedna jedyna książka tłumaczeń z poezji polskiej. Wyższy urzędnik państwowy z Wiednia A. M. Ternowec wydał w roku 1909 w Gorycji przekład „Grażyny” Adama Mickiewicza razem z jednym z utworów Puszkina. Niestety, przekład ten jest zupełnie bezwartościowy zarówno z punktu widzenia poetyckiego, jak i z punktu widzenia językowego, ze względu na okropny język słoweński użyty przez tłumacza. Krytyka (dr Glonar) postawiła ten przekład poza nawiasem literatury słoweńskiej. To też utwór ten pozostał bez

żadnego wpływu na poetów słoweńskich. Ternowec przekładem swoim dał tylko wyraz wielkiego uznania dla polskiej poezji romantycznej i zachętę innym tłumaczom do jej przekładania, jak to zresztą podkreślił w słowie wstępnym. Zatem „Grażyna” Mickiewicza jest jedynym przekładem polskiego utworu poetyckiego, wydanego w książce po słoweńsku do roku 1939, i to przekładem zupełnie bezwartościowym.

Nie mniej próby tłumaczenia poezji polskiej na język słoweński, a jeszcze ściślej mówiąc, sama poezja polska ma już za sobą u Słoweńców stuletnią tradycję wielkiego uznania. Sięga ona aż do czasów, kiedy żył największy poeta słoweński Frank Preszerna (1800 — 1849) i jego nauczyciel Matij Czopa (1799 — 1835), więc sięga czasów słoweńskiego romantyzmu, współczesnego romantyzmowi polskiemu. Czop znał doskonale polską poezję, bo był nauczycielem liceum we Lwowie (1822 — 1827), a później jako bibliotekarz w Lublanie pozostawał w dobrych stosunkach literackich z przyjaciółmi polskimi ze Lwowa (Skarzyńskim, Zalewskim, Ostrowskim). Należał on do pierwszych ludzi nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, którzy przyznali „Panu Tadeuszowi” Mickiewicza wartość arcydzieła, które można porównywać z eposami homerskimi i utworami Goethego, gdy krytyka polska mówiła o obniżeniu się lotu poetyckiego twórcy „Grażyny” i „Konrada Wallenroda”. (O rękopiśmiennej spuściźnie Czopa z zakresu krytyki literackiej, zachowanej w bibliotece uniwersytetu w Lublanie, pisał z okazji setnej rocznicy powstania „Pana Tadeusza” Polak, dr Rospond).

Do otoczenia Czopa, do którego należał Preszerna i adwokat Chrobat, ożeniony z Polką, przyłączył się w roku 1837, zaraz po przybyciu

na emigrację do Lublany, Polak z Zaleszczyk — Emil Korytko, zesłany za granicę z Galicji za rozpowszechnianie nielegalnych druków patriotycznych. Idąc za zachętą Korytki, Preszern przełożył kilka utworów Mickiewicza (między innymi wyjątek z „Konrada Wallenroda” o pieśni narodowej), ale na język niemiecki. Gdyby największy poeta słoweński przełożył te utwory na swój język ojczysty, byłyby to pierwsze tłumaczenie z wielkiej poezji polskiej w tym języku. A tak są to tylko dowody pierwszego zetknięcia się jednego z największych poetów polskich z największym poetą słoweńskim — Mickiewiczem z Preszernem.

Polskie powstanie listopadowe wzmogło zainteresowanie się literaturą polską również w innym środowisku słoweńskim, a mianowicie w Gradcu Szyrskim, gdzie studiowała sztyrska młodzież razem z Wrazem, zapalonym romantykiem-etnografem, tego samego pokroju co Korytko. Wraz napisał wówczas do Preszerna, pytając go dlaczego nie tłumaczy Mickiewicza na język słoweński. Wobec tego, że korespondencja prowadzona była po niemiecku, otrzymał odpowiedź „Warum Wasser ins Meer tragen?” Wraz sam miał wówczas w rękopisie słoweński przekład „Powrotu taty” i „Modlitwy pielgrzyma polskiego” z „Książ narodu i pielgrzymstwa polskiego” Adama Mickiewicza. Tłumaczenie „Powrotu taty” nie zachowało się. Było ono przygotowane dla poetyckiego almanachu, który miał być wydawany w Rzece (Fiume) i w którym miały być drukowane tłumaczenia utworów największych poetów świata takich, jak Dante, Goethe, Schiller, Lamartine, Mickiewicz, i td. Tak wysoko cenił Mickiewicza ten współczesny mu Słoweniec, że napisał oryginalny słoweński odpowiednik wiersza „Do Matki Polki” i próbował ułożyć hymn narodowy na wzór mazurka Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła” (wszystkie te drobne utwory wydał przed rokiem z rękopisu prof. Illesicz).

Później Wraz stał się poetą chorwackim i napisał w języku chorwackim rodzaj krakowiaków (Djubabije) oraz tłumaczył wierszem kilka polskich pieśni oraz kilka utworów Mickiewicza. Wszystko to należy już jednak do literatury chorwackiej a nie słoweńskiej. Wraz stał się bowiem zapalonym wielbicielem Kollara i jego idei o 4 językach słowiańskich, z których jednym był jugosłowiański, zwany i l l y r s k i m. Tak Wraz stał się Illyrem, co według nas oznacza to samo, co być Chorwatem.

Z tego kółka w Gradcu wyszedł przyjaciel Wraza, późniejszy wielki sławista o światowej sławie, Miklosicz, który był w latach studenckich także poetą. Był on nauczycielem domowym dzieci ostatniego marszałka polskiego w powstaniu listopadowym — Ostrowskiego. Czytywał Mickiewicza razem z Wrazem i tłumaczył go, ale później wydrukował tylko przekłady wiersza Kochanowskiego „Na lipę czarnoleską” (zdaje się w roku 1851). Ten przekład wiersza Kochanowskiego przez Miklosicza jest więc pierwszym drukowanym tłumaczeniem utworu poety polskiego w literaturze słoweńskiej.

Pod wpływem Wraza zaczął zbierać w Lublanie pieśni narodowe mały znany poeta ks. Zakelj-Ledynski. Dotychczas znany on jest słoweńskiej literaturze tylko jako zbieracz i popularyzator pieśni narodowych, czy ludowych i jako autor oryginalnych wierszy i większej epopei pt. „Wilkowo”. Prof. Illesicz twierdził, że „Wilkowo” jest utworem pochodzenia polskiego, że Zakelj przerobił na swoją modłę poemat jednego z polskich poetów do tego stopnia, że nie można go było uważać ani za przekład, ani też za dzieło oryginalne. W roku 1943 miałem sposobność przeglądać spuściznę rękopiśmienną po Zakelju-Ledynskim, którą opracował msgr. Steska i widziałem wówczas, że we fragmentach pism Ledynskiego jest wiele tak pięknych pieśni romantycznych, że po wydrukowaniu ich autor stanie się jednym z najciekawszych poetów — zwolenników kierunku Kollara. W jego twórczości nie wiadomo tylko, co jest oryginalne, a co przetłumaczone.

O ile bowiem mogłem się sam zorientować na pierwszy rzut oka, są tam z pewnością jakieś przeróbki z polskiej poezji romantycznej, ale dopiero fachowy historyk literatury zdoła z czasem ustalić jakie to były polskie oryginały, które służyły tutaj za wzór.

Prz tej sposobności może ciekawe będzie opowiedzieć, jaki odgłos śmierć Mickiewicza znalazła wśród Słowenów. Otóż okazuje się, że jedyna gazeta słoweńska, wychodząca w tym czasie, „Novice” wspomniała tylko jednym zdaniem o śmierci wielkiego poety polskiego: „słynny poeta polski Adam Mickiewicz, wysłany przez rząd francuski w celach naukowych na wschód, zmarł w tych dniach w Carogrodzie na dżumę”. Tak było w roku 1855.

Rok 1856 przyniósł pierwsze drukowane przekłady z dzieł Mickiewicza na język słoweński. Przekłady te są związane z nazwiskiem innego wybitnego dialektologa, etnografa i poety słoweńskiego Matjaja Waljawca. Już jako student tłumaczył on najpierw perłę twórczości Mickiewicza — do tłumaczenia niewątpliwie jeden z najtrudniejszych jego utworów — mianowicie „Farysa”. Wkrótce potem, w następnym roku pojawiły się dalsze jeszcze 3 sonety krymskie (Stepy Akermańskie, Czysta morską i Przez morze). Świadczy to, że Waljavec miał dużo smaku w wyborze jednych z najpiękniejszych utworów Mickiewicza. Szkoda tylko, że język słoweński, nawet pod piórem jednego z największych jego ówczesnych znawców, nie był jeszcze w stanie wyrazić potęgi słowa mickiewiczowskiego. Zważszcza, że Waljavec wówczas jeszcze hołdował metodom Koseskego, który język słoweński zmieniał na różne sposoby, nadając mu wielką patetyczność i czyniąc go niezrozumiałym, bogacąc w sposób „barokowy” nowymi, dowolnymi, niesłowiańskimi pomysłami. Tłumaczenie to jest więc dzisiaj co najmniej zupełnie przestarzałe.

Tak się zabawiali poezją polską słoweńscy romantycy Preszern, Cop, Wraz, Zakelj-Ledynski, Miklosicz i Waljavec. Ten ostatni był już współczesny pokoleniu realistów, którzy zajmowali się więcej poezją rosyjską, aniżeli polskim romantyzmem. Levstik, Gregorczyk, We-

sel, Aszkerc, a także starszy Koseski i t.d. tłumaczyli poetów rosyjskich a zwłaszcza Puszkina, który stał się bożyszczem słoweńskiego Parnasu. O Mickiewiczu, Słowackim i Krasin-skim zapomniano. Natomiast rosto wówczas zainteresowanie dla polskiej powieści, którą zajmowali się szczególnie nowi tłumacze Kraszewskiego, Korzeniewskiego a zwłaszcza Sienkiewicza, który na przełomie XIX i XX wieku stał się najpopularniejszym „pisarzem słoweńskim”. Ale o przekładach powieści polskich na słoweński wypadłoby napisać osobny artykuł.

Nowe zainteresowanie poezją i poetami polskimi rozbudziła setna rocznica urodzin Adama Mickiewicza w roku 1899. Słoweńskie czasopisma literackie, takie, jak: „Lublański dzwon” i „Dom i świat” przyniosły pierwsze artykuły na ten temat, a Cankar napisał odę na cześć wieszczki polskiego. W ten sposób słoweńscy moderniści z końca XIX wieku zblżyli się do polskiej poezji, którą wówczas — obok ukraińskiej — żywo propagował dr. Krek, organizator i późniejszy wódz narodu słoweńskiego, wielki znawca „Pana Tadeusza”.

Młody poeta Murm zaczął wtedy tłumaczyć Mickiewicza (w 50 lat po ostatnim tłumaczeniu na słoweński!) a mianowicie przełożył on „Odę do młodości” i „Regenata”. Murm zmarł młodo, bo w 22 roku życia. Tom jego poezji z przekładami polskimi wydał dopiero po jego śmierci jeden z jego przyjaciół Iwan Prijatelj, najwybitniejszy neoromantyczny krytyk literacki, późniejszy profesor literatur słowiańskich na uniwersytecie w Lublanie. Był on dobrym znawcą realizmu polskiego, tłumaczył wiersze Konopnickiej ze zbioru „Italia” i Młodej Polski. Działalność w tym kierunku rozwinął jednak dopiero w czasie pierwszej wojny światowej.

Okres słoweńskich modernistów był jednocześnie okresem dekadencji i neoromantyzmu. Kilka przekładów wierszy poetów Młodej Polski — Słoweńcy poznali w tłumaczeniu prozą a mianowicie w ten sposób, że były one cytowane w dyskusjach przeciwko dekadentom, prowadzonych przez krytyków katolickich (Lanipe, Grivec), jako dowód rozkładu moralnego w literaturze (zdaje się, że chodziło tutaj o utwory Żuławskiego i Micińskiego). W każdym razie na początku XX wieku aż do pierwszej wojny światowej istniało duże zainteresowanie polską poezją romantyczną wśród Słoweńców. Wtedy powstało znowu kilka poetyckich przekładów, dokonanych przez słoweńskiego parnasistę Wojysława Molego, późniejszego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i członka Akademii Umiejętności w Krakowie. Jako student krakowski tłumaczył on dwa sonety krymskie (Góra Kikinejs, Czysta morska — 1906 — 1907) i napisał „Zarys rozwoju literatury polskiej” w jednym z czasopism studenckich. Później tłumaczył poemat „W Szwejarii” Słowackiego („Lublański dzwon”), ale opuścił kilka strof. Ten przekład z polskiej poezji romantycznej był niewątpliwie najcenniejszym tłumaczeniem, mającym także duże wartości poetyckie. Szkoda, że nie ukazał się w wydaniu książkowym, jak chorwacki przekład Beneszica tej samej perty polskiego romantyzmu.

Mole tłumaczył także epilog „Irydiona” Krasin-skiego i napisał razem z kolegą, Tadaszem Grabowskim, wiele artykułów o Krasin-skim, Mickiewiczu i t.d. z okazji różnych jubileusów i rocznic. Porównyując „Pana Tadeusza” Mickiewicza z innymi epepejami słoweńskimi napisał na ten temat również artykuł Iwan Lach. On też poświęcił się później badaniu literatury czeskiej. Iwan Prijatelj zaś pisał recenzje nowych książek, ukazujących się w Polsce, informując czytelników słoweńskich o polskich nowościach poetyckich. Inny student Uniwersytetu Krakowskiego zaczął pisać artykuły kulturalno-polityczne i studia o polskich „krakowiakach”, których kilka przetłumaczył poeta Peterlin Petruszka, do których dołączyły się także pieśni litewskie. Wiele tych przekładów ukazało się w periodykach „Macierzy słoweńskiej”, której prezesem był wybitny polonista prof. Ilesicz, historyk literatury, wielki sławista i następca Wraza w zakresie propagandy iliryzmu. On to ogłosił drukiem wiele rozpraw naukowych o stosunkach słoweńsko-polskich a zwłaszcza o pracy Emila Korytko.

W tych latach ukazały się także pierwsze wydania książkowe poetyckiego przekładu „Graczy” Mickiewicza dokonane przez A. Tarnowca w roku 1909. Jak dowiedzieliśmy się dopiero teraz, po ukazaniu się nowej Antologii poezji mickiewiczowskiej w r. 1943, on też przełożył całego „Pana Tadeusza”, ale przekład ten zaginął podczas pierwszej wojny światowej, gdy tłumacz znajdował się na uchodźstwie w Gorycji. W spuście po nim pozostał tylko przekład „Konrada Wallenroda”, który tłumaczył wówczas także Peterlin Petruszka. Ten drugi przekład, znaleziony wśród rękopisów, jakie pozostały po nim, nie został jeszcze wydany drukiem, zdaje się jednak, że nie stoi on na wysokości współczesnych wymagań literackich, jakkolwiek jest zapewne lepszy od przekładu Tarnowca.

Założone w tym czasie Towarzystwo Przyjaciół Polski (Ilesicz, Mole, Debevec i t.d.) przystąpiło do nauczania języka polskiego w gimnazjum w Lublanie (Debevec). Podczas nauki czytano „Pana Tadeusza”. Może dlatego w coraz szerszych kołach słoweńskich docenia się teraz znaczenie „Pana Tadeusza”, jakkolwiek utwór ten nie został jeszcze w całości przetłumaczony na język słoweński.

Tak jak przed wojną światową ośrodkiem stosunków słoweńsko-polskich było otoczenie Wojysława Mole, najwybitniejszego tłumacza romantyków polskich, tak po wojnie światowej ośrodkiem wszystkich wzajemnych stosunków słowiańskich stał się prof. dr Prijatelj, uczyony i poeta, tłumacz „Eugeniusza Oniegina” Puszkina. Na Wszechnicy Lublańskiej wykladał on historię nowoczesnych literatur słowiańskich w epoce realizmu i neoromantyzmu. Nie zajmował się natomiast okresem romantycznym, lecz tylko literaturą z okresu realizmu, przy czym lubił szczególnie Konopnicką, a wykłady swe przeplatał próbkami jej utworów, przetłumaczonych na słoweński. Wykładów tych nie drukował, a z przekładów jego ukazał się w druku bodaj tylko jeden sonet. Natomiast drukował

on swe świetne odczyty o Młodej Polsce w r. 1922, w których po raz pierwszy przedstawił Słowencom Kasprowicza, Staffa, Żuławskiego, Mic'ńskiego i tp. Tymi odczytami ogłoszonymi w czasopiśmie „Lublański dzwon” rozbudził duże zainteresowanie nowoczesną literaturą polską, której studiowanie zalecał swym uczniom w Krakowie. Spośród tych jego uczniów — studentów, stypendystów „Studium Słowiańskiego” w Krakowie, znajdującego się pod kierownictwem prof. U. J. K. Nitscha i W. Molego, powstały nowe kadry młodych polonistów słoweńskich, którzy w ostatnim czasie pisali artykuły literacko-historyczne, krytyczne, i informacyjne w czasopiśmie i dziennikach słoweńskich, tłumaczyli powieści polskie, a także dzieła poetyckie klasyków polskich (A. Słodnjak, F. Wodnik, T. Debeljak, S. Bunk i td.).

Z okazji 400. rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego Słodnjak napisał studium dla czasopisma „Lublański dzwon” w r. 1939 a z okazji klęski jaka wówczas spotkała Polskę, ogłosił artykuł kulturalno-społeczny, w którym dokonał obrachunku z przeszłością polską (Obzoria), nie dotyczyło to jednak poezji. Wodnik przełożył tylko jeden wiersz Wierzyńskiego „Pani na start” i to tylko w wolnym przekładzie bez rymów. Więcej natomiast tłumaczył prozą. Poza tym napisał rozprawę o Mickiewiczu, z powodu słowa wstępnego Boya Żeleńskiego, w wydaniu sejmowym (Kridla) dzieł Mickiewicza. W setną rocznicę powstania „Pana Tadeusza” wygłosił on w stowarzyszeniu przyjaciół Polski odczyt o Mickiewiczu, którego jednak nie drukował. Pisał on też wiele drobnych artykułków kulturalno-informacyjnych o książkach polskich do dziennika „Słowenec” Bunc zaś wydał przy tej okazji specjalny zeszyt czasopisma „Dom i świat” w roku 1934 z artykułami o „Panu Tadeuszu” Mickiewicza zawierający bibliografię wiadomości o Mickiewiczu w Słowenii i td. Jest to dla Słowenców bardzo cenna publikacja mickiewiczowska.

Ze starszych działaczy w zakresie współpracy słoweńsko-polskiej dość dużo pisał konsul honorowy w Lublanie prof. dr Stele, który na uroczystościach Mickiewiczowskich odczytał „Koncert Jankiela” tłumaczony prozą i wydrukował następnie w czasopiśmie „Dom i świat” artykuł o duchu kultury polskiej, w którym mówił o polskiej poezji romantycznej a także i o poezji nowożytnej. Dr Rudolf Mole, brat Woisława, prezes Ligi Jugosłowiańsko-Polskiej w Lublanie, ogłosił piękny artykuł o „Weselu” Wyspiańskiego w czasopiśmie „Słowiański Świat”.

Poza tym w dziennikach o nowościach polskich w zakresie literatury i o różnych rocznicach informowali obszernej pisarce tacy jak B. Borko („Jutro”), Sedivy, Bucar i td. Tradycje zapoczątkowane przez prof. Prijatelja, jako historyka literatury i zarazem tłumacza arcydzieł literatury słowiańskich, usiłuje kontynuować T. Debeljak. Po przetłumaczeniu szeregu utworów poetów czeskich przystąpił on do przekładania poetów polskich, zaczynając od Kochanowskiego. Po zjeździe w Krakowie napisał on z okazji obchodu 400-lecia artykuł

w czasopiśmie „Mladika” dodając w tłumaczeniu kilka „Trenów” i innych wierszy (między innymi „Boże coś Polskę”).

Z okazji 100 rocznicy „Pana Tadeusza” przetłumaczył całą i księgę wierszem i drukował fragmenty w „Domu i świecie” (1934). Z okazji 10-lecia zgonu Kasprowicza ogłosił drukiem odczyt o tym poecie, wygłoszony na uroczystej akademii Ligi i tłumaczenie hymnu „Dies irae” — fragmenty. W „Słowniku” ukazały się różne wiersze Mickiewicza (Hymn na zwinstowanie NMP), Staffa (Polska). Tak się przedstawia poezja, nie proza, polska w przekładach i artykułach literacko-krytycznych i informacyjnych do r. 1939 w literaturze słoweńskiej.

Gdy w r. 1939 Polska padła, jako pierwsza ofiara nowej wojny światowej, zaraz Debeljak, Mole R. i Stele, tj. sekretarz, prezes Ligi Jugosłowiańsko-Polskiej i konsul honorowy wydali broszurę zatyt. „Polska”, w której obok przeglądu historycznego umieszczono ustęp początkowy „Pana Tadeusza” — „Litwo, ojczyzno moja!” i artykuł Selego o duchowej kulturze polskiej, zawierający również zarys rozwoju poezji polskiej.

Potem wyszło wiele przekładów powieści polskich, których wyliczenie tutaj pomijamy, ponieważ chodzi nam teraz tylko o poezję polską. Utwory poetyckie przekładał wówczas tylko Debeljak, będąc redaktorem periodyku literackiego „Dom i świat”, jednego z najdawniejszych czasopism słoweńskich (56 roczników). Poemat Słowackiego pt. „Ojciec zadżumionych” przełożył on już w r. 1938 i zaopatrzył słowem wstępnym oraz drukował we wspomnianym czasopiśmie „Dom i świat”, a w następnym roku wydał w książce. Piękną okładkę zaprojektowała siostra jego żony, artystka. Bara Remczówna. Wydawnictwo to było kierowane przez jego żonę — Werę Remczównę z domu. Książkowe wydanie zaopatrzył on następującą dedykacją: „Niech wydawnictwo to upamiętni wspomnienia o domu nad Wisłą, w który wstąpiła teraz czarna śmierć... Znów mąż polski idzie w świat: za nim leżą groby rodzinne, przed nim droga, a nad nim Bóg... Niech ten przykład będzie pomnikiem wielkiej poezji polskiej i wielkich cierpień narodu polskiego”. „Ojciec zadżumionych” w tym wydaniu jest drugą po Ternowcu wydaną po słoweńsku książką poświęconą poezji polskiej, a pierwszą obejmującą wyłącznie poezję polską.

Ten sam krytyk, który odrzucił całkowicie przekład Ternowca — dr Glonar — uznał przekład i wydanie Debeljaka za udane.

Podczas bohaterkiej obrony Warszawy przez Starzyńskiego Debeljak przełożył „Redutę Ordona” Mickiewicza (Dom i świat, 1939) i z pism emigracyjnych kilka najnowszych wierszy K. Wierzyńskiego (Via Appia, Ziemia, Seine) i Hłakowiczówny (Boże Narodzenie). Gdy dowiedział się o śmierci K. Przerwy Tetmajera w Warszawie, przełożył jego pieśń religijną „Na anioł pański” i wiersz poświęcony synowi. W ogłoszonym artykule zaś przedstawił Wierzyńskiego i Tetmajera czytelnikowi słoweńskiemu i przedstawił mu zagadnienia związane z polską poezją emigracyjną. Gdy zaś Polacy

stali się „jeńcami rosyjskiego Chana” Debeljak przypomniał sobie, że ma w tece redakcyjnej słaby przykład poematu „Bykczyserajska fontanna” Puszkina, którego dokonał 90-letni wybitny polityk Iwan Hribar, były ambasador i zastępca króla, a wówczas prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Rosji Sowieckiej. Debeljak zaczął przerabiać ten poemat o cierpieniach polskiej branki „krymskiego chana”. Nim jednak zdołał wydać ten poemat przyszła katastrofa kwietniowa 1941 r. i 90-letni Hribar popełnił samobójstwo: utopił się w Lubiance.



Rys. Bara Remec

*Ilustracja do słoweńskiego przekładu  
„Ojca zadżumionych”*

Słoweńcy przeszli następnie pod zabór niemiecki i włoski. Niemcy mieli w stosunku do Słoweńców ten sam plan zagłady, co i wobec Polaków. Włosi zaś znieśli kulturalną autonomię w prowincji lublańskiej statutem z 3. maja. Słoweńcy dążyli bowiem do stworzenia z lublańskiej prowincji nowej Galicji, nowego Piemontu dla innej części narodu słoweńskiego, pozostającej pod zaborem niemieckim. Dlatego też Debeljak tłumaczył polskich poetów, aby przy pomocy świetnej polskiej poezji emigracyjnej wyrazić to, czego współcześni poeci słoweńscy ze względu na cenzurę nie mogli pisać.

Tak więc wydał naprzód przerobiony przekład romantycznej przygody polskiej księżniczki Potockiej w haremie krymskiego chana (Puszkina) i dodał do tego dwa sonety krymskie Adama Mickiewicza (Bakczysaraj, Grób Potockiej). We wstępie opisał podróż krymską Puszkina i Mickiewicza, a także ich przyjaźń i spór.

Na święto Zmartwychwstania 1943 r. wydał w tej samej oryginalnej i ozdobnej postaci antologię utworów Mickiewicza z okładką Bary Remczówny pod tytułem „Bukiet wierszy Mickiewicza”. Włączył do niego kilka wierszy, których jako poeta słoweński nie mógłby wtedy napisać, jak np. „Ode do młodości”, „Do matki Polki”, „Renegat”, „Reduta Ordona”... To były wiersze buntownicze, hymn matki słoweńskiej, która cierpi tak samo, jak matka polska. Były to wiersze przeciwko despotyzmowi, dyktaturze rosyjskiej i każdej dyktaturze w ogóle. W tym tkwi współczesne znaczenie tego przekładu. Zawiera on m. in. tłumaczenie „Farysa” i fragmentów „Pana Tadeusza” (I ks. i cała III ks. — „Umizgi”). W słowie wstępnym nakreślił on portret Mickiewicza i dzieje mickiewiczowskich tradycji wśród Słoweńców.

Na święto Zmartwychwstania 1944 r. wydał on w tak samo ozdobnej postaci, z oryginalnymi litografiami, antologię wierszy Kasprowicza: „Hymn” i „Malowanki na szkle”, a także „Dies irae” i „Moja pieśń wieczorna”, trzy dalsze pieśni z „Mojego świata” i td. Podkreślono też we wstępie, jak człowiek z początku materialista, a później dekadent i bluźnierca przeciwko Bogu, staje się piewaczką chłopskiej, tradycyjnej religii... Kasprowicz tworzył tak właśnie wówczas, gdy słoweńscy poeci kokietowali zmateralizowany komunizm.

Ostatnio w r. 1945 wydane zostało studium i przekład fragmentu „Nieboskiej Komedii” Krasieńskiego (III akt i koniec IV aktu).

Wstęp zawiera portret autora i wyjaśnia problematykę „Nieboskiej” oraz jej znaczenie w odniesieniu do dnia dzisiejszego. Książkowe wydanie całej „Nieboskiej” z okładką Remczówny było już przygotowane, ale nie mogło się ukazać. W druku był także przekład „Lauru Olimpijskiego” Wierzyńskiego, który miał być wydany z drzeworytami Bary Remczówny i słowem wstępnym o największym emigracyjnym poecie polskim. Przekład pozostał w rękopisie. Tak samo pozostało w rękopisie parę tysięcy wierszy przetłumaczonych z „Pana Tadeusza” Mickiewicza, z „Marii” Malczewskiego i „Modlitewnika dla Pani Bobrowej” Krasieńskiego.

O innych tłumaczeniach z poezji polskiej w tych latach nie ma śladu. Jedyne wspomnieć należy o młodym 22-letnim poecie F. Balanticz, który padł ofiarą terroru komunistycznego. Został on spalony żywcem w bunkrze podczas walk bratobójczych. Rozpoczął on tłumaczenie jednego z utworów Rygiera i pozostawił niewykończone fragmenty. W pośmiertnym wydaniu jego twórczości, opracowanym przez Debeljaka, wydrukowano i te fragmenty, dokonane przez świetnie zapowiadającego się poetę, którego śmierć stanowi jedną z największych strat, jaką poniósł Parnas słoweński w ostatnich czasach.



Jak widać z tego przeglądu tłumaczeń z poezji polskiej na poetycki język słoweński, dorobek stu lat nie jest wielki. Możemy stwierdzić, że prócz przekładów Wojysława Molego, które także wymagają uzupełnienia, bo są fragmentaryczne, prawie nic trwałego nie dokonano do ostatnich lat. Preszern tłumaczył na niemiecki, próby Wraza nie zachowały się, Zakelj-Lidinski więcej sam się zachwycał, niż przekładał, przekłady Waljawca są przestarzałe, tak samo jak i Murna, który nie umiał dobrze po polsku, popełniając nawet błędy treściowe, przekłady Ternowca były już przy urodzeniu płodem martwym. Tylko tłumaczenie poematu Słowackiego „W Szwajcarii” dokonane przez Molego, jakkolwiek jest tylko fragmentem, ma jeszcze swą wartość po dzień dzisiejszy.

Nie będę szczegółowiej omawiał dzieła Debeljaka, bo na to wręcz nie ma tu już miejsca. Ograniczę się do stwierdzenia, że zaczął on sy-

stematycznie tłumaczyć arcydzieła poezji polskiej tak, jak przedtem tłumaczył poezję czeską (Macha), włoską (Danteo „Piekło”), węgierską (Madacha) i rosyjską (Puskina). Pierwszą książkę wydał w formie bibliofilskiej w „rodzinnej spółce wydawniczej” razem z żoną księgarcią i siostrą artystką-malarką. Stworzył sobie odrębne wydawnictwo własnych przekładów na wzór Boya-Zeleńskiego. Tradycje przekładów z poezji polskiej pchnął na nowe tory. To też sprawa ta ruszyła z miejsca. I nastąpił ciekawy fakt, że gdy poeta słoweński nie mógł mówić tak, jakby tego chciał, mówili jego imieniem poeci polscy w przekładach, wielcy polscy emigranci sprzed stu laty i ci dzisiejsi, i „pokrzepili słoweńskie serca i dusze”. Wieszcie polscy stali się także wieszczami słoweńskimi.

Dr M. K.

## B i a d a !

Pląg ma być siedem i siedem czasz...  
Próżne szat darcie — łamanie rąk...  
Obłok, co światu zmroczył twarz,  
to ów „dym męki”, tchnący z ksiąg  
Apokalipsy...

Wyspy zniknęły! Cofnął się ład!  
Oblicze ziemi spłynęło krwią,  
jak ów księżyc straszny krąg,  
co go prorocze zjawy śnią  
Apokalipsy...

Już piolun struł mi trzecią część krwi,  
już wszystką radość wydusił mór,  
a to — co sercem w piersi tkwi,  
to ów włosiany, czarny wór  
z Apokalipsy...

Na czarny cyprys zwęglił się duch,  
a ten nad ciałem krążący strzęp,  
to ów — co zwietrzył trupi cuch —  
na wielki żer zwołany sęp  
z Apokalipsy...

Wciskam się w skały i pcham do jam,  
by gniew mnie Boży nie dojrzał snac!  
Cóż — gdy myśl moja jest i tam  
jak ta deptana, krwawa kadź  
z Apokalipsy...

...Czasz ma być siedem i siedem plag...  
Próżno ci strachem twardnieje sierść...  
Wydzierżysz! Musisz! Bo i tak  
uciekła dziś od ziemi śmierć  
jak tamta... z Apokalipsy...

Beata Obertyńska

# „Jewropa Agienorowna“

W życiu każdej kobiety zdarzeniem największym i najważniejszym jest pierwsza miłość. Ta miłość — jedyna i niepowtarzalna — wyciska piętno na całym życiu, decyduje o dalszym losie, kształtuje lub zniekształca charakter, podnosi na wyżyny lub spycha w dół, a nawet wtedy, gdy jest pozbawiona barw i promieni, utrwała się w pamięci, jako przeżycie największe, najistotniejsze...

Kobieta pod tym względem stanowczo różni się od mężczyzny, który ma łańcuch „pierwszych” miłości. Zna mężczyznę pierwszą miłością sztabacką, pierwszą młodzieńczą, pierwszą szaloną, pierwszą „prawdziwą”, pierwszą „naprawdę pierwszą”, a gdy dożyje szczęśliwego wieku kwitnącej sklerozy, która wzbudza powszechny szacunek („czcigodny pan prezes”), dowiadyuje się nagle o istnieniu miłości „najprawdziwszej”, która jedynie i wyłącznie zasługuje na miano pierwszej.

Mężczyzna bezkarnie oznacza każde swe przeżycie miłosne mianem pierwszej miłości i może, narażając się tylko na śmieszność, popelniać auto-plagiaty, odwarżając niezliczoną ilość razy swoją pierwszą miłość, — ale biada kobiecie, która po latach zechce przeżyć na nowo swe minione wzruszenie i zapęły, kopiując dawne wzory. Czeka ją nie tylko śmieszność, ale klęska...

Te erotyczno-psychologiczne uwagi mają aktualne znaczenie polityczne, jeżeli się uwzględni to, że Europa jest kobietą.

Europa miała pierwszą miłość, — piękną, burzliwą, szaloną, niezwykłą... Było to dawno, dawno... Ludzie tylko w legendach przechowywali wspomnienia czasów młodości Europy. Piękna, uroczą i promienną, jak bóstwo, królowa Europa, córka Agenora, króla Fenicji, lubiła wówczas spacerować nad brzegiem morza gdzieś w okolicach dzisiejszego Bejrutu. Nie znano wówczas kostiumów kąpielowych a i przed kim miałyby ukrywać swe oszalamiające wdzięki samotnie spacerująca królowa? Słońce, morze i złoty piasek nadbrzeżny były jedyne świadkami jej niezwyklej urody, — przez dłuższy czas przynajmniej. Potem w godzinach spacerów pięknej Europy zaczął się ukazywać... byk, — wspaniałe, potężne, olbrzymie, jak skała, zwinne jak wąż, przepiękne zwierzę...

Królowna Europa łaskawym okiem spoglądała na byka, — byk miotał promieniami ze swych ognistych ślepi. Nie było słów, no bo jakaż mogłaby być rozmowa pomiędzy młodą królową a choćby najpiękniejszym bykiem? Była jednak wyraźna wzajemna sympatia. Czyż można się dziwić, że pewnego dnia tajemniczy byk wężowym skokiem jakby z nieba spadł do stóp królowej, ukląkł przed nią, łgającym karkiem łagodnie uderzył ją pod kolana, aż padła mu na grzbiet, a wówczas zerwał się nagle, wyprostował się i skoczył... do morza! Raciami spieniał fale morskie, aż powstał tęczyowy obłok, który wznosił się do góry, wydłużał się, skrępał, tworząc zaczarowaną drogę... Byk

leciał naprzód w strasliwym pędzie — przez morza, przez wyspy... Jak gnane wichurą, uciekały wstecz czarne skały i zielone doliny, białe piany burzliwych fal i ciche lazury spokojnych wód...

Europa, kurczowo trzymając się rogów byka, drżała ze strachu i zachwytu... Jak długo trwała ta szalona podróż — żadne kroniki o tym nie mówią, — to tylko jest wiadome, że pokryty białą pianą ze zmęczenia wspaniały byk wreszcie się zatrzymał na nikomu nieznaną ziemi, która potem zyskała imię królowej Europy. A wówczas... byk przybrał postać ludzką, a raczej boską, bo był to potężny król bogów, władca Olimpu, gromowładny Jowisz!..

Jakże słodkie były czasy miłości Europy i Jowisza, — jak owocna ta miłość!..

Było to dawno, bardzo dawno... Runął i w gruzy się rozpadł Olimp, zginęli bogowie, w nieznaną krainę odleciał Jowisz i pamięć o nim rozplynęła się, — zatarła z wiekami... Europa prędko zapomniała swego boskiego kochanka i małżonka. Życie ma swoje prawa a Europa przeżyła Jowisza. Cóż więc dziwnego, że los Europy zaczął się układać inaczej, niż się zapowiadało. Miała Europa okres męczeństwa i ascezy, wielkich ofiar i wzniosłego zapалу, gdy, kryjąc się w katakumbach, lub stając na arenie cyrkowej wobec dzikich bestyj, głosiła chwałę i potęgę Boga prawdziwego. Miała okres walk uporczywych w imię Chrystusa, walk obronnych i walk ofensywnych, namiętnych, graniczących z ekstazą (kobiety w uczuciach nie znają miary...) Ze świętym Franciszkiem śpiewała Europa słodkie hymny ku czci Pana, ze św. Dominikiem tworzyła kadry najwierniejszych „psów Bożych”, z kapitanem artylerii św. Ignacym z Loyoli zwoływała do bojowych szeregów zakonników - żołnierzy wojującego Towarzystwa Jezusowego, z Lutrem i Kalwinem burzyła to, co sama z takim zapalem budowała (znana jest niestałość kobiet!)... Z genialnymi mistykami modliła się nadludzko wspaniałymi dziełami sztuki, — z zuchwałymi artystami chciała wydrzeć Bogu tajemnicę tworzenia i prześledzić Go, wydobywając z marmuru i glazów, z drzewa i płótna zakłote w nich cuda piękna... Z uczonymi dobiegała tajemnic nieba i ziemi, z poetami otwierała serca ludzkie i ujawniała najskrytsze ich drgnienia... Wkładała na siebie Europa pokutniczy habit zakonny, szary, ciężki, ponury, — ubierała się też w szaty złote, kamieniami drogimi ozdobione, — dumne, pyszne, zawiśe i nienawiśe budzące, — albo też zrzucała ze siebie wszystko i bezwstydnie naga szalała, pijana pogańską radością życia... Zamykała się Europa w celach uczonych, w laboratoriach alchemików i cierpliwie, z mozolem badała wszystkie przejawy życia na ziemi; świdrowała wnikliwą myślą wnętrze ziemi i wlatywała uskrzydloną myślą ponad gwiazdy, aż ręka Polaka zatrzymała słońce i ziemi nadała bieg, pełen treści głębokiej... A potem wycho-

dziła z mrocznych gabinetów i laboratoriów uczonych, rozprostowywała swoje prężne ciało i żądała rumaka ognistego, i wkładala na siebie zbroję rycerską, i wzywała do walki, i wznosząc wysoko wielobarwny sztandar — prowadziła za stępy do boju...

Zaznała Europa szczęścia wlotów najwyższych i poznała gorycz i nędzę upadku, — tworzyła Europa rzeczy, na miano nieśmiertelnych zasługujące, i miała okresy jałowości i bezsily duchowej, — zmieniała się z biegiem czasu, ale zawsze zachowywała w sobie dwie zasadnicze cechy dawnej córki króla Agenora: królewskość i żądę zdobywania nowych światów. Nawet w upadku, nawet w poniżeniu miała w sobie poczucie królewskiej wyższości: jej ziemie, jej ludzie, jej myśli i uczucia przodowały na świecie. Nie dziwiła się więc wcale, gdy słyszała, jak imię jej wymawiano z szacunkiem i podziwem: Euro-o-o-pa...

A szalona, cudowna podróż na grzbiecie byka, którego postać przybrał pomysłowy Jowisz, pozostawiła w Europie ślad w postaci ciągłej tęsknoty za ruchem i poznawaniem nowych ziem i krajów. Europa ruch uznała za podstawę życia, — odkrywanie i zdobywanie nowych światów materialnych i duchowych — za główny cel.

Od czasów, kiedy królowna Europa spotkała się nad brzegiem Śródziemnego morza z tajemniczym bykiem, upłynęło wiele wieków. Małżonka boga mierzy czas inaczej, niż ludzie, ale pomimo to sama chyba przyzna, że okres jej młodości minął bezpowrotnie. Jest stara, stara, nawet bardzo stara. W tym nie ma nic złego, ani dziwnego. Gorzej jest to, że właśnie w okresie starości dała się Europa opanować niebezpiecznej dla kobiety tęsknocie za pierwszą miłością. Zapragnęła ona powtórzyć swe dawne przeżycia, — zaczęła szukać, tak: zapominając o godności kobiecej, szukać przygody!...

Byk, w którym się ukrył zdobywca wróg! Niechby się zjawiał on znów, niechby zarzucił Europę na swój grzbiet i porwał, i poniósł w nieznanne krainy, i kochał znów tak gorąco, jak wtedy!..

I oto nagle zjawiał się ktoś, kto samym imieniem swoim budził dalekie wspomnienia i nowe nadzieje: niemal „Apollon”, korsykanin Napoleon przypomniiał Europie czasy Jowisza, Apollona i Marsa, więc bez pamięci rzuciła się w jego objęcia, czekając na cud odrodzenia pierwszej miłości. Owszem, przeżyła chwile oszaleńczego szaleństwa, szła skoków w dalekie kraje; ale nie jowiszowe były to skoki, — nie jowiszowa przygoda! Koniec był żaloszny, upadek bolesny... Gdy później Europa oprzytomniała, przekonała się, że w jej królewskiej koronie brakuje wielu najcenniejszych kamieni, które zostały zgubione w zawierusze przygody...

Ale kobiety nie umieją wyciągać logicznych wniosków z doświadczeń, Europa jeszcze mocniej zaczęła tęsknić za bogiem — bykiem, za panem życia i śmierci, za piorunowładnym Jowiszem, dyktatorem, tyranem, władcą nad władcy. I oto ukazał się taki dyktator, który Jowiszem się ogłosił — a głos miał donośny... Europa, omdlewając z zachwyty, jęknęła: Duce...

A on za włosy ją pociągnął do Etiopii nie na miłosne igraszki, lecz żeby starej Europie kopniaka tam dać i zniewazyć dotkliwie... Sponiewierana, zbita, ledwie podniosła się Europa, aż tu (czy oczy nie mylą?) — byk wspaniały, byk brunatny! Nie dociekała stara Europa, czy ten byk ma w sobie coś z boga, czy jest bydlęciami tylko, — oddała mu się bez zastrzeżeń, zawirowała w krwawym szaleństwie, zbrukała się w krwi i jusze, w błocie i kale... A gdy bydlę brunatne połamało sobie nogi w skokach z ładu na ład, z wyspy na wyspę, przez morza i oceany, nic lepszego nie znalazła sponiewierana, splugawiona Europa, jak resztkami sił wygramolić się na grzbiet byka czerwonego i, już nie mając złudzeń, że w śmierdzącej skórze byka może kryć się Jowisz, — puścić się z nim w skoki i podskoki nad przepaściami bez dna...

## II.

Gdy cała Europa zalała się krwią i zbrukała się w błocie, gdy ziemia przeobraziła się w jedną olbrzymią ropiejącą ranę, gdy już nie można było znaleźć najmniejszego kącika, w którym byłoby zacisznie i spokojnie, biegli w prawie ministrowie orzekli zgodnie, że nastąpił p o k ó j. Może jeszcze niezupełnie nastąpił, ale już się rozpoczął, już zaczął ząbkować i zapowiada się wspaniale, bo hędzie to pokój trwały, jak trwałe są „agry” sowieckie, demokratyczny, jak NKWD, sprawiedliwy, jak sądy bolszewickie, szczerzy i pewny, jak konstytucja stalinowska!..

Ucieszyli się chrześcijanie niezmiernie, do świętyń czym prędzej pośpieszyli, aby Chrystusowi najśłodsze radosną nowinę zanieść, iż dokonali oni dzieła niezwykłego, któremu równego i podobnego nie znają dzieje ludzkości, — że własną wolą narodów chrześcijańskich na spótkę z wojującymi bezbożnikami na śmierć duchową, na zagładę okrutną skazali sto milionów chrześcijan!.. Sto milionów mieszkańców „najbardziej demokratycznej strefy wpływów”!

Wodzowie w radości wielkiej wzajemnie orderami się obdarowują a ich urzędnicy zawile opracowują tablice, gdzie i jak i w jakiej kolejności należy zawieszać te ordery, aby nie było przykrej pomyłki!..

Mężowie w polityce biegli zbierają się na narady i coraz to nowe manifesty ogłaszają, z których jasno wynika, że mądrość ich nie ma granic, wspaniałomyślność wprost zdumiewająca i że z tej racji ludzkość musi uważać się za szczęśliwą!..

Dziennikarze wolni (od skrupułów) i niezależni (od zdrowego rozsądku) sążniste artykuły wypisują ku nowej chwale ery, która otwiera się przed Europą, a której symbolem może być mediolańska „giustizia democratica” z zawieszaniem pomordowanych do góry nogami, jako że to jest najważniejsza pozycja do łatwego zrozumienia sensu nowych czasów!..

Wybito medal pamiątkowy, — medal zwycięstwa, dostępny dla każdego, kto może wydać na jego kupno sto lirów. Na jednej stronie tego medalu — głowa Meduzy na... lancy, na tle chorągwi alianckich i napis u góry: Germania devicta—MCMXLV. Meduza ma na czole...

swastykę. Wszystko tu jest niejasne. Dlaczego właśnie Meduza ma symbolizować Niemcy? Przecież Meduza zabijała, a raczej obezwładniała swym wzrokiem każdego, kto się do niej zbliżył i spojżał na nią. Hitleryzm odpychał, a nie usztywniał, — natomiast jest inny kierunek „ideologiczny”, niby wrogi hitleryzmowi, a tak bliźniaczo podobny w metodach, którymi z ludzi robi sztywną kukły, pozbawione woli i niezależnej myśli... Skąd się wzięła lanca, skoro Perseusz ścinał głowę Meduzy mieczem?.. Ale napis jest sztywny, — Niemcy rzeczywiście są zwyciężone...

Na drugiej stronie — duże „V”, pomnik wolności w Ameryce, lecące samoloty i oliwna gałązka. Napis trzykrotny: Victoria — Victoria — Victoria.

Co znaczą te symbole? Specjalne druki w czterech językach — angielskim, francuskim, hiszpańskim i włoskim — wyjaśniają to dokładnie:

— „V” już nie jest tylko pragnieniem, — jest rzeczywistością. Światło wolności opromienia narody. Pokój słodki i owocny symbolizowany przez gałązkę oliwną, wrócił do świata.

Zwycięstwo — wolność — pokój... Piękne słowa. Ale zwycięstwo, którego wynikiem jest straszliwa klęska narodu, który zapoczątkował walkę ze złem i był najwinniejszym i najofiarniejszym sprzymierzeńcem obecnych zwycięzców, — wygląda bardzo dziwnie... Wolność, której wyrazem jest upokarzająca niewola wszystkich słabszych narodów, — jest bardzo dziwną wolnością... Pokój, który został uczyniony przez jednego ze zwycięzców powszechną mobilizacją, przeprowadzaną nie tylko na swoim terenie, ale i wśród „wyzwolonych” narodów, ujarzmionych przez tego „oswobodziciela”, — jest bardzo dziwnym pokojem...

Działania wojenne już się skończyły, a skoro nie ma wojny, jest jednak pokój, pół-pokój, ćwierć-pokój, czy jakiś stan, podobny do pokoju. A gdy wojna — krwawa, okrutna, długotrwała — musiała pociągnąć za sobą wielkie zmiany i przeobrażenia polityczne i społeczne. Tak zawsze było, — inaczej, zdawałoby się, być nie może, bo wojna narodów to nie bójka dwóch pijanych opryszków, którzy sami nie wiedzą poco i o co się tłuką, — to starcie dwóch przeciwnych sił, to ostry konflikt sprzecznych interesów materialnych, to przede wszystkim walka dwóch krańcowo odmiennych światopoglądów. Dotychczas nawet do wojen imperialistycznych, zaborczych, gwałcicielskich dorabiano piękną ideologię, po zakończeniu zaś wojny zdobywano się choćby na teatralne gesty, których zadaniem było podkreślenie, iż program ideologiczny, zapowiedziany w okresie walk, zaczyna być realizowany.

Dziś... Mówiło się przed paru laty o konieczności przebudowania świata na zasadach etyki chrześcijańskiej. Dziś najcyniczniejszy polityk nie wykrztusi tych słów, bo są one kłamstwem zbyt jaskrawym. Mówiło się o realizacji zasad Karty Atlantyckiej, — dziś już nikt dokładnie nie wie, co tam było w tej Karcie, kto ją podpisał, o czym myślał, gdy podpisywał... Mówiło

się o Polsce, jako o natchnieniu narodów, — dziś cały wysiłek polityków świata jest skierowany na to, aby owo „natchnienie” tuhu w pierś nie miało, aby ducha wyzionęło czym prędzej i przestało być wyrzutem sumienia i oskarżeniem...

Przebrzmiało wiele wzniosłych słów, zwiędło wiele retorycznych kwiatów...

Zmieniły się nie do poznania niektóre pojęcia, aż ich określenia stały się sprzeczne z ich dawną istotą.

Demokracja — dziś już nie oznacza rządów ludu, — prawa szerokiego mas do stanowienia o swoim losie, — ale rządzenie ludami i narodami, które nie mają dostatecznej siły, aby mogły ujarzmić inne, słabsze narody.

Wolność — dziś oznacza zupełną bezkarność państw imperialistycznych, którym wolno jest „obdarzać” niewolą państwa słabsze.

Sprawiedliwość — to usprawiedliwienie wszystkiego, co dotychczas było określane mianem nieczemności i łajdacstwa, a więc — zdrady żołnierskiej, wykręcania się z zobowiązań, łamania uroczystości danego słowa, pilatowego umywania rąk, kpin z najświętszych zasad i td.

Braterstwo — dziś ma rodosłów nie od „brat”, lecz od „bat”. Dziś Słowianie są „zbzbaniani” pod wodzą Gruzina, z którego jest taki Słowianin, jak z Churchilla Zawisza Czarny.

A więc na tym polega ideologiczna zdobycz krwawej wojny? Gdyby chociaż na tym! Gdyby te potworności były naprawdę czymś nowym w stosunku do tego, co było przed wojną! Wówczas można by powiedzieć: — świat znikczemniał — i przynajmniej (mała z tego pociecha) znaleźć jakąś logikę w dokonywanych przeobrażeniach. Ale jest coś tragicznie — paradoksalnego i potwornego w swym nonsensie, bo to „nowe”, co ma rządzić światem, jest żywcem wzięte od wroga, z którym narody Europy w ciągu sześciu lat staczały krwawy, śmiertelny bój...

Staczając się w przepaść zdziczenia i zwierzęceni, naród niemiecki wysnuł dziką, haniebną teorię „narodu panów”, rasizmu, wodzostwa, — swój instykt zaborczy zamaskował i usprawiedliwił „lebensraumem”, a podbój Europy przygotowywał za pomocą zdradzieckiej, nikczemnej „5-jej kolumny”...

Dzisiaj na scenie Europy w dalszym ciągu jest grana ta sama ponura sztuka, — zmieniono tylko dekoracje i obsadę aktorską.

Odszedł ze sceny zgrany „Herrenvolk”, jego rolę wykonywa „Soviervolk”. Nie ma haniebnego Gestapo, — jest jego sobowtór — NKWD. Nieprzyzwoite określenia: „fuehrer” i „duce” zastąpiono słodko brzmiącym — „woźdź” („Woźdź narodów”, — największy geniusz wszystkich wieków i wszystkich narodów!) Rasizm nie dzieli już ludzi na aryjczyków i nieczystych, — dzisiejszy podział jest inny: na komunistów i faszystów. Dziś Żydom nie grozi już wymordowanie (bo są wymordowani), — ich rolę spełniają Polacy. „Lebensraum” dziś się nazywa „strefą wpływów”, a „piąta kolumna” — „komitetami wolnych” (ale dobrze pilnowanych przez NKWD) agentów, występu-

jących pod różnymi imionami, jako przedstawiciele różnych innych narodów...

I oto to, co u wroga uważane było za hańbę i zbrodnię, nagle zostało przez zwycięstwo przyjęte, jako szczyt szlachetności i mądrości. I to, co miało nieść zagładę wolności i kultury, dziś jest wyrazem wolności i kultury. Stało się tak, jak mogłoby być, gdyby król Jan Sobieski po stoczeniu krwawej bitwy pod Wiedniem, gdzie stał się Półksiężyc z Krzyżem, — ogłosił triumf wiary chrześcijańskiej i, aby upamiętnić wspaniałe zwycięstwo, kazał przerobić wszystkie kościoły na meczety!..

Należy przypuszczać, że między totalizmem brunatnym a czerwonym jest jakaś różnica na korzyść czerwonego, — tak znawcy potrafia określić, co jest „lepsze” — dżuma czy trąd, ale człowiek zdrowy, któremu gwałtem zastrzykują zarazę, będzie się bronił do upadłego, bo nie zrozumie nigdy, poco, naco, w imię czego ma on konać w mękach, zżerany straszną chorobą.

Narodom pewnej „strefy wpływów” dziś zastrzykują trąd, a gdy jęki katowanych są zbyt głośne, uspakajają twierdzeniem: — to przecież nie dżuma!.. Tak, ale to jest śmiertelna choroba!.. Więc poco mamy ginąć?...

Europo, Europo!.. Gdzież się podziało twe piękno i czar, które zniewoliły króla bogów olimpijskich? Gdzież twa królewska korona? Gdzie są twe myśli dumne, twoje dążenia szlachetne, twoje wloty podniebne? Miałaś w swej przeszłości okresy klęsk i upadku, ale nie znałaś jeszcze, co to znaczy — hańba!.. Burzyłaś nieraz to, co sama budowałaś, ale nigdy jeszcze nie wyrzekałaś się własnej godności!.. Zawsze

szłaś naprzód, choćby i na manowce wkraczając, ale nigdy jeszcze tak nie było, jak dziś, kiedy cofasz się wstecz nieprzytomna, — w mrok despotyzmu, barbarii, niewoli!..

Gdzie jesteś, Europo świętych — Augustyna, Tomasza, Dominika, Franciszka, Joanny d'Arc, królewicza Kazimierza?... Gdzie jesteś, Europo Kopernika, Newtona, Pasteura?... Gdzie jesteś, Europo Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela?... Gdzie jesteś, Europo Dantego, Petrarki, Byrona, Mickiewicza?..

Leżysz sponiewierana, zbezczeszczone u stóp spadkobiercy Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego, Katarzyny II, Rasputina... A on patrzy na ciebie z pogardą i mruży:

— Eeech ty, Jewropa Agienorowna, dura ty, dura nabitaja, — potaskucha staraja!..

### III

Nieprawda!.. To jeszcze nie koniec Europy, — to tylko koniec jej błędnej drogi, którą kroczyła przeszło sto lat.

We krwi i męce, na zgłiszczach i ruinach, wśród łez i jęków rodzi się nowa siła, która należy mierzyć nie ilością dywizyj, lecz ilością gorejących świętym zapalem szlachetnych serc. Przebrała się miara gwałtu i niesprawiedliwości, — ludzkość naprawdę szczerze i gorąco zapragnęła uczciwości i wolności!..

Ludzie wolni już się łączą!..

Uwaga: bliski, bardzo bliski jest czas, kiedy na widowni ukaza się zastępy wojowników, którzy rozpoczną wielki bój o zwycięstwo nie dla siebie tylko!..

Do szeregów, ofiarni, zuchwali, mocni umiłowaniami Dobra i bezgraniczną nienawiścią Zła!..

Walerian Charkiewicz

## RZECZ O JÓZEFIE VERDIM

# Mistrz z Roncole

Twórczość operowa jest niewątpliwie jednym z najbogatszych działów twórczości muzycznej, to też gdybyśmy chcieli przytoczyć nazwy wszystkich oper kiedykolwiek i gdziekolwiek napisanych, doszlibyśmy do liczb zgola fantastycznych. Wystarczy zaznaczyć, że np. biblioteka Kongresu USA w Waszyngtonie posiada zbiór 13 000 tekstów różnych oper i liczba ta bynajmniej nie wyczerpuje całej produkcji muzycznej w tej dziedzinie.

Z tej powodzi utworów operowych olbrzymia większość spoczywa dziś na półkach bibliotek i archiwów, a tylko niewiele, może piętnaście, może dwadzieścia, oparło się wszelkim wpływom czasu i tworzy „żelazny repertuar” teatrów muzycznych, zawsze chętnie słuchany i oklaskiwany.

Jeśli „żelazny” repertuar jest fundamentem repertuaru każdej sceny operowej, to fundamentem „żelaznego” repertuaru są niewątpliwie dzieła Józefa Verdiego.

O ile cały szereg muzyków zupełnie dobrych oper genialnych często twórców zasnuła dziś mgła niepamięci, o tyle opery Verdiego wciąż żyją, wciąż znajdują chętnych słuchaczy i mimo nowych czasów i prądów, nie wykazują najmniejszych oznak przeżywania się. Musi zatem istnieć jakiś czynnik, dzięki któremu są one wciąż atrakcyjne i pociągające ku sobie. Muszą posiadać one jakieś wartości, dzięki którym oparły się wszelkim wpływom miejsca i czasu i które to wartości pozostają niezmiennie, bez względu na panujące kierunki, upodobania, czy modę.

Owym czynnikiem nie może być absolutnie przystępność dla mało wymagającego słuchacza, czy chęć schlebienia gustom tłumów, bo wiele dzieł, pisanych pod takimi auspicjami, również uległo zastużonemu zapomnieniu.

Cóż więc jest tym eliksirem, który dziełom jednego z nielicznych szczęśliwców — Verdiego zapewnił wieczną młodość i po-



*Popiersie Verdi'ego dtuta Gemito (Galeria Sztuki Nowoczesnej w Rzymie).*

wab? Cóż jest magnesem, ściągającym widzów i słuchaczy od lat stu na jego opery zarówno w Rzymie, jak i w Nowym Jorku, zarówno w Kairze, jak i w Buenos Aires?

Niniejszy szkic stanowi skromną próbę sformułowania odpowiedzi na to pytanie.

\* \* \*

Życie Józefa Verdi'ego (ur. 10. X. 1813 r. w Roncole kęto Busetò, w prowincji Parma, zm. 27. I. 1901 r. w Mediolanie) to okres działalności Chopina, Liszta, Berliozza, Schumanna, Brahmsa, Wagnera, Czajkowskiego, Debussy'ego i wielu, wielu innych wybitnych twórców. Jakież miejsce zajęłby Verdi w tej plejadzie tytanów o olbrzymiej indywidualności, rozmachu twórczym i prometejskich osiągnięciach w odkrywaniu nowych widnokręgów? Czy byłby godnym wejść do ich grona na prawach całkowitej równości?

Jeśli ktoś, porównując np. muzykę „Traviaty” z wagnerowskim „Tristanem”, był skłonny uważać Verdi'ego za kompozytora raczej drugorzędnego, to nieoczekiwana

niespodzianką musiało być dla niego pojawienie się w 1887 r. „Otella”, a w 1893 r. „Falstaffa” Verdi'ego. Ktokolwiek zarzucał Verdi'emu konserwatyzm i konwencjonalność, musiał zdumieć się nad prężnością i energią mistrza, który, przeżywszy już 75 lat, syt chwały i zaszczytów, u schyłku prawie żywota, potrafił komponować dzieła nie tylko nie zdradzające najmniejszych objawów wyczerpania twórczego, ale idące całkowicie z duchem czasu, a nawet torujące operze nowe drogi.

Jest to chyba jedyny wypadek w dziejach muzyki, aby prawie 80-letni starzec pokusił się, i to także skutecznie, o przewodzenie młodym.

Kiedy pewnego razu prowadziłem rozmowę z jednym z naszych muzykologów, red. Mateuszem Glińskim, na temat „Otella” i „Falstaffa”, ten określił mi następująco muzykę obu wspomnianych oper: „Jest to Wagner bez defektów wagnerowskich”. Istotnie trudno o lepsze określenie. „Otello” i „Falstaff” w niczym

nie ustępują najlepszym partiom „Pierścienia Nibelunga” czy „Śpiewaków norwimberskich”, a przewyższają je zwartą budową, brakiem dłużyzn, artystycznym umiarem, prawdą psychologiczną i doskonałą równowagą między pierwiastkiem wokalnym a instrumentalnym. Nadto jeszcze jedna, istotna, nawet w dziedzinie muzyki, różnica między twórcami. O ile „Pierścień” posiada fabułę zgoła amoralną i destrukcyjną, gdzie autor, zaślepiony mitem germanskości, nie umie potępić zła, wiarołomstwa i fałszu, jakimi operują z bezwstydną brutalnością jego bohaterowie, a nawet je usprawiedliwia, jeśli nie pochwała, o tyle nikt z oglądających „Otella” nie zdobędzie się na słowo pochwały dla podłości Jagona, lub nie będzie się nie wzruszał cierpieniem szlachetnego Otella czy tragicznym losem niewinnej Desdemony. To samo da się odnieść do Wagnera i Verdiego przy porównaniu „Śpiewaków norwimberskich” z „Falstaffem”. W swej operze komicznej, obok muzyki, naprawdę wspaniałej, Wagner „nie wytrzymał nerwowo”, aby nie zaopatrzyć akcji w liczne elementy filozoficzno - symboliczno - satyryczno - polemiczne, a nawet nie uchronił się od niesmacznych rozgrywek osobistych z przeciwnikami (np. postać Beckmessera, będąca karykaturą niemieckiego krytyka muzycznego prof. Hanslicka). Nic podobnego w „Falstaffie” nie znajdziemy, znajdziemy tam natomiast obok głębi natchnienia i doskonałości strony muzycznej — szczerzy i niefrasobliwy humor, niewymuszony komizm, wartkie tempo akcji, nadzwyczajną piastykę postaci, rzetelność konstrukcji, umiar i smak artystyczny, a więc to wszystko, co słusznie kwalifikuje „Falstaffa” na arcydzieło dorównujące „Weselu Figara” Mozarta i „Cyrulikowi sewilskiemu”, najlepszymi dotychczas napisanym operom komicznym.

Po premierze „Otella” znakomity francuski muzykolog Camille Bellaigue tak pisał o nowym artystycznym osiągnięciu Verdiego: „Szukano nowego typu dramatu lirycznego -- oto on. Oto reforma opery, osiągnięta w sposób prosty, bez reklamy i szarlatanerii; oto otwarte drogi dla nowej muzyki przez najstarszego z muzyków”. Jakżeż te słowa są trafne. Opera przez czas swego istnienia wykazała szereg mankamentów i potrzeb reformy. Wagnerowski „dramat muzyczny” miał być podzwonnym opery włoskiej i próbą stworzenia nowych form. Tymczasem Verdi, nie lekceważąc zdobywszy Wagnera, umiał usunąć z opery wszystko nonsensowne i przestarzałe, pozostawił wszystko wartościowe i zapewnił jej dalszą żywotność. Wagnerowski „dramat muzyczny” jest już dziś pozycją o znaczeniu czysto historycznym, a opera w jej postaci wykończona przez Verdiego nie

okazuje najmniejszych objawów zmierzchu.

Oto najwspanialsze osiągnięcie Verdiego; stawiające go w historii muzyki na poziomie całkowitej równości z największymi. „Otello” i „Falstaff” w zupełności wystarczyłyby do zapewnienia ich twórcy nieśmiertelności, jednakże mógłby ktoś postawić zarzut, iż „Otello” i „Falstaff” to dwie ostatnie opery Verdiego z ogólnej liczby dwudziestu siedmiu. Nie one, wystawiane względnie rzadko, ale opery wcześniejsze, jak „Rigoletto”, „Trubadur”, „Traviata” i „Aida” nadają 10n repertuariom teatrów muzycznych i oceniając twórczość Verdiego nie sposób prześlizgnąć się nad nimi, a klasę nacisk tylko na dwa ostatnie dzieła. Uwaga istotnie słuszna, trzeba jednak pamiętać, że „Otello” i „Falstaff” nie są wynikiem jakiegoś napiętywu genialnej inwencji i dziełami, które wyskoczyły z głowy twórcy nieoczekiwanie, jak Minerwa z czoła Jowiszu, lecz logicznym etapem ewolucji twórczej, rozwijającej się nieprzerwanie od „Opero conte di San Bonifacio”, pierwszej, nieporadnej jeszcze opery Verdiego, ewolucji, trwającej ponad 50 lat. Twórczość Verdiego — to linia wznosząca się stale w górę, bez większych wahań czy uskoków. Każda opera następną jest u niego krokiem naprzód w stosunku do poprzedniczki, a całe życie Verdiego to jedno nieprzerwane pasmo mozolnych studiów i ciągłego dążenia naprzód bez względu na przeszkody czy syrynie głosy małostkowych gustów publiczności. Nie była to droga łatwa. Verdi, syn włoskiego sklepikarza, miał wszelkie zadatki na włoskiego Janka Muzykanta. Dzięki pomocy życzliwych ludzi mógł uczyć się u przygodnych muzyków, ale nigdy nie ukończył on żadnej uczelni muzycznej. Kiedyś powiedział on o sobie, że nawet akord c-dur sam musiał odkryć, jeśli więc został wielkim Verdim, to zawdzięczał to nie tylko swej iskrze Bcżej, ale i ciągłym cierpliwym i gruntownym studiom, trwającym przez całe życie. Zawdzięczał to również wysokiemu poczuciu swego posłannictwa artystycznego, dzięki któremu nie obniżył nigdy wysokich horyzontów swej sztuki do poziomu płaskości i popolitości. Miał który artysta miał tyle poczucia skromności i tak niewiele dbał o poklask tłumów, jak właśnie Verdi, a dowodem tego choćby „Nieszpory sycylijskie”, napisane na zamówienie opery paryskiej, a oparte na temacie zgoła u Francuzów niepopularnym, jako że przypominającym im niezbyt szczytne karty z ich historii. Największy nawet smakosz muzyczny nie powstrzyma się od wyrazów uznania dla znamionujących dużą wiedzę i mistrzowską rękę twórcy — takich klejnotów twórczości Verdiego, jak przepiękne i pełne wyrazu preludia do I i III aktu „Traviaty”, dramatyczne „mise-

rere" z „Trubadura”, pełne kunsztownych kombinacji kontrapunktycznych preludium do „Aidy”, czy choćby uwertury do „Siły przeznaczenia” i „Nieszporów sycylijskich”, wytrzymujące śmiało porównanie z najlepszymi uwerturami koncertowymi. Nawet badając Verdiego tylko „przez mędrca szkiełko i oko” nie sposób nie zdumiewać się nad kapitalnym kwartetem z ostatniego aktu „Rigoletta”, gdzie cynizm i płytkość księcia, zmysłowość Magdaleny, ból Gildy i mściwość Rigoletta, a więc uczucia tak sprzeczne i różnorodne, łączą się w całość napisaną ze znanstwem i smakiem. Tak samo niesposób nie podziwiać preludium do tejże opery, gdzie zaledwie w 35 taktach, przy pomocy środków muzycznych arcyprostych nagromadził kompozytor tyle ekspresji.

Oto tylko niektóre, ani w znikomej nawet części nie wyczerpujące, przykłady, świadczące o niepospolitych wartościach Verdiego jako artysty.

Czyż to wszystko wyjaśnia nam już sekret żywotności Verdiego? Pominęliśmy czynnik bodaj czy nie najważniejszy, a jest nim szczerokość i prawda, głębokość znanstwo duszy ludzkiej, jej smutków i radości; jej wznoszeń i upadków. Być może istnieje wiele oper muzycznie nawet lepszych od oper Verdiego, ale nie ma z pewnością oper, któreby bardziej od oper Verdiego potrafiły wzruszyć, wstrząsnąć i kazały przeżywać losy bohaterów jak swoje własne. Opera Verdiego to nie tylko nieprzerwane pasmo pięknych melodji i wzorowość opracowania muzycznego ale przede wszystkim wierne odbicie nas samych, naszych walk, rozterek, smutków i radości, nieszczęść i powodzeń, przedstawione bez patosu i stapania na koturnach, a z całkowitym poczuciem szczerokości i prawdy. Żadna z postaci Verdiego nie jest postacią papierową, żadna sytuacja sztuczna. Brak tu mitów i legend, tak właściwych twórczości niemieckiej, a wagnerowskiej w szczególności. Nie ma tu rzeczy symbolicznych lub nadnaturalnych; jest tylko życie we wszystkich jego przejawach i jakżeż znakomicie podpatrzone. Postać Rigoletta to głębokie studium psychologiczne, a „Don Carlos” ułatwia nam lepsze

wniknięcie w psychikę Filipa II niż jedno dzieło historyczne z licznymi przypisami i obfitą literaturą przedmiotu. Kogóż nie wzruszy tragizm Violetty, pragnącej żyć i kochać jak każda kobieta, a potępionej werdyktem zakłamanego społeczeństwa? Któż przejdzie do porządku nad konfliktem don Alvara z „Siły przeznaczenia”, zmuszonego wybierać między pomstą za zniewagę, a mniłą pokorą? Któż wreszcie nie uśmieje się bez troski nad dobroduszością Fra Melitone lub perypetiami miłosnymi podtatusiałego Falstaffa?

Akcja oper Verdiego rozgrywa się w rozmaitych środowiskach i epokach, bez względu jednak na to, czy ma za przedmiot czasy odległe czy bliskie, tematy bohaterskie czy codzienne, postacie tragiczne czy komiczne — zawsze pasjonuje, wzrusza, pobudza do uśmiechu lub zadumy, bo opiera się na argumentach ludzkich, żywych i realnych.

Aby to osiągnąć, musiał Verdi być nie tylko wielkim muzykiem, ale i głębokim znawcą serc i dusz i człowiekiem, któremu nie ludzkiego nie mogło być obce. Życie jego pełne walk, trudów, borykania się z losem, nieszczęść i zawodów i wreszcie zasłużonej sławy, przy wielkiej prostolinijności charakteru, czułości nad ludzką niedolą i wiernej służbie krajowi i sztuce, predestynowało go znakomicie do takiego przedstawiania życia, jakim było ono i jest istotnie. Twórczość jego stwierdza, iż zadanie to umiał Verdi wykonać znakomicie i po mistrzowsku.

W jednym z listów do przyjaciół Verdi pisał: „W sztuce podoba mi się wszystko, co jest piękne. Nie jestem bynajmniej ekskluzywny. Nie wierzę w żadne szkoły i podoba mi się wszystko wesołe, poważne, groźne, wielkie, małe i td., pod warunkiem, że małe będzie małym, wielkie wielkim, a w sumie wszystko będzie tym, czym być powinno — prawdziwym i pięknym”.

Prawdziwe i piękne — vero e bello... Oto sekret atrakcyjności Verdiego i wiecznej młodości jego dzieł; oto wskazówka, jakim winno być postannictwo sztuki po wszystkie czasy. Cóż więcej można dodać do tych słów, stanowiących artystyczne credo mistrza z Roncole?

Wiarosław Sandelewski

## Adam

*Jak władnie tętni za horyzontem  
gwiazdna droga*

*Jak uderza w opalowe tęcze  
srebrna poezja*

*Tam Duch porywa w wieczność jeziora  
krążących wieków*



w skroniach kwiatów układa harmonie  
miłości

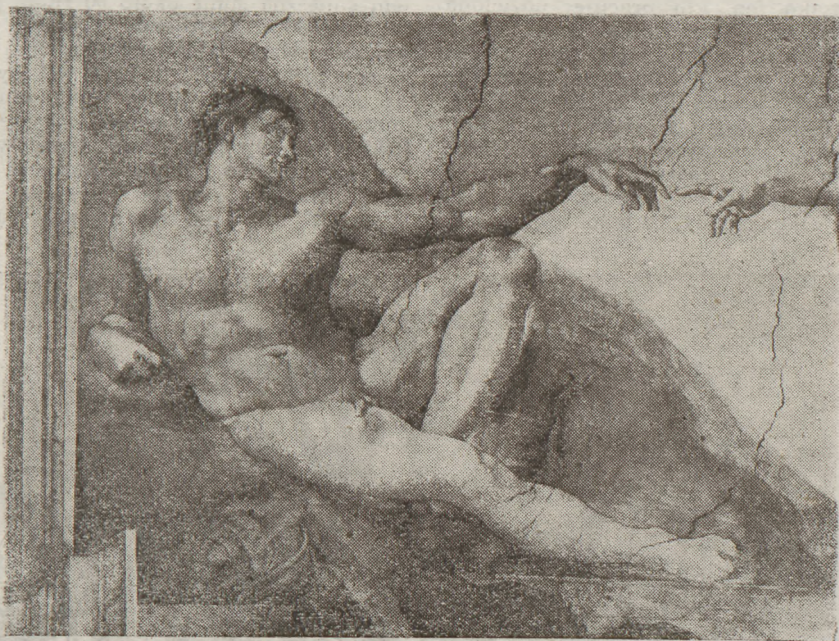
Złóż wizję na spokojny rytm piersi  
błękitnej Ewy

Zbieraj szum gwiazd w skrzeniach fali  
u włosów Ewy

Miedzę czasu zasłoni na oczach  
cicha dłoń Ewy

Od Mlecznej Drogi padam gwiazdami  
na ziemię moją.

Włodzimierz Sznarbachowski



Rzym — Pałac Watykański, Kaplica Sykstyńska. Adam  
(fragment „Stworzenia człowieka”) pędzla Michała Anioła.

## Wegetarianin

Zwolniono mnie przed zakończeniem dwuletniego śledztwa. Wprawdzie nie ulegało wątpliwości, że jestem „wragom naroda”, „wredicielem” i w ogóle — „socjalno-opasnyj element”, że jestem kontrrewolucjonistą, szpiegiem i dywersantem, jednakże — jak się okazało — i takich burżuazyjnych wyrodków jak ja spotkał akt wielkiej łaski. Któregoś letniego dnia otworzyły się przede mną podwoje samarkandzkiego więzienia.

Szczęki już mi się prawie zagoiły. Czuję się nawet nieźle, na miarę więzienną oczywiście, ale byłem okropnie wyczerpany. Dwuletni pobyt w różnych kryminaliach i przestawanie z sędziami śledczymi (miałem ich kilku) dokonały swego. Wychudłem i opadłem z sił. Pęd świeżego powietrza, który ogarnął mnie na ulicy, odurzył mnie, omroczył jak większa doza alkoholu. Obezsilony, słaniałem się na nogach, wbrew woli naśladowując pijanego,

co chwila siedałem na chodniku dla odpoczynku. Do stacji kolejowej było kilometrów trzy: szedłem pięć godzin. Miałem na sobie strzępy ubrania cywilnego, woreczek z jakimiś szmatami i bodajże z trzyśta gramów razowego chleba. Byłem wolny!

Pojechaliśmy z kolegami, równie zdezelowanymi, na poszukiwanie pracy. W Samarkandzie, mieście okręgowym, nie wolno nam było, według obowiązujących przepisów, pozostawać. O udaniu się bezpośrednio do formującej się Armii Polskiej nie można było nawet marzyć. W „wojenkomatach” i innych urzędach nie bardzo się orientowali w położeniu, kazali czekać. „Odychajcie niemnożko”. Czekać — to najstraszniejsza broń każdej biurokracji. W państwie, gdzie jadać ma prawo tylko ten, kto pracuje, udzielona rada zakrawała na ironię. Aby nabyć prawo kupienia kilkuset gramów chleba razowego dziennie po urzędowej cenie, należało płacić pewną ilość sił, tych sił, których ostatki kołatały się w nas jeszcze.

Na dachu towarowego wagonu pojechaliśmy do miejscowości o niezbyt zachęcającej nazwie — do Dżumy, odległej 28 klm. od Samarkandy, a położonej w pa-

zdargomskim rejonie. Tu część z nas udała się do okolicznych kolchozów, część — ja między nią — została zatrudniona w „Zagot. Ziarno” — przystacijnym składzie przesyłkowym zboża. Kolchozy zwoziły tu na arbach odpowiedni kontyngent zboża, który na miejscu podlegał dodatkowemu oczyszczaniu i ekspedycji do głównych magazynów państwowych.

Otrzymałem pracę w charakterze targa. Pracę ciężką, akordową, płatną po 34 kopiejki od załadowanej tony zboża. Zadanie moje, proste, nie wysilało mózgu, ale wymagało krzepkich mięśni. Należało napełnić worki ziarnem, zważyć i wsypać do wagonu. Mimo najlepszych chęci, przy naszym zdrowiu i odżywianiu, mógł robotnik załadować dziennie 4—6 ton. Zarobek miesięczny „gruszczyka” wynosił zatem śmieszłą sumę około 50 rubli. Był to „razcenok” przedwojenny, i wtedy głodowy, zachowany, mimo horrendalnej wysokości cen. Nie znalazł się nikt, kto by zajął się podwyższeniem płacy. Dwie zasadnicze korzyści wypływały jednak z naszego zatrudnienia: chroniło przed aresztowaniem za włóczęgostwo i dawało możliwość nabywania chleba po cenie urzędowej. Przyśługiwało mi, jako ciężko pracującemu,



W rosyjskiej tażni

(Rys. Marian Kościatkowski)

300 gr. chleba dziennie, a to już było wiele. Pracowaliśmy wypróbowaną sowiecką metodą, zgrupowani w sześciuosobowe brygady, a to w celu zrationalizowania i podniesienia wydajności naszego trudu. Brygada miała wyznaczoną dzienną normę, jeśli jej nie wykonała — płaciła za „pierestoj wagonów”.

Pracowaliśmy po jedenaście godzin dziennie, z godziną przerwą obiadową. Stołówka, z której mogliśmy korzystać, znajdowała się w MTS-ie (Motorno-traktornaja Stancja), oddalonej 3 klm. od stacji. W porze wydawania posiłków zbierała się tam duża kolejka, odpadła zatem możliwość korzystania z tej utylitarnej instytucji. Poza chlebem, inne produkty żywnościowe zdobywało się własnym przemysłem, sprytem, podstępem, czelnością.

Mieszkał w jednoizbowej kaziie uzbekiej, nie opodal miejsca pracy. Po usilnych zabiegach i długich targach wynajął ją nam właściciel, gdy wreszcie przyrodzone skąpstwo przewyciężyło weń wstręt do wpuszczenia pod swój dach niewiernych, zjadających psy i osy, odprawiających jakieś tajemnicze praktyki. Za lepszych czasów w kaziie pędziły poczciwy żywot owce i kozy i stąd przesiąknięta charakterystyczną wonią zwierzęcego potu. Małych rozmiarów, zaledwie 2 metry szeroka, nie mogła nas za dnia wprost pomieścić. Spaliśmy w niej — 13 ludzi, z bicia na glinianym klepisku, dotykając głowami i nogami przeciwnych ścian. Część izdebki oddzieliłmy przepierzeniem: — „sypialka” dla naszych pań. Mieszkały z nami trzy kobiety, były nauczycielki szkół powszechnych, obecnie zatrudnione przy czyszczeniu zboża — sproletaryzowane, podobnie jak my w nędzy.

„Zawiedujuszczyj”, Izak Mojsejewicz Spiwak, mieszkał w pobliżu nas, w domu mieszczącym biura i kasę składu. Tęgi, w sile wieku mężczyzna o semickich rysach, ze siwiejącymi skroniami i szerzącą się łysiną robił wrażenie zażywnego handlarza małomiasteczkowego. W istocie pochodził z Charkowa, był synem kupieckiej rodziny żydowskiej, inteligentkiej, wynaradawiającej się. Od czasów gimnazjalnych należał do partii, brał udział w rewolucji październikowej i zajmował szereg odpowiedzialnych stanowisk. Za jakieś niedopatrzzenie aresztowany, wykluczony został z partii i skazany na osiem lat więzienia. Odbył cztery. Okazało się potem, że padł ofiarą trockistów, zwolniono go, przywrócono do task, ale do partii już go nie przyjęto. Cztery lata spędzone za kratami mogły weń wszczepić niebezpieczne myśli o trzeciej rewolucji.

Isak Mojsejewicz okazał się przystępnym, gadatliwym człowiekiem. Typowy dla Rosji półinteligent, naszpikowany ewangelią komunistyczną, popularną lite-

raturą i gazetowymi mądrościami, sypał frazesami sowieckiego typu, dźwięcznymi słowami maskującymi fałszywą treść. Tęgi był w dialektyce. Zbiegały się w nim semicka lotność myśli i rosyjska filozofia rezygnacji, przebiegłość i naiwność, podstęp i szczerść. Lubił gawędzić z robotnikami, zwłaszcza z pochodzącymi spoza Rosji. Ciekawił go świat nigdy nie widziany, przedstawiany mu jako otchłań niewol, wyzysku i intryg.

Cierpiął niedostatek. 650 rubli miesięcznej pensji daleko nie pokrywały wydatków związanych z utrzymaniem chorej żony i czworga nieletnich dzieci. Czarny rynek o coraz bardziej kurczącej się podaży i zawrotnie wzrastających cenach — potwór ssący gotówkę. Za każdy znoszony łąch, za kawałek skamieniałego owczego sera, za litr mleka Uzbey ze wschodnią służalczą drożyli się bezczelnie. To też z trudem wegetowało się Spiwakowi. Dlatego może rozumiał nasze położenie i nam współczował. Pomóc nam nie był w stanie, na równi z nami był w ciągłej bojaźni żyjącym pionkiem.

Zacząłem kraść. Kradłem co i jak się dało, byle często i dużo. Nie byłem zresztą odosobniony w okradaniu socjalistycznego państwa, kradli wszyscy, ratując się tym sposobem od śmierci głodowej. Gdzie eksploatacja człowieka przekracza nie tylko granice niewolnictwa, ale i miarę rozsądku — ludzie muszą kłamać i kraść. System otumaniania, terroru i wyzysku nie wychowuje lojalnego obywatela — między państwem a społeczeństwem istnieje zasada wzajemności, w której kroki wstępne stawiają czynniki rządzące.

Kradłem pszenicę i worki. Niezauważenie napełniałem ziarnem kieszenie i pod różnymi pozorami oddalałem się na stronę zsypując je do woreczka. Kilogram pszenicy kosztował na czarnym rynku z początku 8, potem 20, a wreszcie — 50 rubli. Dziennie, przy sprzyjających warunkach, udawało mi się „zwędzić” do 2 klg. ziarna. Część sprzedawałem, część — gotowałem, spożywając z mlekiem, nabywanym w drodze handlu wymiennego. Niektórzy z moich kolegów pracowali w kółchozie im. Puszkina — najbogatszym ze 116 kółchozów rejonu — stróżując sadów. Ci kradli owoce, gotowali je bez cukru i często ofiarowywali nam wiadro „kompotu”. Niekiedy udawało mi się ukraść worek. Obwijałem nim ciało, narzucałem ubranie i tak, przytyły nieco, odchodziłem od pracy. Worki były stosunkowo drogie, poza tym z worków szyły nam nasze towarzyski ubrania.

Poprawiły się nam cośkolwiek warunki, docierały do nas coraz uporczywsze pogłoski o formowaniu Armii — zakiejkowają nadzieja. Żyć stało wesołej!

Którejś nocy udało się moim kolegom kółchożnikom ukraść barana. Uzbey na-

robili tyle wrzasku, jakby o całe stado. Podejrzewali Polaków, przymawiali, ale nie śmieli atakować. Koledzy moi mieli już poważną praktykę złodziejską, a w dziedzinie ukrywania zdobyczy i zacierania śladów nie daliby się ubiec byle mistrzowi.

W dwa dni później żarliśmy pyszną baraninę.

Dzień skwarny i duszny, jakich mało w październiku nawet w Uzbekistanie, wytapiał z ciała strugi potu. Spiekota legła ciężarem na workach, koszula lgała do grzbietu, trudno było oddychać, niesposób pracować. Zdrożony, niecierpliwie oczekiwałem przerwy obiadowej. Kusił mnie co prawda przedsmak owej baraniny, przyrządzonej przez panie, których sztuka kucharska, oceniana przez wilczo głodnych spożywców, dystansowała wszelkie pochwały.

W chacie było niesamowicie gorąco. Z okazałym ochłapem mięsa i nie mniejszą pajdą razowego chleba siadłem na odwróconym korycie u węgła kazby, ocienionej odosobnionym drzewem kasztanowym. Przeżywałem właśnie niebiańskie rozkosze gryzienia, żucia, połykania i zapełniania bezdłoni żołądkowej, gdy dostarżeniem zbliżającego się z dala Izaka Mojszejewicza.

Szedł na obiad, jak zwykle nieśpieszonym krokiem, zatopiony w sobie. Zauważył mnie dopiero, gdy znalazł się tuż nade mną.

— Aa, Iwan Władystawowicz, to wy? Co, obiad jecie? — pytał bez potrzeby, byle coś mówić. Nagle: — Co wy jecie?

— Mięso.

— Mięso?! — wzdrygnął się, odwrócił głowę, grymas wstrętu wykrzywił mu twarz. — Brr! Ja mięsa nie mogę jeść, za skarby do ust nie biorę. Wy szczęśliwi, że tego nie przeżywacie...

— Nie możecie jeść mięsa? Dlaczego? Jesteście chorzy? Żębów nie macie?

— Ani jedno, ani drugie, po prostu — wstręt nieodparty czuję do mięsa — uraz, rozumiecie, który przesładuje mnie od dziesięciu lat. Wstrząsnęto mną pewne wydarzenie, którego zapomnieć nie mogę, ale — machnął ręką — to długa historia.

— Opowiedzcie! — prosiłem. — Co to było?

Wahał się, ale widząc, że spałaszowałem już resztki mięsa, siadł przy mnie na korycie. Milczał przez chwilę, zbierał myśli.

— Było to w roku 1933 — zaczął — w okresie przeprowadzanej przez partię kolektywizacji wsi. Chłopi, zżyci z własnością prywatną, wrosli od wieków w ziemię, przeciwstawiali się aktywnie i biernie reformie, bronili się uporczywie i rozpaczliwie, z istic chłopską wytrwałością. Partia do prac uświadamiających rzuciła na wieś najlepsze, najbardziej wypróbowane kadry ideowców i jednocześnie za-

stosowała ostre środki represyjne. Deportacje, więzienia, obrzymie podatki w naturze, wielokroć przewyższające zdolności piatnicze zatwardziałych kulaków. Taktyka ta miała raz na zawsze, dobrym i złym, odzwyczać chłopów od własnej ziemi, skłonić go do dobrowolnego przystąpienia do kolektywu. Natrafiliśmy na fanatyczny opór. Żądność posiadania obok żądzu istnienia leży w najgłębszych instynktach ludzkich. Najtrudniejsza jest walka z człowiekiem, łatwiej przekopać międzyoceaniczny kanał, niż przepięzyć warstwy społeczne, niż wypłenić przesady. Nasz „ruskij mużyk”, jak żaden chłop gdziekolwiek indziej na świecie, posiada wysoką granicę wytrzymałości.

Należałem do wiernych, zaufaniem się cieszących towarzyszy partyjnych, obsadzono mną odpowiedzialne stanowiska. W tym roku, o którym mówię, piastowałem urząd kierownika Rajzemoddiela (Rejonowy Urząd Ziemi) w Białej Cerkwi. Twardy przypadł mi orzech do zgryzienia. Chłopi, w obłądnym strachu przed kołchozami, zasiewali tylko tyle ziemi, aby mieć chleb dla siebie. Partia, wobec groźby zupełnego braku żywności dla miast i armii, postanowiła mimo wszystko ściągnąć plody rolne i było według ilości natężonego świadczenia, a więc powyżej faktycznego stanu. Zastosowała najostrejsze restrykcje: za kilogram ukrytego zboża, za poćcie stoniny — Syberia!

Pola leżały obłogiem, rabunkowa gospodarka wyniszczyła bydło — wieś ogołociła się do szczytu. Głód, straszliwy głód, jakich niewiele zanotowała historia, kataklizm gorszy od najgorszej epidemii, padł na kraj. Ukraina — najżywniejsza ziemia na świecie, czarnoziem aksamitny, życiodajna próchnica — zdolna wyżywić się podczas największego nieurodzaju, zamieniła się naonczas w pustynię, na której masowo ginęli ludzie z wyczerpania i głodu. Chłopi zjedli wszystkie psy, koty, siomę, trawę — wszystko, strawne czy niestrawne, co można było wpakować do pustych trzewi i — puchli, chudli, błędnie staniałi się na nogach. Naprzód dzieci, potem starszych skosiła śmierć: wymierały rodziny, wymierały całe osiedla. Spowszedniały morderstwa, spowszedniał kanibalizm. Dantejski obraz piekła — to sianka w porównaniu z tym, co się działo. I tu w kąć poszły wszelkie nadzieje.

A partyjne organa słały rozkaz za rozkazem: dostarczyć „niemiędlennie” kontyngent płodów rolnych.

Któregoś mroźnego, grudniowego dnia pojechaliśmy na przednoworoczną inspekcję rejonu: Arkady Mitrofanowicz Dilenko — sekretarz okręgowego komitetu partyjnego, młody, ze wszech miar zdolny człowiek, Wasyl Artiomowicz Sezonow — przewodniczący sowietu rejonu i ja. Jechaliśmy saniami, zaprzężonymi w dwa dzie-

ne kozackie koniki. Mróz, skowający ziemię od dni kilku, wzmagał się zasilony przez porywisty wicher dujący od stepów. Od koni i z naszych kozuchów biły gęste pary. Zwały śniegu i osiędź mroźna — biel kłująca w oczy — cały świat. Zamiast nieba — grube, czarne zwały chmur, zwiśające nad głową. Wiatr je tarłosił, skupiał, przepędzał.

Powozit Wasyl Artiomowicz, chłop na schwał, były kowal wiejski, stary rewolucjonista i katorżnik. Trzaskął wesoło z bata i pohukiwał na konie, rwące i tak co się. Sankowanie, przy pełnym żołądku (zjedliśmy obiad w stołówce NKWD), w ciepłej odzieży i orzeźwiającym powietrzu, zrobiło nam dobrze. Zapomnieliśmy o naszej misji i ogólnej, sytuacji, o bezprzytom-

Siedzieliśmy przy piecu u „prezieda-tiela” wsi, tow. Jefremowa. Nasz to był człowiek, muzyk, najbiedniejszy z całej okolicy, gnieżdżący się z sześciorgiem rachitycznych dzieci i ułomną żoną w jednoizbowej lepiance. Prostaczek, analfabeta, bojący się nas, chłopów, własnego cienia, Boga i diabła — onieśmielony własnym stanowiskiem, bezradny, zdesperowany.

— Towaryszczy! — błagał — tu się nie da wy dostać. Wieś umiera! Umiera, powiadam! Co dzień w którejs z chat ktoś się kończy, nieraz po kilku z jednej rodziny... Ludzie rozum postradali, chodzą na wpół obłąkami, straszni. Niektórzy zabijają własne dzieci i zjadają, inni chodzą po cmentarzach i wygrzebują trupy...



## Śmierć

(Rys. Marian Kościakowski)

mniał nas pęd, oburzyło ciepło i własny bezwład. Są momenty, w których człowiek znajduje pełnię szczęścia — w bezdusznosci.

Przybyliśmy do Jezierny, dużej wsi, będącej przed rewolucją majątkiem polskich „pomieszczyków”, hr. Branickich. Polaczki uciekli za granicę; my ziemię rozdaliśmy feodalnym chłopom; teraz postanowiliśmy ich skolektywizować, aby położyć kres eksploatacji człowieka przez człowieka. Nie dawali się te „prochwosty” kapitalistyczne! Zasmakowała im ziemia, a przy tym bał się komuny jak ognia. Buntowali się, zdychali z głodu i nie ustępowali. Chłop bardziej cenił ziemię, niż własne nikczemne życie.

— Dobrze im tak! — zachnął się tow. Didenko. — Mówisz, że głód ich rozumu pozbawia, nie, odwrotnie — nauczy ich rozumu. Albo do kołchozu, albo śmierci! My takich nie potrzebujemy, niech zdechną, są przesiąknięci zgnitym kapitalistycznym duchem. Wychowamy nowe pokolenie komunardów, ludzi wolnych, umiejących żyć w kolektywie. Zbudujemy nowy świat, świat przyszłości, co stare — unicestwimy. My, bolszewicy, dla idei poświęcamy wszystko — prawdziwa rewolucja nie zna kompromisu.

— Ale przecież... — bąknął nieśmiało Jefromow — przecież litosć...

— Durny jesteście, towarzyszu! Bawicie się w sentymety. Może jeszcze z Bogiem

tu wyjdziecie, co? Tkwią w was jeszcze, jak widać, burżuazyjne przesady, małoduszność człowieka wychowanego na okruchach ze stołu kapitalisty. U nas nie ma litości, jest idea! Małozłoty nas, komunistów, zginęło, zanim objęliśmy władzę? Nas kto żałował?

— Ale tu cały naród ginie... Żal ściska serce, patrząc jak gasną dzieci...

— Co z tobą gadać! Ty nam powiedz lepiej, kto ich buntuje. Na pewno jest tu taki... My jego, rozumiesz...

Zapadał wieczór. Jefremow poszedł założyć konie; wrócił ode drzwi:

— Nieważmożno! Posmatritie!

Rzeczywiście. Śnieżyca, wzmagająca się już uprzednio, teraz rozszrożona, zamieniła się we wściekłą zamieć. Z nieba, z rozdartych chmur waliły nieprzebrane masy, istny potop puszystych śnieżyn, który gwałtowny wichur skręcał w wir i rozgrywał na wsze strony — biały chaos. Świata, przesłoniętego kurzawą i szybko zapadającymi ciemnościami, nie było widać na trzy kroki. Jak tu odnaleźć drogę polną?

— Co my teraz zrobimy?

Postanowiliśmy nocować, nic innego nam zresztą nie pozostawało. Jefremow

radził nam udać się do pobliskiej chaty: — Kułaczka... sama jedna... dwa dni temu zmarł jej syn, wczoraj mąż... Duża chata, sporo miejsca...

Poszliśmy. Zanim dotarliśmy po omacku do odległej o sto metrów chaty, wyglądaliśmy jak bałwany śnieżne, nawet twarze pokryła nam powłoka tającego śniegu...

Spiwak przerwał opowiadanie. Dobył paczkę machorki, urwał kawał gazety — skręcił. Wypuścił przez nos kłęb sinego dymu, otarł pot z czoła.

— Przy świetle łuczywa — ciągnął — trudno było coś dostrzec w chacie. Zwolna z półmroku wyłoniły się zarysy sprzętów, ikon zdobnych zasuszonymi kwiatami, piec i przy nim staruszka lat sześćdziesięciu, przeraźliwie chuda, z jarzącymi, prawie błędnymi oczami, osadzonymi głęboko w oczodołach. Swidrowała nas podejrzliwie, z nieukrywana bojaźnią.

— Zdrastwujcie! Chcecie nocować? — mówiła skrzeczącym głosem. — Pożałujcie, czemu nie? Chata duża, w samym dziele, ale słomy nie ma...

Zrzuciliśmy kożuchy, strzepali śnieg z butów.

— Nie martwcie się, mateczko, prześpiemy się na kożuchach. Ugotujcie nam



Rozpacza matek

(Rys. Marian Kościółkowski)

za to „kłpiatku”. — Mieliśmy pół bochenka chleba ze sobą, od biedy mogliśmy się w trzech posilić.

— Głodni jesteście, milenkije, co? — spytała stara. — Wiem: gołód! Biedaczki wy moje, dawnoście zapewne nie jedli i poczęła krzątać się koło kuchni. Zajęci dyskusją nad problemami kolektywizacji, nie zwracaliście na nią uwagi. Tow. Didenko długo i wyczerpująco, z talentem krasnomówczym, z którego słynął w partii, malował radosne życie przyszłych kolchozów, stawiających rewolucyjny krok naprzód, podwalinę budującego się komunizmu.

Uderzył nas miły zapach gotującego się mięsa. Tak, mięsa! Oskoma napełniła nam śliną usta. Znacząco spojrzeliśmy po sobie: przesadził Jefremow z tym głodem, mięso mają, kryją przed państwem i pożąają po kryjomu! Ileż to krów, cielat, owiec pozabijali, zamrozili i zakopali! Trzeba będzie pogadać z Jefremowem, do bani z takim przedsiębiorcą!

Zjedliśmy po kawałku wybornej, miękkiej cielęciny z chlebem, popili wrzątkiem. Mięso było bez przyprawy, gotowane tylko w wodze, ale — mięso. Dawno czegoś podobnie dobrego nie jedliśmy. Syci legliśmy spać.

Rano, skoro świt, nasza „choziajka” krzatała się już koło kuchni; przyniosła wody, nadstawiła garnki — gotowała. Znów mięso. Nie ulegało już dla nas wątpliwości, że wykryliśmy sabotażystkę, chowającą artykuły pierwszej potrzeby. Po śniadaniu tow. Didenko przystąpił do indagacji:

— Powiedźcie, mateczko, skąd wy macie mięso? — spytał ostro, urzędowym tonem.

Babina przestraszyła się na dobre.

— Gosp... towarzyszc... ja znaczy się, no...

— Gadaj szybko, gdzie masz schowane mięso! My, rozumiesz, z tobą bawić się nie będziemy. Zawołamy milicję, cały furor przetrząśniemy, ziemię rozkopjemy. My szukać potrafimy...

— Pokażę, — trzęsła się stara — pokażę, tylko nie krzyczcie. Chodźcie!

Zaprowadziła nas do małego chlewa, splecionego z wikliny, jakich dużo na Ukrainie. Otworzyła na ścieżaj drzwi.

Włosy się nam zjeżyły. Na ziemi, w poprzek chlewa, przysypane śniegiem leżały dwa trupy. Dwu mężczyzn. Większy trup był cały, mniejszy — miał odrąbane obie ręce, jedną nogę do pachwiny, drugą — poniżej kolana.

— To mąż i syn, Waniuszka... Zjadam ich po kawałeczku... Gołód!... Pożyję sobie jeszcze trochę... im wszystko jedno... A potem, potem — może mnie ktoś zje... — i stara zaniósła się od suchego, skrzecznego śmiechu — spazmatycznego, obłądnego śmiechu. Oczy zabłyły jej dziko.

Dostałem wymiotów, tak silnych jak nigdy w życiu, podobnie tow. Didenko. Jedynie Sezonow ani drgnął, ale i on był blady jak chusta.

Uciekliśmy. Gonił nas okropny obraz, chłostał — histeryczny śmiech. Wpadliśmy, goniąc po śniegu, do zagrody Jefremowa.

— Zaprzągaj konie — ryknął Didenko. — Skorej!

— Towarzysze, wejdźcie do chaty ugrzać się trochę.

— Dawaj konie, mówię!

Wsiadliśmy do sań. Sezonow podciął konie co sił. Pomknęliśmy naprzód, na przelaj i na osłep, byle prędzej — na złamanie karku i nie zamieniliśmy ani słowa.

Tak mój drogi, od owego czasu nie jadam mięsa. Nie mogę, uraz, i-dio-syn-kraz-ja, rozumiesz? Dostaję bólów, mdłości, wymiotów na sam widok ludzi jedzących mięso. Żona i córeczki wiedzą o tym i nigdy nie gotują dla mnie potraw mięsnych. Same jedzą, owszem, ale nigdy w mojej obecności.

Spiwak zwiesił głowę. W milczeniu skręcił papierosa, po czym dźwignął się ociężale i zwolna poszedł do domu.

Jan Kielewicz

## Cela 83

Różniła się zupełnie od pozostałych stu cel zamarstynowskiego więzienia śledczego we Lwowie. Po prostu była inna niż tamte. Wpływało na to szereg szczegółów drobnych, lecz w trybie więziennego życia zasadniczych.

A więc okna. Były dwa, a nie jedno, nie posiadały żadnych specjalnych zasłon, a wprawione w nie kraty były zapewne najcięższymi sztabami żelaznymi w całym ponurym gmachu. W kącie celi stał duży, okrągły piec. Wprawdzie nawet podczas

najostrzejszych mrozów zimy 1940 roku nie spłonęła w nim ani odrobina węgla czy drzewa, ale piec był i swoją obecnością działał kojąco na podnieconą wyobraźnię więźniów. Innym, niespotykanym przywilejem były sienniki uszyte z poprutych worków, napełnione cuchnącą, przegniłą słomą. W siennikach tych leżyły się wszy i pluskwy.

83 cela dzięki swym wymiarom mogła według sowieckiej normy pomieścić przeszło pół setki ludzi, ale mieszkało w niej

tylko pięciu... Pięciu kontrrewolucjonistów", niebezpiecznych wrogów Związku Sowieckiego, element „zdegradowany” — pięciu Polaków. Wiek? Jakże nie spotykany w innych celach, bo wahał się w granicach od 11 do 15 lat. I to właśnie dzięki temu cela miała dwa okna, piec, sienniki i kilka metrów kwadratowych niezajętego miejsca. To troskliwy Rząd Radziecki, dbały o wychowanie młodego pokolenia, poszedł na kompromis, dając te szalone ulgi w zamian za złamaną młodość, powykręcane palce, wybite zęby, powyrywane włosy i posniaczone ciało.

Bo z chwilą, gdy się przekroczyło próg pokoju „śledowatiela” — nie było żadnych ulg. Jedynym panem był wtedy obłądny nienawiścią wzrok siepacza i pięść lub kolba nagana.

A więc mieszkało nas pięciu: Broniek, Władek, Adam, Stach i ja. „Wójtem” celi był Broniek, chociaż w myśl obowiązujących wśród więźniów form stanowisko to powinien piastować Stach z racji swych ośmiu miesięcy przeżytych za kratami, podczas gdy reszta w sumie nie miała więcej niż dwa razy tyle. Ale Stach nie chciał. Zresztą, — Broniek był bardziej energiczny, lepiej władał rosyjskim, poza tym — za każde wykroczenie przeciw regulaminowi prócz winnego zbierał ciężki i wójt.

Broniek był lepiej zbudowany i cieszył się najlepszą kondycją fizyczną z nas wszystkich. My ze swej strony — strzeliliśmy się bardzo, by z naszej winy plecy Bronka nie stały się bardziej śnie.

Najmłodszym był Władek, miał jedenaście lat i jedenaście przepraw przez granicę na Węgry jako... kurier.

Za dwunastym razem wpadł w ręce granicznej straży... Stale wesoły, pełen temperamentu, pełen gorącej wiary w Polskę, o bezkompromisowym, namiętnym patriotyzmie, często podtrzymywał nas na duchu w chwilach ciężkich. Podziwiałem hart jego charakteru, siłę woli i bystrość inteligencji. Przecież to był jeszcze dzieciuch, a chłopięcość jego podkreślał mundur szkolny postrzępiony na śledztwach...

Adam był najstarszy i najbardziej zamknięty w sobie. Bito go bardzo. Miał zresztą ciężką sprawę. Zarzucano mu przestępstwa podpadające pod wszystkie paragrafy sowieckiej konstytucji. Przyznał się tylko do jednego. Nie tał tego od początku: do aresztowania oficera NKWD w momencie aresztowania...

Stachowi, Bronkowi i mnie zarzucono przynależność do polskiej organizacji.

Pewnego jesiennego dnia, już prawie o zmroku, po kontroli obecności Władek odezwał się nagle:

— Czy wiecie o tym, że jutro jest jedenaście listopada?...

Pytanie zaskoczyło nas. Czas był nam zupełnie niepotrzebny. Czynności dnia codziennego regulował zgrzyt klucza w zamku: mycie się, obiad, „prowierka”.

Broniek kiedyś prowadził ścienny kalendarz, drapiąc kreski na murze końcem drewnianej łyżki, ale przestał któregoś dnia:

— Na cholere! to się przyda... I tak nigdy nie wyleziemy z sowieckiej tury... Wszystko jedno — dzień czy rok...

Dlatego pytanie Władka było czymś nadzwyczajnym. Prawda! Jutro rocznica Niepodległości...

— Że też tak na śmierć można zapomnieć!

— Gdybyś pamiętał, to co?...

— To... to cośby się przygotowało... Trzeba przecie jakoś uczcić ten dzień.

Stach ironicznie się uśmiechnął.

— Włec co na przykład proponujesz?

Władek z błyszczącymi oczyma wyskoczył na środek celi:

— Koledzy, sza! Mam pomysł. Możemy uświęcić ten dzień bardzo pięknie. Proponuję, aby cały dzień pościć... Nie brudzić sobie ust sowieckim, więziennym ścierwem. W zamian za to Adam prócz normalnej lekcji historii zadeklamuje nam wyjątki z „Nocy Listopadowej”... A daś?

A daś leżąc na wznak kiwnął w zamyśleniu głową. Zaległo milczenie. Każdy w głębi siebie wazył ciężar przedsięwzięcia. Bo to, co powiedział Władek, nie było takie proste. Czy wycieńczony do cna organizm ciągłym głodowaniem i białym podporządkuje się woli? I czy ten post będzie szczerzy? Serdeczny? Przecież nikt, nikt z tej piątki nie potrafi zachować rannej porcji chleba do gorącej wody, którą podają pięć minut po nim, bo do tej chwili łapczywie palce przełamują go, rozszarpiają, wpakują do drżących ust, wzbudzając w żołądku nowe bolesne kurcze głodowe za pokarmem, którego już nie ma, bo porcja jest tak strasznie mała, tak niesamowicie mała!

— Zgadza się? — Pytał z błyszczącymi oczyma Władek.

Tak. Zgadza się wszyscy. I wszystkim robi się nagle dziwnie lekko na duszy...

Pobranych rano pięć porcji chleba leżało nietkniętych na murze okiennym. A za oknem błyszczowało niebo. Blade, jesiennie, chłodne niebo. W celi było dziwnie cicho. Senne, zmęczone muchy, zbudzone w szparach ścian przez nagłe promienie słońca, leniwie krążyły koło okratowanej żarówki u sufitu, niezdecydowanym, niepotrzebnym lotem.



Pierwsza próba minęła zwycięsko. I chociaż dzisiejsza porcja chleba wydawała się bardziej świeża niż zwykle i bardziej apetyczna — mimo to ręce potrafiły spokojnie położyć ją na okno, a oczy spoglądały tylko na błękit... Milczeliśmy. Z za grubego muru dochodził przytłumiony, matowy, nieustanny gwar sąsiedniej celi. Na korytarzu pluł przez zęby raz po raz mongoł, znudzony służbą. Mijały godziny. Także leniwe, ciężkie, niepotrzebne jak brzęczenie pijanych słońcem much.

Wreszcie gdy jasna smuga słońca przesunęła się złotą plamą na piec, w korytarzu zadudniły kroki. Rozległ się odgłos stawianego na podłogę kotła i jakaś przyciszona rozmowa strażnika z tymi co kocioł przynieśli.

— Czy w ogóle nie będziemy pobierać obiadu? — pyta Stach.

Będziemy... — decyduje Bronek — gdybyśmy nie wzięli, wybuchłaby straszliwa awantura. A my przecież urządzamy głódówkę dla siebie tylko. Zresztą — tym większą będzie nasza zasługa, gdy nie tkniemy jedzenia mimo, iż będzie leżało w celi... Obok nas...

Zazgrzytał klucz w zamku, otworzył się drzwi:

a Władek zagryza wargi... Podstawiam swoje naczynie i... Co to?! Zakręciło mi się w głowie. Z miarki „rozdawczyka” spływają do miski duże, pachnące, cudowne kawałki mięsa! Po raz pierwszy od ćwierć roku! Zapach, wydobywający się z kotła, działa jak chloroform. Czuję szum w uszach, a w ustach mam pełno śliny, której nie mogę przełknąć, która przelewa mi się przez zęby... Zatrzaśnięto drzwi. Stawiam pod ścianą swą porcję, tak jak inni. Okazuje się, że to nie tylko ja miałem szczęście: w każdej misie pływają kawałki najautentyczniejszego mięsa. Biała, ciepła para kłębi się pod sufitem, kłębi się nad podłogą i obezwładnia jak haszysz.

Ściany celi zdają się osuwać na siebie, a okna zataczają nieregularne kręgi. Wszystko osnuwa mgłą, drażniącą mgłą, i nagle widzę w niej bladą, zmienioną twarz Staszka, jego nienaturalnie błyszczące oczy i ręce, dźwigające miskę do rozchylonych, drżących ust... Serce zaczęło mi bić mocno, strasznie, boleśnie. Czuję, że dzieje się coś przerażającego, coś przyniatającego swym ciężarem.

Otrzeźwiałem. Stach nie wytrzymał. Siedząc w kucki na sienniku, łapczywie, zachłannie pił zupę prosto z miski, niemal



Cela 83

(Rys. Aleksander Werner)

— Potuczajcie obied!... Z korytarza buchnął ciepły zapach strawy. Jakiś inny niż zwykle. Mocniejszy i bardziej aromatyczny. Złudzenie? Ale widzę, że Adam, któremu właśnie wiano zupę do glinianej miski, nagle strasznie poblądł, że Stachowi trzęsą się ręce,

nie przeżykając jej. Szybko, strasznie szybko gryzi grube kawałki mięsa, a po twarzy przebiegały mu jakieś skurcze. Milczeliśmy. Zjadłszy całą zawartość miski, podniósł głowę i popatrzył na nas niesamowitym, przymglonym wzrokiem. A potem na pozostałe, stojące pod ścianą

porcje i znów na nas. Wstał nagle, podniósł drugą z rzędu miskę i zaczął jeść tak samo łapczywie jak pierwszą. Uspokoilem się zupełnie. Spojrzałem na Bronka, na Adama, na Władka. W dwóch parach oczu wyczytałem lęk pomieszany z litością, w trzeciej — bezgraniczną pogardę... Nikt mu nie przerywał, nikt nic nie mówił.

A on tymczasem kończył drugą porcję. Wzjął do ręki łyżkę i zaczął wyławić ostatnie resztki mięsa. Na twarz wystąpiły mu silne rumieńce, oczy powróciły do normalnego blasku, a ręka coraz wolniej, coraz ciężiej podnosiła strawę do ust. W pewnym momencie ujrzałem, że ta długa, chuda ręka zaczyna drżeć, że łyżka rozlewa pokarm, nie trafiając do warg, że po ciele Stacha przebiegł dreszcz.

I stało się coś nadzwyczajnego. Stach cisnął miskę na podłogę i wybuchnął głośnym, przejmującym szlochem, rzucając się, jak opętany, po sienniku. Staliśmy dalej, patrząc jak zahipnotyzowani, a w ciężkiej ciszy drgał nieukojony, głęboki, serdeczny szloch. W brudny więzienny siennik wsiąkały wielkie, przezroczyste łzy, tworząc ciemne, wilgotne plamy...

Władek wycedził przez zęby:

— Bydlę bez charakteru!...

Słowa Władka dochodziły do mnie, jak przez grubą zasłonę. I tak samo zabrzmiał

mi głos Bronka, gdy zwrócił się do Adama:

— Ty masz dzisiaj dyżur... Wylej resztę do „paraszy” i wymyj dokładnie miski...

W kilka miesięcy później w charkowskim więzieniu poznałem Jasia. Nawiązałem więzienną, najbardziej szczerą przyjaźń i któregoś dnia dowiedziałem się, że był sądzony w tej samej grupie, w której był Stach.

Zapytałem o niego.

— Stach? — odparł z ożywieniem w głosie — Stach? To człowiek, przed którym mam ogromny szacunek. Ten dzieciak, to prawdziwy bohater. To charakter! Wyobraź sobie, że w czasie śledztwa tak zrećnie pokierował całą sprawą, że zbił z tropu wszystkich „śledcowateli”. Najbardziej obciążające zarzuty innych wziął na siebie, wmówił to po prostu w NKWD! Liczył na to, iż dzięki swoim piętnastu latom uniknie kary śmierci, a pomoże współtowarzyszom...

Tutaj głos Jasia załamał się nieco.

— Pomylił się. Wyrok był bezwzględny. I... i... prawdopodobnie został wykonany...

Władku, Władku! Czy nie pomyliłeś się wtedy?...

Mieczysław Serwacki

## SZKOŁA MŁODSZYCH OCHOTNICZEK\*)

# Książka — broń

### Dolina Śmierci

Trafną nazwę nosiła pierwsza siedziba szkoły młodszych ochotniczek: Karkin-Batasz, czyli Dolina Śmierci. Była to mała uzbecka miejscina pod Guzarem. Zaczęło się bardzo niewesoło. Karkin-Batasz — to niewielka osada, położona wśród stepów zamieniających się z nastaniem upałów w pustynię. A upały zaczynały się wcześniej i temperatura dochodziła w lipcu do 80 stopni. W słońcu pękały termometry, a musiały wytrzymać młodociane płuca, nadwątlone nieraz chorobą, wdychające tużmany kurzu wzniecane przez stada owiec.

\*) Z okresu pobytu szkoły w m. Jenin w Palestynie.

Ludność tubylcza, nomadowie, w ucieczce przed tyfusem, czerwonką i upalami — chroniła się w górach. Gdy nadchodziły upały — jedyny strumień, tak zwany arik płynący przez miasteczko — zamieniał się w kałużę; była ona jedynym dostarczycielem wody dla owiec, osłów, tubylców i polskich dziewcząt.

Zadrzewienia żadnego. O kilometr od miasteczka stało kilka samotnych drzew. Wyzyskano je znakomicie, organizując pod każdym z nich „klasy” polskiej szkoły na niegościnniej uzbeckiej ziemi. Dosłownie — na ziemi. Roje much, skorpiony i tarantule dopełniały całości obrazu.

Pierwsze 4 dziewczynki przybyły do szkoły w dniu 30 marca 1942 roku. 12

kwietnia było już ich 30; 20 kwietnia — 39; 23 maja — 691; — 11 czerwca — 849. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego rozrostu szkoły. Grupy dziewcząt przybywały dzień po dniu. Płynęły transporty za transportami. Z Karshi. Z Wrewskoje. Z Buchar. Z Dekanabadów. Z Kermine. Z kolchozów, z kolchozów, z kolchozów. „Jest polska szkoła”, — mówiono, a jeszcze częściej szepitano poufnie. I szkoła wzrastała z



(Rys. Aleksander Werner)

dnia na dzień. Pojedyncze dziewczęta, małe i słabe — setkami kilometrów wędrowały do Karkin-Batasz. Na naukę. Z jednego egzemplarza „Pana Tadeusza”. Książka zbłądziła nietyle pod strzechy, ile do azjatyckich glinobitek. A więc — z jednego egzemplarza „Pana Tadeusza” i z numerów „Orla Białego”.

Dziewczęta przybywały zagłodzone, wynędzniałe, ledwo trzymające się na nogach, brudne, bez bielizny, bose lub z nogami okręconymi szmatami, zawieszane, apatyczne. Jakże często widzieliśmy takie dzieci!... Wiemy, w jakich warunkach odbywały się podróże w tym

kraju. Do dziś przechowuję między swymi pamiątkami taką niewinną karteczkę z wymownym napisem: „Stwierdzam, że p. Zahorski Witold jest odwieszony i czysty”... Bez takiej kartki nie wpuszczano do sztabu naszej armii w Jangi-Jul.

Z nowoprzybyłymi zakradał się do szkoły tyfus plamisty, mimo dezynfekcji, obcinania włosów, łaźni, (brak wody i mydła), izolacji. Choroby były dowożone często przez dziewczęta odwiedzające rodziny i przez rodziny dojeżdżające z wizytami do Karkin-Batasz. Stan ten zmusił do zakazania odwiedzin, lub do przyjmowania najbliższych poza szkołą, w polu. Pokarmu dla wygłodzonych organizmów było zamało. A z jarzynami i owocami spoza szkoły znów pojawiły się choroby — tyfus brzuszny, czerwotka. Matki i siostry odwiedzające dziewczęta były głodne, bo któż tam nie był głodny? Dziewczęta pokryjomu dzieliły się z nimi chlebem, otrzymywanym w szkole, dosłownie odejmując go sobie od ust.

Biorę do rąk kronikę szkolną. Często, jakże często spotykam takie wzmianki: „W miejscowym szpitaliku zmarła na czerwotkę i na skutek wycieńczenia junaczka Hermanówna. Dziecko przybyło do szkoły w stanie ostatecznego wycieńczenia, opuchnięte z głodu”. Albo: „Znów w szkole wypadek duru plamistego”... Albo: „W szpitalu w Guzarze zmarły trzy junaczki”. Albo wreszcie: „W szpitalu zmarła nauczycielka...” Tak. Kadra dzieliła przez cały czas dole i niedole wychowanek szkoły. Wówczas do dzielenia były tylko niedole.

30 maja przybył do Doliny Śmierci transport 64 dziewcząt z Buchary. Już w drodze wybuchł tyfus. Dziewczęta były tak kompletnie wyczerpane, że raz po raz mdlały. Były tak osłabione, że z trudem wielkim wyciągnięto z nich potrzebne dane ewidencyjne — często nie pamiętały nawet jak się nazywają, kiedy się urodziły i gdzie. Do tyfusu doszła czerwotka, pelagra, biegunka, awitaminoza, jakieś rany i wrzody — Bóg wie, skąd się to wszystko zważyło na biedne dziewczęta. Zeszła nie tylko

one chorowały. Trzy czwarte garnizonu w Karkin-Batasz leżało, a reszta chodziła ledwie powłócząc nogami. Nieraz chorych nie dowoziło się nawet do szpitala — marli w drodze na wozach.

Śmiertelność wzrastała z dnia na dzień. Izby chorych przepelnione. Ko-



H. Siedlanowski

(Rys. Henryk Siedlanowski)

stnica też. W wyniku — wybuchła między dziewczętami psychoza — obawa przed Doliną Śmierci. Wiele usiłowało drogą legalną wrócić do kolchozów i rodzin, a gdy ze względu na trudności transportowe nie otrzymały na to zezwolenia — próbowały ucieczki. Ale były wypadki i inne. Oto taka n.p. Jadzia Wróblewska prosi o urlop: chce mieć bliżej siebie matkę i rodzeństwo. Chce ich zabrać z dalekiego kolchozu. Tu, w Karkin-Batasz będzie im pomagała. Zgody na wyjazd nie udzielono. Małe dziewczętko — dziecko niemal — nie może jechać samo w daleką i niepewną drogę. Pewnego dnia Jadzia znikła. Po prostu uciekła. Poto, aby po pewnym czasie wrócić z matką i rodzeństwem. Czyż można było Jadzię ukarać?

Codzienne, szare — czarne raczej — życie, walkę o każdy dzień urozmaicały czasami wizyty przedstawicieli wojska i innych gości. Ślad jednej z takich wizyt pozostał w kronice szkolnej: „Z całego serca błogosławię — Józef Gawlina, Biskup Polowy W.P.”

Usiłowanie kadry z komendantką na

czele, zmierzające do przeniesienia do lepszych warunków — przynajmniej klimatycznych — zostały w końcu uwięzione powodzeniem. Część szkoły przeszła do Guzaru, część zaś do kolchozu kolo Kitabu. Karkin-Batasz został zlikwidowany i straszyl odtąd tylko wspomnieniami.

Warunki znacznie się poprawiły, nareszcie wody było pod dostatkiem, jednak choroby dalej nękały uczennice i kadre. Pojawili się nowi wrogowie: malaria, papatacza, tyfus perski, żółtaczka. Szpitale znów się zapełniły. A tu — podobno rychły wyjazd za granicę. Co robić z chorymi? Wątpliwości w tej dziedzinie rozwił gen. Anders. Kazał zabrać wszystkie dziewczęta, które choć trochę mogły utrzymać się na nogach. Na wieść o wyjeździe jedna z junaczek dostała pomieszania zmysłów... A, że trzeba już w drogę — więc zabrano i ją. Zmarła niestety w Aszchabadzie. Inna, chora na śpiączkę, została w Kitabie, powiększając liczbę zmarłych dziewcząt w szkole od jej powstania do wyjazdu z



(Rys. Aleksander Werner)

Rosji — do 88, nie licząc ofiar jakie poniosła kadra.

W Pahlevi jeszcze z miejsca pójdzie do szpitala 248 dziewcząt. Ale to już Pahlevi. W innym świecie. A tymczasem wyjazd, wyjazd, wyjazd. Byle prędzej. Silniejsze pomagaly starszym, chore na rękach wnoszone do wagonów i na okręt. Byle prędzej, byle dalej. Byle dalej od Doliny Śmierci. Od dolin śmierci.

### Młodsze i najmłodsze

Cel stworzenia szkoły młodszych ochotniczek w Rosji był jasny: wyrwać dziewczęta z bagna sowieckiej demoralizacji, uchronić przed zrusyfikowaniem i zachować dla polskości, zabezpieczyć młode organizmy przed głodem i niedostatkiem, kontynuować przerwana naukę.

Gdy myślę o tym chodząc po jasnych salach obecnej szkoły, gdy patrzę na zdrowe, rumiane buzie i śmiejące się oczy dziewcząt — przypomina mi się krótka nowelka Ludwika Wiecheckiego. Nie tyle może nowelka, ile wspomnienie z rosyjskiego zesłania. Kilkunastoletnia Polka jest niańką u strażnika obozu pracy. Polacy więzieni w obozie — idąc do pracy rozmawiali nieraz z młodocianą niańką pół-mongolskiego bachora, pytali ją o rodzinę, pochodzenie i o mnóstwo innych rzeczy. Trwało to kilka miesięcy. Więźniowie zauważyli, że dziewczyna coraz gorzej mówi po polsku. Pewnego dnia ktoś naiwnie zapytał: „A kochasz ty Polskę?” — „O, tak” — padła gorąca odpowiedź. — „A nie zapomnisz mówić po polsku?” — rzucił inny. Błysnęły oczy dziewczęce: „Nikогда”!...

Więźniowie musieli chyba tak nisko pochylić głowy — jak ja w tej chwili, gdy o tym myślę.

Ale wokół mnie rozlegają się wesołe głosy tych szczęśliwych, które pieszczą skarb mowy ojczystej już od paru lat — na ławie szkolnej. Na ławie polskiej szkoły, choć na dalekiej obczyźnie.

Dzisiaj szkoła spełnia cele dużej wagi: stwarza środowisko, odpowiadające w znacznej mierze domowemu, umożliwia kontynuowanie dalszej nauki, prowadzi wyszkolenie zawodowe, a przez to stwarza kadre przyszłych pracownic,

realizuje starannie ideał wychowawczy, stwarza lub wzmacnia religijność, patriotyzm, obowiązkowość, karność, prawdomówność, odwagę. Wyrabiając tężyznę fizyczną — przygotowuje rezerwy Pomocniczej Służby Kobiet. Przygotowuje świetliczarki i kantyniarki. Uczycieli w gromadzie. Temu celowi służy samorząd szkolny, noszący isticie harcerską nazwę: Związek Zielonej Pokrzywy. Dorobek wychowawczy szkoły jest olbrzymi.

W ubiegłym roku maturę złożyło 18 uczennic. Przewodniczący komisji egzaminacyjnej uznał za stosowne wpisać na jednym z dyplomów maturalnych: „Państwowa Komisja Egzaminacyjna wyraża Grodzińskiej Janinie specjalne uznanie za zasób wiadomości przewyższających wymagania programu szkół średnich”. Poznałem ochotniczkę Grodzińską na kursie świetliczarek, gdzie też była jedną z najpilniejszych słuchaczek.

Między dziewczynkami, które w tym roku przystąpiły do matury i ją złożyły w liczbie 48 — też jest kilka wybitnie uzdolnionych i wyróżniających się — mówi mi Dyrektorka — uprzejmie udostępniając wszystkie możliwe materiały, dotyczące szkoły. Uczą się pilnie i te najmłodsze ze szkoły powszechnej, i te z gimnazjum, i z liceum, i spółdzielczej szkoły handlowej i kursu maturalnego.

Roźpiętość wieku uczennic szkół młodszych ochotniczek jest duża. Od jednego szkraba 12-letniego do 10 uczennic 22-letnich. Dysponuję tu danymi za ubiegły rok szkolny. Urodzonych w roku 1929 było 2, w 1928 — 7, 1927 — 28, 1926 — 122, 1925 — 119, 1924 — 110, 1923 — 60, 1922 — 36, i 1921 — 10 uczennic. Dane te nie obejmują szkoły powszechnej. Razem w gimnazjum i liceum oraz na kursie maturalnym było 505 uczennic.

Ciekawie przedstawia się zestawienie województw, z których pochodzi ucząca się młodzież. Najwięcej przedstawicielka ma województwo wołyńskie, bo aż 106. Na drugim miejscu jest woj. lwowski: 93 uczennice i 7 nauczycielek. Z Polesia — 53 uczennice i 1 nauczycielka, z woj. tarnowskiego. — 47 uczennic i 2

nauczycielki, z Wileńszczyzny — 39 ucz. i 5 nauczycielek, ze stanisławowskiego woj. — 38 uczennic i 4 nauczycielki, z Nowogródzkiej — 33 uczennice i woj. lubelskiego — 17 uczennic i 2 nauczycielki. Województwa centralne i zachodnie są też reprezentowane. Woj. warszawskie — 27 uczennic i 7 nauczycielek, poznańskie — 16 uczennic, kieleckie — 14 uczennic i 1 nauczycielka, krakowskie — 13 uczennic i aż 8 nauczycielek, śląskie i pomorskie po 7 uczennic i wreszcie woj. łódzkie — 5 uczennic. Liczby powyższe podają celowo, obrazują one bowiem w pewnej mierze nasilenie deportacji do pewnego ościennego państwa, w czasie okupacji wschodniej Polski po pakcie Ribbentrop-Mołotow.

Większość młodzieży, bo około 60% ma rodziców w wojsku, reszta — w Iranie, Indiach, lub Afryce.

Teraz—sprawa bolesna. Olbrzymi procent sierot i półsierot. Na 375 uczennic gimnazjum i liceum wykaz sierot obejmuje 32 nazwiska, a półsierot aż 88. Jedna z klas na 43 uczennice ma 11 sierot, a więc prawie 25%. W szkole powszechnej uczy się 28 sierot i 38 półsierot. Spółdzielcza szkoła handlowa liczy 18 półsierot. Przeczytajmy te liczby jeszcze raz i zastanówmy się nad nimi głębiej. Wiemy, gdzie i co się stało z rodzicami tych dziewcząt, których jedynym domem jest obecnie szkoła. To też atmosfera tu panuje isticie domowa. Kadra i młodzież — to jedna wielka rodzina. Zadziwił mnie zwłaszcza jeden fakt. W szkole są nie tylko jej dawne wychowanki. Ostatnio przybyły dziewczęta pracujące dotychczas w biurach wojskowych, kompaniach transportowych, łączności, jednym słowem takie, które prowadziły już samodzielny tryb życia. A życie takie ma pewne powaby, a przynajmniej pozory tych powabów. Niektóre wprost siłą trzeba było zmuszać, aby zechciały pójść do szkoły. Zdawałoby się, że będzie pewien dystans między nimi, a młodszymi wychowankami szkoły. Tymczasem atmosfera szkoły spowodowała zupełne zlanie się tych elementów.

A oto jeszcze jeden szczegół, rzucający światło na stosunki panujące w szkole. Część dziewcząt pali. Palenie nie jest zakazane, ale nie można palić w klasach i sypialniach. Pewnego dnia zauważono 3 dziewczynki palące... pod moskitierami. Choć nie ma w szkole przesadnego drylu wojskowego — winowajczynnie stanęły do karnego raportu u komendantki szkoły. Dwie obiecują poprawę, jedna — z drugiej klasy licealnej — jak mówiła szczerze — nie mogła tego obiecać.

— A może przynajmniej możesz obiecać, że będziesz się starała?... — pyta pedagogicznie komendantka.

Dziewczyna wybucha płaczem, przeprasza i obiecuje. Zapewniono mnie, że obietnica została dotrzymana.

### Wczoraj, dziś i jutro

Pobyty w szkole młodszych ohotniczek nieoczekiwanie przedłużył się. Skwapliwie korzystam z propozycji odwiedzenia klas w czasie lekcji.

Postanawiam odwiedzić najmłodsze, ze szkoły powszechnej.

Wszystkie drogi między barakami mają swoje nazwy. Przechodzę obok Pałóczka Mądrości (tu się dziewczęta uczą), ulicą Marzeń, obok ulicy Kuchni i jeszcze jakąś tam dochodzę do baraku szkoły powszechnej. Trafiam na lekcję geografii w klasie 5-ej. W klasie jest 13 dziewcząt, to też nauka jest niemal indywidualna, przypominająca korepetycje. Ale tylko zawdzięczając małej liczbie uczennic — można wyczerpać program nauki i wychowania, bo niektóre z dziewcząt skończyły w Polsce 2 lub 3 oddziały szkoły powszechnej, nieraz jedno — lub dwuklasowej, a później uczyły się same. Najmłodsza w klasie ma lat 15.

— Któraż to? — pytam.

Wstaje, dopiero zdopingowana i nieomal wytknięta palcami przez koleżanki. Niechętnie przyznaje się do swoich lat.

— Już się zaczął 16-ty rok — prostuje.

Zgadzam się chętnie na tę poprawkę. Głowią się właśnie nad mapą Europy. O, tu jest Polska — pokazują mi.

Na ścianie gazetki klasowe. Jedna ilustrowana, zamieszczająca zdjęcia z komentarzami z „Parady” o nazwie „Wiadomości Polityczne” i druga p. t. „W drodze do Polski” z tekstami, opracowywanymi przez uczennice.

Gazetki ściennie są we wszystkich klasach. Wytwarzają one zdrowe współzawodnictwo i stanowią dumę uczennic. Gazetka klasy 5-ej ma trzy działy: 1) Sprawy obozowe, 2) Polska Podziemna i 3) Z szerokiego świata. Najmniej znam dział pierwszy. Czytam. „Pożegnanie lotników”. „Ognisko zakończono okrzykiem: niech żyją polscy lotnicy! Po modlitwie żegnaliśmy w Naafi naszych przyjaciół jeszcze raz śpiewając i tańcząc. Kiedy warkoty ostatnich motorów ucichły — zdaliśmy sobie sprawę, że już naprawdę odjechali i było nam dziwnie smutno”. Proszę o komentarze. Okazuje się, że przez dłuższy czas na lotnisku leżącym blisko szkoły stacjonowały lotnicy Raf-u, między innymi i dywizjon polski. Między dywizjonem a szkołą wytworzyła się duża przyjaźń. Teraz jeszcze — choć dywizjon jest gdzieś indziej — nieraz mili chłopcy urządzają „naloty” na obóz bombardując baraki listami, umieszczonymi w woreczkach z piaskiem. Zjawiają się i „spieszeni”, zostawiając samoloty na lotnisku.

Chodzę od klasy do klasy. Sale nauki duże, przestronne, jasne. W gazetce „W drodze do Polski” — okręty, samoloty, czołgi — jak żurawie polską wiosną — ciągną w kierunku polskiej wsi. Do góry. Na północ.

Gazetka klasy 6-ej „Świt”, tak mówi o żołnierzu: „Żołnierz jest wzorem cnót. Cechują go: miłość Boga i Ojczyzny, waleczność i odwaga, karność i posłuszeństwo, prawdomówność i braterstwo broni i koleżeństwo.” Klasa jest wzorem, jak przy użyciu prymitywnych środków osiągnąć można poważne, estetyczne efekty. Oto na zwykły żołnierski koc narzucono trochę aplikacji i haftu i — jest! Co prawda podobno podoficer materiałowy grozi, że takiego „zepsutego” koca nie przyjmie do magazynu, ale klasa ustroiła się w stylu kaszubskim. Poprzednia — w łowickim.

Wracam do kancelarii szkoły. Tu w pierwszym rzędzie pociągają mój wzrok wykresy. A więc pierwszy z brzegu. Środowisko młodzieży. Jako podstawę do wypowiedzi wzięto zawód ojca.

Dane wyglądają tak:

rolnicy — 43,1%,  
wojskowi — 17,3%,  
urzędnicy — 13,6%,  
policja — 10,2%,  
handlowcy — 2%,  
rzemieślnicy — 2,2%,  
przemysłowcy — 1,6%,  
wolne zawody — 10%.

To w gimnazjum i liceum. Podobnie sprawa przedstawia się w szkole powoszechniej:

rolnicy — 58%,  
wojskowi — 35%,  
urzędnicy — 5%,  
rzemieślnicy — 2%.

Powyższe zestawienia wykazują, z jakich środowisk okupowanych ziem



(Fot. Wiktor Ostrowski)

*Jedna z wielu*

wschodnich pochodzili deportowani. Należy dodać, że pod nazwą rolników



*Polskie dziewczęta w Palestynie*

należy rozumieć w przeważającej mierze małorolnych, lub osadników.

Niezwykle ciekawie w zestawieniu ze środowiskiem młodzieży przedstawia się ankieta na temat: jaki zawód chcę obrać. Ankieta tę przeprowadzono tylko w liceum i gimnazjum, przyczem podzielono młodzież na dwie grupy — starszą i młodszą.

Medycynie chce się poświęcić 15,5% młodszych, ale już 32% starszych; zawodowi nauczycielskiemu — 18,9% młodszych, ale starszych już tylko 14%. Dalej uczyć się chce 12,7% młodszych i 11% starszych — wszystkie myślą tu o studiach wyższych, bo teraz uczyć się chcą wszystkie bez wyjątku. Za handlem opowiedziało się 6,7% młodszych i 9% starszych. Do szkoły handlowej poszło jednak więcej dziewcząt, może z braku innych szkół zawodowych. Inżynieria — 1,5% młodszych i 7% starszych; bankowość 15,5% młodszych, a 5% starszych. Farmacja — w obu grupach po 4%. Dziennikarstwo 0,5% młodszych i 4% starszych. Dentystryka 3% tylko starszych. Rolnictwo — 0,5% młodszych i 2% starszych. Odruc-

howo kieruję wzrok na poprzednie wykresy: dzieci rolników jest 58% młodszych i 43,1% starszych. A tu tylko 1/2 i 2%... W zawodach artystycznych chce pracować 3,5% młodszych i 1% starszych, w sanitaracie 1,5% młodszych i 0,5% starszych. Kreślarek w obu grupach po 1/2%. Zwolenniczek architektury — też. Buchalteria — 2,4% młodszych i 0,5% starszych. Leśnictwo, stenografia i policja tylko po 1/2% starszych. Lotnictwu chce się poświęcić 2,4% młodszych i 0,5% starszych. Gospodarstwu domowemu — tylko 0,5% starszych.

Niezdecydowanych co do wyboru przyszłego zawodu jest jeszcze 16,5% młodszych i 4% starszych.

Wieleby tu jeszcze ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, ale czas nagli. Arabskie pudło z pobliskiego miasteczka odjeżdża za godzinę. Opuszczam gościnnie obóz. Przypomina mi się gazetka „W drodze do Polski”. I myślę, że dwie tylko właściwe drogi do Polski prowadzą. Jedna — z karabinem w garści i druga — z zeszytem i książką.

*Witold Zaharski*



## Okno wiatru

Pinie od wiatru gną się —  
usiądź i pomyśl —  
ja już nie chodzę po rosie  
przy białym domu.  
Nadzieję w nieskończoności  
pytałaś kiedyś o popiół —  
...Może cię jeszcze nie doścignął  
spieniony szum potopu?

Jest jedna rzecz w zmęczeniu snu  
i nikłych wstęgach dni,  
że umiem jeszcze mówić — znów —  
że umiem słodczyć sączyć w sny,  
że mogę w boleść rzewnie wieczną  
opowieść wpleść o struźce krwi.  
Wije się smukła nitka z cięciw —  
z bolesnych żył — tętniącej krwi.

Ulatam bardzo wysoko,  
Patrzę przez wielkie okno,  
z dali błękitnej i czystej.  
Za szybą jesteś ty  
i wszyscy.

Nic mnie nie boli w myśli martwej,  
tylko jest śpiew — śpiew Carmagnoli,  
senny jak jesień w uwiedzie.  
A Carmagnolę śpiewają  
ach wiesz, płynące labędzie.

...A strużka płynie po dłoni,  
serdeczna, spokojna wróżka.  
Drgają odległe neony,  
a każdy ma inną reklamę  
i każdy mnie śmieszy.  
Opadły okruchy pieśni,  
już podnieść nawet nie można,  
nie trzeba zresztą niczego.

Najdroższa, ach nie wierz,  
że strużka to potop,  
to tylko mistrz niedbały — serce  
nagle zabije ostatni raz.  
...A w wielkim oknie, oknie szalonym  
waży się czas.

Artur Międzyrzecki

# Z dziennika podróży

Forli, 18 lipca

Z Porto San Giorgio, szesnastką i dziewiątką, dojeżdżamy do Forli, okrążając je — zgodnie z przepisami — o 270 stopni. Jakieś 2 km za Forli, na drodze do Predappio, obóz przejściowy.

Autostopem do Forli. Miasto w znacznym stopniu utraciło już swój tak silnie zaakcentowany aspekt wojenny z półroczną poprzedzającego ofensywę bolońską. Mały ruch pojazdów i niewiele wojska. W Dorchester Clubie ciastka, lody i brylantyne można dostać natychmiast, bez ogonka. Kąpię się obok Naafi, w pływalni wojskowej, pozostałości po jakiejś faszystowskiej sportowej organizacji.

W śródmieściu Modeny skręć w prawo na drodze ładne girlsy (zapowiadane zresztą na afiszach), dużo humoru i mało dowcipu. Nocleg w obozie na noszach szpitalnych.

Verona, 19 lipca

Odcinek drogi nr 9 z Forli do Bolonii jest chyba znany na pamięć każdemu żołnierzowi 2. Korpusu. Faenza, Castel Bolognese, Imola, Castel San Pietro. Okrążamy Bolonię z prawa, obok zbombardowanego dworca, aż do północnego wyłotu miasta na drogę emilijską.

W śródmieściu Modeny skręć w prawo na drogę nr 12, która zawiedzie nas aż do Brenneru. Na modęskim skrzyżowaniu obu dróg sprzedają brzoskwinie i lemoniadę ze skrobany miodem.

Równina północno-italska, między Apeninami i Alpami. Most Baileya na rzece Po. Rzeka jak rzeka, ale bynajmniej nie taka straszna jak ją w ulotkach malowali Niemcy. Ulotki te, rozrzucone przy ostatniej ofensywie, wyobrażały żołnierzy (polskich?) tonących w spienionych nurtach rzeki i głosiły: „Co Was czeka? Rany, Zguba, Elegia, Krew, Artyleria, Piekło walki, Aeroplany, Działa szturmowe... Czy chcesz znaleźć śmierć w nurtach Padu? Prawdziwą okazała się co najwyżej... elegia.

W Veronie przy zbombardowanej Stazione Ferroviaria pobieramy benzynę. Ostatnia na terenie Italii możliwość napełnienia baków. Niedaleko za miastem, na drodze do Trydentu, obóz przejściowy. Polish Liaison Officer i P.C.K. Baraki noclegowe.

Wracam do miasta. Zbombardowane z umiarem. Adyga przetacza się przez Veronę zygakiem. Są tylko dwa Baileye zamiast kilkunastu dawnych mostów. Na Piazza dei Signori z pomnikiem Dantego i kilku okolicznych ulicach wyczuwa się wenecki Renesans. Most Scaligerich zerwany, grobowiec tychże Scaligerich zamurowany. Dużo balkonów.

Z trudem odnajduję grobowiec Julii Capuletti. Dostęp do mieszczącego go klasztoru Franciszkanów jest zbombardowany. Cicerone pokazuje kaplicę, obecnie barokową, gdzie Julia i Romeo potajemny ślub brali. Sarkofag kochanków verońskich znajduje się w podziemiu. Jest otwarty i pusty. Pamiętam, że dawniej zwiedzający składali w nim bilety wizytowe, które go wypełniały po brzegi; poczułem zawód nie mo-

gąc odnaleźć swego sprzed 16 lat. Piękny ten zwyczaj został zarzucony, podobno z uwagi na nieprzyzwoite dopiski.

Autentyczność grobu jest niepewna, Julia jest legendarna, Shakespeare (którego popiersie zdobi ogród poklasztorny) — problematyczny, ale jedno jest niewątpliwe — miłość...

W miejscowym teatrze grają wiedeńską operetkę, a w rzymskiej Arenie — zmniejszonej, lecz lepiej zachowanej repliki Colosseum — wyświetlają jakiś wojenny film sowiecki i reportaż z Majdanka.

Murnau, 20 lipca

Niedaleko za Veroną zaczynają się Alpy. Droga do Brenneru wznosi się nieznacznie, prawie niewyczuwalnie. Jest daleko łagodniejsza od wielu dróg jakie znany w Apeninach. Idzie równoległe do Adygi i zbombardowanej linii kolejowej. Prawie na całej jej długości sprzedają brzoskwinie. Droga brzoskwinia.

W surowej prostocie romańskiej katedry w Trydencie zlewna wyczuwa się już Północ. Poza tym wygląd, ludność, klimat, kobiety i owce Trydentu — nawskroś włoskie.

Zbombardowane Bolzano, wśród sadów i winnic. Pejzaż coraz bardziej alpejski. Ludność coraz mniej włoska. Napisy i nazwiska na sztydach coraz częściej — niemieckie.

W Fortezzy (Franzensfeste) — skrzyżowanie kilku dróg kołowych i kolejowych, no i — zgodnie z nazwą — forteca. Austriacka budowla sprzed stulecia. Młoda historycznie i stara strategicznie.

Na drogowskazach przed Brennerem Niemcy zacierali literę „O” w nazwie „Brennero”. Włosi dopisywali ją do napisów „Brenner”. Literalna wojna.

Granicę znaczy szlaban opuszczony w poprzek drogi. Amerykanin rzuca okiem na dokument pierwszego wozu, i przepuszcza kolumnę. Kilkaset yardów miasteczka — ziemi niemieckiej, o barwach włoskich. Przez środek przechodzi najwyższy punkt drogi i najniższy przełęcz — 1372 mtr. Nie jest bynajmniej tak chłodno jak się naiwnie obawiałem i zastrany płaszcz okazał się zbędny. Znow szlaban, który Francuz (ściśle Marokańczyk) podnosi dla nas bez żadnych formalności i znajdujemy się w Brenner. Mundur jest najlepszą wiza dla wszelkich granic, naturalnych i politycznych.

Droga opada silniej, niż po włoskiej stronie się wznosiła. Alpy, lasy świerkowe, jeziora górskie, domy z mурowano-drewnianej kombinacji, kościoły o bizantyńsko-kubistycznych kopułach, wreszcie ostatnie lecz nie najmniej istotne elementy barwy lokalnej: mieszkańcy w regionalnych *shortach* i zielonych kapeluszach z piórkiem, z plecakami i szelkami z poprzeczką, dziewczyny z warkoczycami i krowy z dzwoneczkami. Nie słychać wprawdzie koloraturowego „jodłowania”, ale się je wyczuwa z samego wyglądu krajobrazu. Tyrol jak w filmie i operetce.

Innsbruck leży w kotlinie, otoczony zewsząd górami. Mało zbombardowany. Ozdobiony flagami czerwono-biało-czerwonymi zmartwychwstałej po siedmioletnim Anschlussie Austrii. Dość częste też barwy francuskie, zapewne pozostałość 14 lipca. Autochtoni wyszukanie uprzejmi.

Granica tyrolsko-bawarska przechodzi prawie niepostrzeżenie. Jakiś punkt kontrolny gdzież zamiast Marokańczyka w amerykańskim mundurze i białym zawoju na głowie stoi Amerykanin w

helmie. Zresztą podobne góry, lasy, *shorty*, i zielone kapelusze tubylców. Nigdzie po drodze żadnych śladów wojny. Miejscowości wilegiaturowe pełne Gasthausów i Gasthofów w stylu regionalnym o dziewiętnastowiekowych nazwach. W oknach firanki i kwiaty. Nett, gemuetlich und gutbuegerlich.

Mijamy Garmisch Partenkirchen i dojeżdżamy do Murnau, u podnóża Alp bawarskich, ale już na równinie.

*Azymut*

## „LUDZIE SPONIEWIERANI“ NAGLEROWEJ

# Literatura polska wraca do prozy

Gdy wojna trwa, literatura najchętniej wypowiada się w skrótach. Wiersz, nowela, literacki reportaż zdają się być czymś podobnym do pocisku, do strzału, do jednorazowego błysku bagnetu. Dopiero czas z ziaren wojny wprowadza ku słońcu kłosa literatury prozaicznej. Proza, to dojrzałe, szerokie, spowiedliwe spojrzenie na świat, niepodległe wzburzeniom chwili ni nietrwałych namiętności i urazów. Proza, to jest walka z językiem, z żywcem rodnym kopalin mowy — ze światłem moralnym w ręku. Jest w pracy prozaika wielkie podobieństwo do trudu górnika. Rąbanie z ramienia w opór skały, w opór mowy. Bez lampki nie ma pracy górniczej. Bez celu prozy, bez jej świadomych założeń moralnych nie ma dzieła sztuki. Proza czeka na wyroki zdarzeń dziejowych, proza szuka głębin, przyczyn, sprawiedliwości, prawdy.

„Słowo — pisze St. Brzozowski — jest organem koordynacji procesów życiowych, przeżywań różnych jednostek: jest ich wytworem społecznym. Rzeczywiste jego korzenie tkwią w tych procesach życiowych, w tych wstrząśnieniach i ustaleniach zbiorowego życia, które zrodziły słowo jako nagły i przelotny lub stale powracający sygnał. Słowo, jako medium społecznej koordynacji, ukazuje się naszym przeżyciom jako coś starszego i głębszego od nich, jako pozaspołeczne dno, ponadludzki firmament istnienia. Powstaje złudzenie, że wyraża ono coś pozażyciowego, pozaludzkiego, odrębnego od ludzkiego

współzycia i głębszego niż ono”. Dlatego to pisarze odpowiedzialni nie łatwo porywają się na walkę ze słowem w świetle moralnym. Długo krążą dokoła tematów, bojąc się dotknąć ich skorupy, nim poczują siłę, że dowiecą się jądra. Poezja jest rejestrem chwil, proza czasów. Dlatego także proza polska tej wojny dopiero pod jej koniec zaczyna zwolna wschodzić ku słońcu.

Proza piękna w orbicie 2. Korpusu nie jest wcale uboga. Wystarczy powołać się na Wańkowicza, na Parnickiego („Srebrne orły” pisane były i wydane na Śr. Wschodzie), na „Faustynę” Obertyńskiej, na Czapskiego. Wreszcie też znane Polsce literackiej nazwisko Herminii Naglerowej, po nieudanej próbie dramatycznej („Tu jest Polska”) i absorbującej pracy dziennikarskiej („Ochotniczka”) ukazało się na tomiku nowel p. t. „Ludzie sponiewierani”, wydanym w „Bibliotece Orła Białego” jako zbiór w większości już ogłaszanych utworów. Ze względu na charakter podmiotowy niektórych z tych utworów można je nazwać również opowiadaniem.

Książeczka Naglerowej jest to prawdziwa piękna proza. Wyrasta ona z hieratycznej świadomości powołania prozy i z pokorą dojrzałości korzy się przed polskim językiem.

Mówiono już o tym nieraz, że język polski wystawiony jest w czasie tej wojny tak jak żywi ludzie na wielkie próby. Zważywszy, że walka o duszę polską nadal trwa, pewnym jest, że język, jej broń tak ważna, nie jest należycie

konserwowany ni właściwie używany. Przewycięzanie klasyczności języka może iść w parze jedynie z świetnością jego rozwoju. Ale czy aby nie za dużo dostaje dziś do rąk prosty żołnierz i prosty robotnik literatury gwarowej, choćby najszlachetniejszej (Morcinek, Ligoń, Wiech, reportaże wojenne) lub nasyconej realistycznym wulgaryzmem (Zbyszewski, K. Pruszyński) albo zgoła zangliczalej (pisarze w Anglii)? Naglerowa jest kapłanką znicza mowy, języka w klasycznym dostojeństwie, wierną spadkowi po wielkim Żeromskim, jeszcze większym Prusie, po swoim ulubionym Kadenie.

„Ludzi sponiewieranych” oceniać trzeba nade wszystko jako piękną prozę. Piękna proza, to wcale nie oznacza formy. Forma literacka jako element w ogóle nie istnieje. Forma jest to sposób wykładania treści. Jaką jest treść, taką forma. W prozie, właśnie w prozie forma jest poświęcą treści. Nie można szukać w zbiorze nowel względnie opowiadań Naglerowej całkowitego wyrazu przeżycia Rosji, pełni spojrzenia, okrągłości syntezy. Nowele zamieszczone w „Ludziach sponiewieranych”, to są na marginesie nieujawnionej syntezy glossy, refleksje, ilustracje. Mają w sobie coś ze strojenia instrumentów, zanim rozpocznie się koncert.

Rosja, człowiek tamtejszy i męczeństwo polskie w Rosji są i nieprostym i niewyczerpanym problemem. Zetknięcie się dwu cywilizacji w namiętnej walce, w ślepej żądzy unicestwienia słabych i bezbronnych przedstawicieli cywilizacji wyższej przez świadomą swą niższości cywilizację inną, niema walka kultur, to jest tytaniczny obraz, na który potrzeba Homera, Dantego, Krasńskiego.

Ci pisarze polscy, którzy już podjęli pisarstwo o Rosji czynią to z ogromną pokorą wobec narodowej treści dramatu, nie dotykając ciągle istoty, nie czując się dość silni, a tylko przez pryzmat poruszeń własnej duszy przesączone nieśmiało wywołują obrazki. Pierwszą reakcją polska na tamten świat jest niezmierzona odraza, wstręt do duchowej i materialnej rzeczywistości, do poni-

żenia człowieka, do podeptania jego godności cywilizacyjnej. Bardzo wyraźnie znaczył się ten dreszcz wstrętu w poezji Broncia. W subtelnej duszy Czapskiego było to raczej zdumienie, w poezji Broniewskiego żal. Kobieta polska, ów produkt kultury narodowej, którego zazdrości nam cały świat, a zwłaszcza wrogowie, rzucona w piekło Rosji przeżyła udręki nieopisane. Dla Obertyńskiej rzeczywistość ta jawi się w postaci Calderonowskiego „życia-snu”, dusza jej odlatuje w kraj fikcji, w atłasy i pastele, zastyga w staromodnym, nie-realnym obrazku, w „Faustynie”, posiadającej wdzięk i mglistość widzenia sennego.

Naglerowa, pisarka mieszczańska, malarka małych ludzi żyje dalej pasją społeczną, nie zamyka oczu przed rzeczywistością sowiecką, ale je szeroko otwiera, nie zatyka uszu, ale chciwie łowi głosy okrucieństwa i upodlenia. Cywilizacyjnej reakcji na rzeczywistość Rosji są „Ludzie sponiewierani”, *ludzie sponiewierani* dokumentem.

Zbiór opowiadań i nowel Naglerowej jest nieprzeciętnym wydarzeniem literackim. Nie wszystkie z tych utworów osiągnęły poziom jednaki. „Cięciwa” i kompozycyjnie i literacko do zbiorku nie przystaje. Już jednak następne „Śledztwo” od pierwszych linii bije rytmiką prawdziwego tragizmu, prawdziwej dramatyczności. „Obłęd i polityka” (tytuły nowel nie są mocną stroną Naglerowej) — nowela ta woła o przekład angielski (ileż by dobrego zrobiła np. w żołnierskim „Crusader”!), „Dunia” jest wspaniała po tetmajerowsku, „Kazachstańskie noce”, najbardziej pamiętnikarskie, niepozbawione są kompozycyjnie wpływu „Wspomnień starobielskich” Czapskiego, wreszcie „Chleb”. „Chleb” będzie zapewne trwałym arcydziełem noweli polskiej. Jest w nim w błyskawicznym, nowelistycznym skrócie cała prawda o polskim męczeństwie. Z pominięciem efektów, z odmierzoną ekonomią środków literackich nowela ta jest przeżyciem najgłębszym, zapatrzonym w wizję najprawdziwszą, a więc niewzruszenie

mocnym, dojrzałym utworem literackim.

Proza Naglerowej — poza „Chlebem” — jest wyraźnie intelektualna. Upodobaniem autorki jest syntetyzm psychologiczny, wybiegający nawet w socjologiczne granice prawideł życia „duszy zbiorowej”. Bohaterami najczęściej są — „my”, „jedna z nas”. Długie miesiące cierpienia i oderwania od świata kazały wejść pisarce i wszystkim tam ludziom w siebie, spoglądać i analizować strugę wewnętrzną duszy, ambicją tedy Naglerowej jest podanie wniosków

o charakterze prawd i odkryć psychologicznych.

Są rzecz jasna i słabości nowel Naglerowej. Syntezy psychologiczne niekiedy są powierzchowne (szczególnie w „Cieściwie”), ale to dopiero kiedyś uporządkuje sobie krytyka. Dziś wypada przyjąć „Ludzi sponiewieranych” jako utwór pięknej i mocnej moralnie prozy. Prozy naszych czasów, kiedy zamiast wymarzonych fikcji trzeba używać najwznioślejszego wysiłku, aby podoląć żywej prawdzie.

Jan Bielatowicz

## RECENZJA

# „W walce o wolność”

Gdy pojawił się pierwszy album fotograficzny W. Ostrowskiego, poświęcony bojom 2. Korpusu w Italii — został on w mig rozbity. I nakład jego niewielki, i wielka staranność, z jaką został wydany i graficznie wykonany, i wreszcie potrzeba, jaką sam żołnierz polski odczuwał, by w poglądowy sposób upamiętnić sobie przybyte walki, wszystko to sprawiło, że wkrótce stał się poszukiwaną rzadkością. Spełnił niejedno zadanie i dokumentarne, i wspomnieniowe, i sprawił wiele zadowolenia.

Nie nadażył może z jedną sprawą — poza niespełnieniem zadania nowinki artystycznej — nie mógł dostatecznie przeniknąć do świadomości obcych, nie-Polaków, odegrać pełnej roli propagandowej, na którą było go stać. Było go i mało, i brakło mu popularyzujących tekstów w językach obcych.

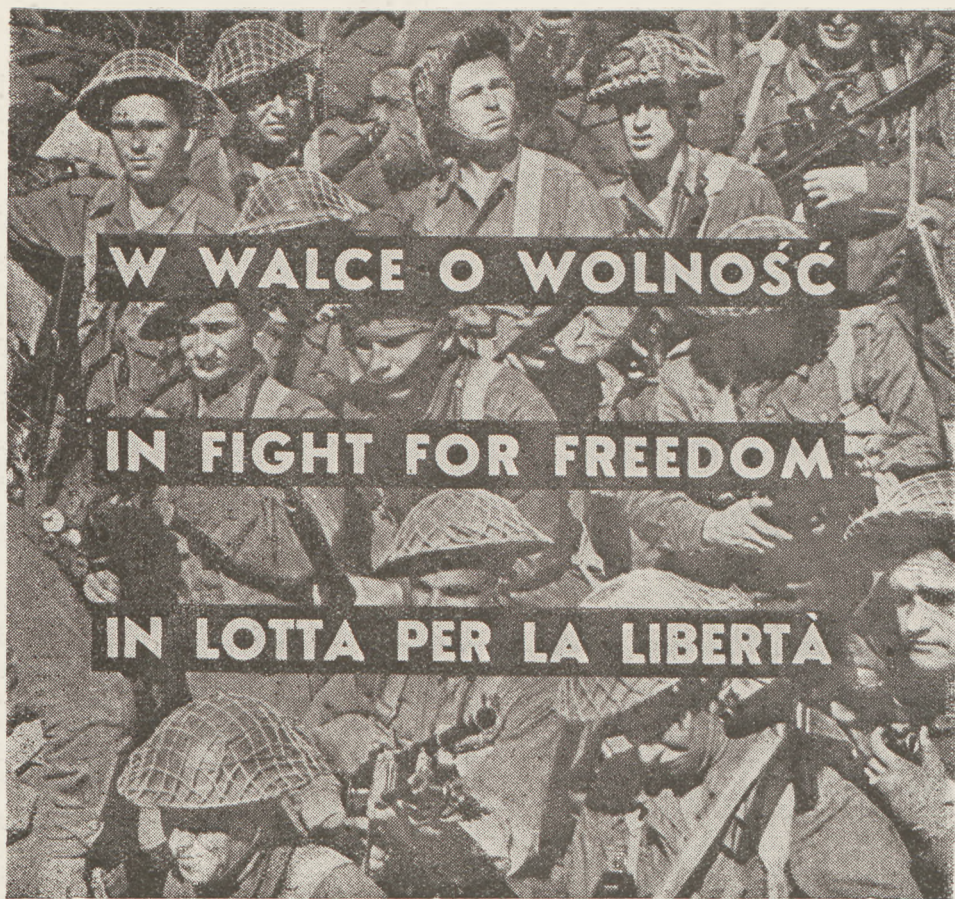
To też przewidując dalszą potrzebę tego rodzaju wydawnictwa — podkreślono w jednej recenzji, że „Przyjęcie, jakiego dozna to wydawnictwo ilustracyjne, zachęci zapewne wydawców do powtórzenia go w następnych nakładach, któreby spełnić mogły nie tylko dokumentarne, ale i rzetelne zadania propagandowe, o ile zaopatrzonoby je również w napisy obcojęzyczne. Przy krótkich legendach polskich łatwo można by zmieścić pod każdą foto-

grafią także podpisy angielskie, francuskie i włoskie. Pomijanie lub niedocenianie nieraz w prasie zagranicznej udziału polskiego w bitwie pod Monte Cassino wskazywałoby na konieczność tego rodzaju przedsięwzięcia”. („Orzeł Biały” nr 17/152/ z 29 kwietnia 1945 r.)

Nie minęły trzy miesiące, a ten szkic programu został całkowicie wykonany, choć nie przez tego samego autora, ani tego samego wydawcę, lecz tylko w tej samej drukarni „Novissima”. Program wykonano poniekąd z nadmiarem, w pewnym kierunku, a z chyba zupełnie nieznacznym niedoborem w drugim.

Przed wszystkim więc autor nowego albumu, Lucjan Paff, wydając nakładem Referatu Kultury i Prasy Rosowskiej Dywizji Piechoty fotoalbum pt. „W walce o wolność” rozszerzył płaszczyznę wydawnictwa z samej bitwy o Monte Cassino, przygotowań do niej i bezpośrednich następstw — do rozmiaru walki żołnierza polskiego, ciągnącej się od września 1939 r. do końca wojny we Włoszech.

W tych ramach znalazło się miejsce i na syntetyczny obraz samotnego wystąpienia Polski do walki z Niemcami w 1939 roku oraz nieszczęść, jakie to ściągnęło na kraj. I na montażowe pokazanie ohydy rozbioru Polski przez Niemców i Rosjan na podstawie paktu Ribbentrop — Molotow. I na szlaki tułacz-



ki żołnierza polskiego na wygnaniu poprzez gehennę bolszewickich obozów i więzień.

Potem następuje odrodzenie się Armii Polskiej na Wschodzie pod dowództwem Gen. Andersa. Wędrówka z Rosji na Bliski Wschód i na ziemię włoską. Wreszcie epepeja Monte Cassino i triumfalny choć ciężko okupiony krwią pościg wroga aż poza Bolonię, zamknięty wizyjną klamrą uroków polskiej ziemi kresowej i obrazem nadziei „dźwignia polskiej przyszłości, na polskiej ziemi, polskimi rękami”.

Już nie siedem, jak w poprzednim albumie, ale co najmniej siedemnaście nazwisk fotografów należy wymienić, licząc tych, którzy tę panoramę niedoli i chwały żołnierza polskiego uplastycznili: A. Chruściel, J. Fuks, S. Gliwa, B. Chaberski, K. Hrynkiewicz, W. Hryniewicz, K. Kleszczyński, Kol-

voord, F. Maliniak, B. Mintowt-Czyż, J. Michalski, W. Ostrowski, A. Romański, T. Szumański, C. Zemgal, J. Zielicki, oraz Z. i L. Haarowie, którzy wykonali dwa rysunki, oprócz wykorzystanych reprodukcji z książek i czasopism. Razem wypełniono ponad półtora setki plansz całostronicowych, zaopatrzonych w legendy po polsku, angielsku i włosku, nad których zredagowaniem oprócz autora współpracowali W. Szyfer i T. Zajączkowski.

Tę godną całość zadedykowano umęczonej Warszawie słowami motto wstępnego: „Poruszeni do głębi heroiczną, samotną walką Warszawy, my, jej wygnani synowie, tę opowieść bojów o wolność w holdzie ruinom stolicy składamy”. Kto zada sobie trud systematycznego przejrzenia i przeczytania tego albumu, tego niewątpliwie uderzy bogactwo treści i różnorodność oraz po-

ziom zdjęć, których dobranie było niewątpliwie rzeczą niełatwą, o ile się wie, w jakim stanie były poszczególne archiwa, czy zbiory zdjęć, związanych z naszą tułaczką.

To bogactwo sprawiło jeszcze jedną trudność, z którą grafikowi takiego wydawnictwa nie było łatwo się uporać. Mianowicie zgranie, stonowanie poszczególnych plansz bezpośrednio sąsiadujących ze sobą. Pod tym względem może nowy album nieco ustępuje pierwszemu, zwłaszcza, że papier i druk sam nie jest tak doborowy, natomiast przeciętne plansze wykazują większe dążenie do poszukiwania efektów o samej wartości graficznej. W opracowaniu zdjęć zasługę swą mają też pracownicy Referatu Fotograficznego Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu.

Nie sposób wyliczać tu poszczególnych osiągnięć. Zapewne każdy żołnierz, zwłaszcza Kresowej, odnajdzie wśród tych zdjęć rzeczy szczególnie mu bliskie i interesujące. Dzielać

się swymi wrażeniami z kolegami z innych armii sojuszniczych lub z ludnością włoską będzie miał ułatwione zadanie, mogąc posłużyć się podpisami obcojęzycznymi. Pozwoli to niewątpliwie odrobić na niejednym odcinku niezasłużone milczenie, jakim niejednokrotnie starano się ostatnio pokryć zasługi polskie w walkach o wyzwolenie Europy spod panowania tyranii hitlerowskiej.

Obecnie, w szerokiej opinii publicznej Zachodu coraz częściej spotkać się można z głosami ostrzeżenia, że prawdziwy pokój na świecie nastać może dopiero wówczas, gdy wszelkie ustroje oparte na ucisku będą zniweczone. Zatem teraz spodziewać się można, że nie jeden przytłumiony akcent propagandy, zawarty we „Walce o wolność” zadźwięczy coraz głośniejszymi, coraz wyraźniejszymi i coraz skuteczniejszymi. Przyczyniając się do tego — album dobrze zasłuży się naszej sprawie.

*Pen*



*Krajobraz pod Rawną*



*Nemi koło Rzymu*

(Rys. St. Westwalewicz)

## Wystawa polskich malarzy-żołnierzy we Florencji

Otwarcie wystawy, poprzedzone licznymi wzmiankami w całej miejscowej prasie, odbyło się 21 czerwca 1945 roku przy udziale licznie zgromadzonej publiczności. Przybyli: rektor Akademii Sztuk Pięknych, Colacicchi z gronem profesorów, najwybitniejsi malarze z Rosai i Careną na czele, liczna młodzież artystyczna i przedstawiciele Armij Alianckich.

Florencja, miasto najstarszych tradycji artystycznych, kolebka „Odrodzenia” włoskiego i całej sztuki europejskiej, pozarenesansowej, przyjęła Wy-

stawę współczesnych polskich malarzy z uznaniem. Liczne wzmianki i długie recenzje w prasie są najlepszym tego dowodem. Soprintendente, p. Poggi, wygłosił przemówienie, podkreślając wagę tej polskiej manifestacji artystycznej, umożliwiającej bezpośredni kontakt z polskim artystą i polską kulturą. — Wyraził przy tym życzenie, aby Wystawa stała się zapoczątkowaniem stałej wymiany kulturalnej między dwoma zaprzyjaźnionymi narodami, których wspólne tradycje i współpraca artystyczna sięgają najdawniejszych czasów.



## S P I S T R E Ś C I

	Str.
W promieniach wielkiego zwycięstwa . . . . .	3
6. sierpnia 1914 . . . . . <i>Michał Janiszewski</i> . . . . .	5
Dni chwały i klęski . . . . . <i>Stanisław Piaskowski</i> . . . . .	8
Kalina . . . . . <i>Beata Obertyńska</i> . . . . .	13
Kraj i emigracja . . . . . <i>J. Jur-Lerski</i> . . . . .	14
Powrót . . . . . <i>Jerzy Bzazarewski</i> . . . . .	19
Reforma rolna — czy sowietyzacja? . . . . . <i>Jan Tutaj</i> . . . . .	20
Sytuacja gospodarcza Kraju . . . . . <i>Witold Zahorski</i> . . . . .	22
Dwie konferencje . . . . . <i>Skomants</i> . . . . .	25
A co potem? . . . . . <i>J. P.</i> . . . . .	28
Krucjata . . . . . <i>Tytus Gordon</i> . . . . .	30
Zwycięstwo czy klęska? . . . . . <i>Jarostaw Żaba</i> . . . . .	33
O banku międzynarodowym . . . . . <i>Aleksander Mudyan</i> . . . . .	38
Ludzie z Oświęcimia . . . . . <i>Jerzy Bzazarewski</i> . . . . .	40
Akademia Mickiewicza w Bolonii . . . . . <i>On</i> . . . . .	41
Polacy i Serbowie . . . . . <i>Serb</i> . . . . .	47
Poezja polska w literaturze słoweń- skiej . . . . . <i>Dr M. K.</i> . . . . .	50
Bjadal . . . . . <i>Beata Obertyńska</i> . . . . .	55
„Jeuropa Agienorowna“ . . . . . <i>Walertan Charkiewicz</i> . . . . .	56
Mistrz z Roncole . . . . . <i>Wiarostaw Sandelewski</i> . . . . .	59
Adam . . . . . <i>Włodzimierz Sznarbachowski</i> . . . . .	62
Wegeterianin . . . . . <i>Jan Kielewicz</i> . . . . .	63
Cela 83 . . . . . <i>Mieczysław Serwacki</i> . . . . .	69
Książka — broń . . . . . <i>Witold Zahorski</i> . . . . .	72
Okno wiatru . . . . . <i>Artur Międzyrzecki</i> . . . . .	79
Z dziennika podróży . . . . . <i>Azymut</i> . . . . .	80
Literatura polska wraca do prozy . . . . . <i>Jan Bielatowicz</i> . . . . .	81
„W walce o wolność“ . . . . . <i>Pen</i> . . . . .	83
Wystawa polskich malarzy — żołnie- rzy we Florencji . . . . .	86

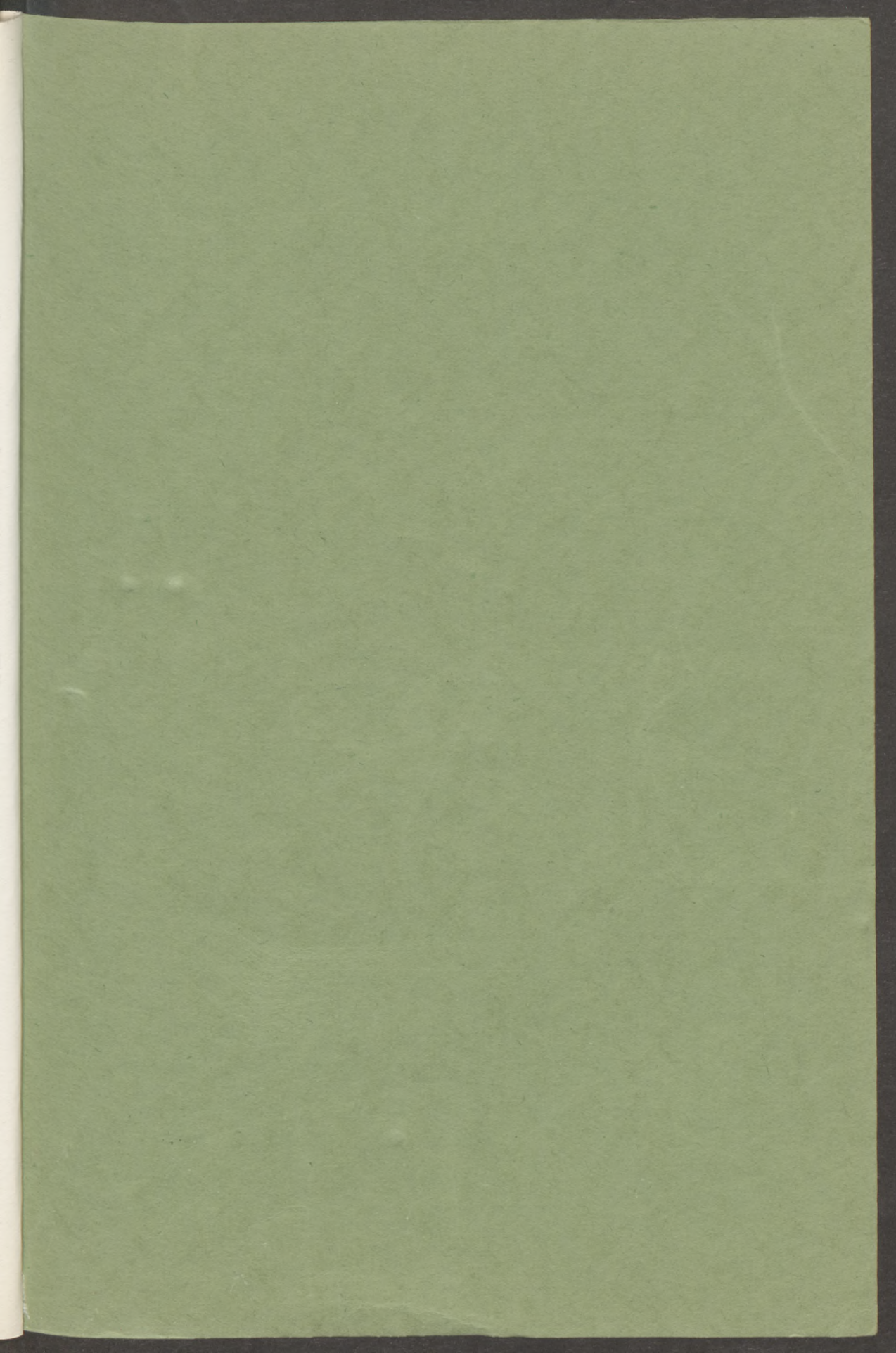
Okładka — *Aleksander Werner*

## W Y K A Z

wydawnictw książkowych Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu

1. Konstytucja R. P. z przedmową R. Piestrzyńskiego . . . . .	L. 30
2. Geopolityka, Strategia i Granice — R. Wraga . . . . .	L. 30
3. Z doświadczeń przeszłości — Łukaszewicz . . . . .	L. 12
4. Rok 1863 — J. Piłsudski . . . . .	L. 20
5. Polskim szlakiem cz. II — J. Pilatowa . . . . .	L. 100
6. „ „ „ cz. III „ . . . . .	L. 140
7. Wrześniowym szlakiem — J. Łużyc . . . . .	L. 100
8. Skrócony podręcznik języka włoskiego . . . . .	L. 25
9. W marszu — Sandelewski i Dyląg . . . . .	L. 50
10. Kalendarz Żołnierza Polskiego A.P.W. . . . .	L. 20
11. Legnickie Pole — Z. Kossak - Szczucka . . . . .	L. 100
12. Przewodnik po Wioszech . . . . .	L. 20
13. Modlitewnik Grek. Kat. . . . .	L. 100
14. Album z pobytu Naczelnego Wodza na Wschodzie . . . . .	L. 40
15. W Laboratorium radości życia — Dr. W. Szyryński . . . . .	L. 35
16. Azja i Afryka — Antologia — J. Bielatowicz . . . . .	L. 100
17. Album Monte Cassino — Z. Turkiewicz . . . . .	L. 220
18. Wspomnienia Starobielskie 2 nakł. — J. Czapski . . . . .	L. 50
19. Pamiętnik serdeczny — B. Kobrzyński . . . . .	L. 40
20. Artykuły A. Bocheńskiego — A. Bocheński . . . . .	L. 50
21. Wracające Zagłębie — J. Wedow . . . . .	L. 40
22. Prosta jak sosna wyrosnąć — J. Olechowski . . . . .	L. 40
23. Polskim szlakiem T. I. — J. Pilatowa . . . . .	L. 60
24. 150-lecie Rzezi Pragi — M. Grydzewski . . . . .	L. 10
25. O powołaniu naszego pokolenia — A. Brzoza . . . . .	L. 10
26. Rozmowa z księżyccm — J. Żywina . . . . .	L. 40
27. Pamiętniki Murawiewa . . . . .	L. 55
28. Wolność tragiczna — K. Wierzyński . . . . .	L. 60
29. Nurt — W. Berent . . . . .	L. 100
30. Album fotograf. Monte Cassino — W. Ostrowski . . . . .	L. 220
31. Cele wojenne Polski — A. Prager . . . . .	L. 75
32. Dzieje rodziny Korzeniowskich — M. Wańkowicz . . . . .	L. 50
33. O Rewolucji — R. Wraga . . . . .	L. 40
34. Wojna rosyjsko-niemiecka — R. Wraga . . . . .	L. 65
35. Tajfun — J. Conrad . . . . .	L. 60
36. Czerwone diabły — M. Święcicki . . . . .	L. 60
37. Polska a kapitalist. interw. w stosunku do ZSRR — B. Andreus . . . . .	L. 40
38. Kraj bez Quislinga — Stefan Tadeusz Norwid . . . . .	L. 100
39. W cieniu zapomnianej olszyny — J. Kaden - Bandrowski . . . . .	L. 75
40. Żywi i umarli — Gustaw Herling - Grudziński . . . . .	L. 40
41. Kamienie na szaniec — J. Górecki . . . . .	L. 50
42. Ludzie sponiewierani — H. Naglerowa . . . . .	L. 60
43. Opowieści o Szwejku — Wacław Solski . . . . .	L. 80
44. Smocza 13 — S. Zahorska . . . . .	L. 50
45. Polskie doświadczenia powstańcze — Zagończyk . . . . .	L. 20
46. Wkład Polski do 2 wojny światowej — H. Płatkowski . . . . .	L. 10
47. Walka o niepodległość w Kraju i na obczyźnie — W. Konarski . . . . .	L. 10
48. Wrażenia więzienne — G. Daniłowski . . . . .	L. 40
49. Smuga cienia — J. Conrad . . . . .	L. 70
50. Wyrąbany chodnik 2 tomy — G. Morcinek . . . . .	L. 320
51. Henryk Dąbrowski — M. Grydzewski . . . . .	L. 50
52. Quo vadis 2 tomy — H. Sienkiewicz . . . . .	L. 160
53. Eros na podwórzu — J. Wiktor . . . . .	L. 50
54. Od Ostrej Bramy do Osmej Armii — T. Zajączkowski . . . . .	L. 60
55. Polska w kulturze powszechnej . . . . .	L. 55

UWAGA: Poz.: 1, 2, 3, 4, 7, 8, 9, 10, 11, 14, 23, 52 — wyczerpane.



600/  
us0/613828/286

